

GINA WILKINS
ANNA

Prolog

Jest tylko jedno szczęście w życiu: kochać i być kochanym.

George Sand

14 lutego, 1896 r.

Na zewnątrz było ciemno i zimno. Wiatr wył i szarpał okiennice, jakby domagał się, by go wpuszczono do środka. W szyby uderzały zlodowaciałe płatki śniegu. Mimo to w sypialni było przytulnie i ciepło. Grube zasłony otulały okna i tłumiły ryk wichury, na kominku huczał przyjaźnie ogień, lampy paliły się jasnym płomieniem.

Leżąca w łóżku kobieta trzymała w ramionach dwoje noworodków, na które spoglądała przez łyzy. Nareszcie, dobrych kilka godzin po porodzie, mogła z nimi zostać sama, bez towarzystwa życzliwych i ciekawskich.

- Ian - szepnęła i pocałowała główkę leżącego na jej lewym ramieniu pierworodnego.

Potem odwróciła się w prawo i złożyła pocałunek na delikatnym czółku drugiego dziecka.

- Anna - szepnęła. - Moje aniołki. Tak was kocham. Gdyby żył jeszcze wasz drogi ojciec...

Urwała, a po jej bladych policzkach popłynęły łyzy. Miała dwadzieścia trzy lata i od trzech miesięcy była wdową. Odkąd

umarł jej mąż, sama prowadziła ruchliwy zajazd, teraz spadła na nią jeszcze odpowiedzialność za wychowanie dwojga dzieci. Nie miała pojęcia, jak temu podoła. Wiedziała tylko, że da sobie radę.

Nie miała wyboru.

Spojrzała na wiszący na ścianie portret.

- Nie bój się o nich, James - szepnęła do swego nieżyjącego męża. - Zadbam, żeby wyrosli na dzielnych i uczciwych ludzi.

Jej spojrzenie wróciło do dzieci.

- Nie znam czarodziejskich sposobów, które mogłyby wam pomóc w życiu. Ale nawet gdybym znała, wypowiedziałabym tylko jedno zaklęcie. Takie, które sprawiłoby, żeby żadne z was nie opuściło tej ziemi, dopóki nie zazna prawdziwej i wiernej miłości. Takiej miłości, jaką mnie było dane doświadczyć dzięki waszemu ojcu. Rzuciłabym czar, który każdemu z was pozwoliłby spotkać kogoś, kogo pokocha i przez kogo będzie równie gorąco kochane.

Znów popatrzyła na portret.

- Pomóż mi, James - poprosiła i brzmiało to jak modlitwa. - Spraw, żeby otrzymali taki dar.

Ogień na kominku buchnął żywszym płomieniem. Oczy mężczyzny rozjaśniło głębokie, ciepłe światło. Była w nich inteligencja, życzliwość dla świata i nade wszystko bezgraniczna miłość.

Kobieta jęknęła rozpaczliwie. Płomień na powrót przygasał i złudny blask życia zniknął z oczu mężczyzny. Maleńki Ian zaczął się wiercić i matka przystawiła go do piersi. Ale do końca życia nie zapomniała o tym, co widziała w tej krótkiej chwili, i zawsze wierzyła, że jej prośba została wysłuchana.

14 lutego, 1921r.

W ogrodzie było ciemno i zimno. Grube chmury przesłoniły księżyc. Mrok rozjaśniało tylko światło padające z okien oberży. W środku w najlepsze trwała zabawa. Od czasu do czasu gwar, śmiech i muzyka dolatywały aż do pustego ogrodu.

Kiedy Anna Cameron wyszła za próg, przesyłał ją nagły dreszcz. Bała się, że Jeffrey, jej narzeczony, będzie próbował ją zatrzymać, więc wyszła w takim pośpiechu, że nie zdążyła nawet sięgnąć po płaszcz. Ale to nie miało teraz większego znaczenia. Najważniejsze, że porozmawia z bratem, zanim ktoś im przeszkodzi.

Ian chodził wielkimi krokami w tę i z powrotem. Jak zawsze poruszał się z nieopisanym wdziękiem, ale tym razem w jego ruchach było tyle napięcia, że nietrudno było się zorientować, że ledwo nad sobą panuje. Chyba nikt prócz siostry nie miałby teraz odwagi zbliżyć się do niego.

- Ian? - odezwała się cicho.

Odwrócił się natychmiast. Jego twarz była bardziej pochmurna niż chylące się nad nimi niebo.

- Wracaj, Anno. Jeffrey czeka na ciebie. Idź się bawić.

- Mieliliśmy się bawić razem, Iłan. To nasze urodziny - moje i twoje. Proszę cię, nie zepsuj ich.

- Nie mam nastroju do zabawy - parsknął niecierpliwie.

- Proszę, nie zwracaj uwagi na plotki.

- Nie zwracaj uwagi na plotki! Widziałaś, jak ludzie na mnie patrzają? Słyszałaś, jak szepczą za moimi plecami? Nie obchodzi cię, że oskarżają mnie o nielegalny handel alkoholem i uważają za mordercę?

- Owszem, bardzo mnie obchodzi - odpowiedziała ostro.

- Boli mnie, że ktoś może cię tak nisko oceniać. Ale wiem, że nikt, kto cię naprawdę zna, nie uwierzy w takie bzdury.

- Mylisz się, Anno. Od dwóch tygodni ludzie w miasteczku patrzają na mnie takim wzrokiem, że bez wątpienia bardzo wielu z nich święcie wierzy w te opowieści.

- Wobec tego się mylą. Szeryf Fielding ustali, kto zabił tego nieszczęsnego policjanta, i będziesz wolny od podejrzeń. A ludzie, którzy rzucają na ciebie oskarżenia, będą musieli cię przeprosić.

Potrząsała głową.

- Szeryf Fielding pierwszy wsadziłby mnie do więzienia. A co do innych, to wiem, że słowa przeprosin nie przejdą im przez gardło.

- Gdyby cię lepiej znali...

- Znają mnie, Anno. Ale po prostu mnie nie lubią.

Westchnęła. Wiedziała, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Trudny charakter jej brata sprawiał, że zawsze miał wokół siebie zbyt mało przyjaciół, a zbyt wielu wrogów. Od dzieciństwa martwiło ją, że jest jedyną osobą, która naprawdę go rozumie. I czasem podejrzewała, że choć Ian za nic by się do tego nie przyznał, jego też to martwi.

Podeszła bliżej i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Nie mówmy dłużej o plotkach. Szkoda na to czasu. Pomyśl, dzisiaj są nasze dwudzieste piąte urodziny. Od tej pory będziemy mogli zarządzać oberżą tak, jak się nam spodoba. Ojczym nie będzie miał już nic do gadania. Wreszcie będziesz mógł wprowadzić wszystkie zmiany, o których marzyłeś. Czy nie poprawia ci to nastroju?

Ian zwolnił kroku. Jego napięte mięśnie nieco się rozluźniły.

- To prawda - przyznał. - Od dawna czekałem na ten dzień.

- Oboje na niego czekaliśmy - poprawiła go. - Matka na pewno była przekonana, że dobrze robi, gdy upoważniła Gaylona do zarządzania oberżą, dopóki nie skończymy dwudziestu pięciu lat. Nie mogła przewidzieć, że tak ile mu to będzie szło. Wiem, że się stara, ale...

- Ale jest głupcem! - uciął Ian.

- Po prostu nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić. A na pewno robi to inaczej, niż my byśmy robili. Teraz spróbujemy własnych sił, jeżeli tylko nie odstraszysz gości swoimi humorami.

- Nie jestem wcale taki straszny - zaprotestował, urażony.

- Trochę tak. Jeffrey zawsze w twojej obecności ma niepewną minę.

Ian tylko prychnął niecierpliwie w odpowiedzi. Nigdy nie ukrywał przed siostrą, co sądzi na temat jej narzeczonego, jego gładkich rąk i nerwowego pochrząkiwania. Anna kochała jednak Jefa. Była przekonana, że będzie dobrym mężem i ojcem. Miała już dwadzieścia pięć lat i nie zamierzała czekać na wielką, namiętą miłość, którą wróżyła jej matka. A w dodatku wcale nie była pewna, czy wielka miłość była największym szczęściem, jakie mogło ją spotkać w życiu. Jej matka bardzo kochała ojca i odkąd zmarł, nigdy nie była naprawdę szczęśliwa. Choć z czasem przywiązała się do Gaylona Peavy'ego, to nigdy nie pogodziła się ze śmiercią Jamesa Camerona.

Byli teraz z dala od oberży, ale mimo kompletnej niemal ciemności poruszali się równie pewnie jak za dnia. Od najwcześniejszego dzieciństwa znali tu każdą alejkę i każdą ścieżkę.

Czarny strój Iana był w mroku niemal niewidoczny, ale Anna w swojej długiej białej sukni wyglądała jak duch. Uśmiechnęła się na myśl o tym.

- Tak naprawdę, to Jeffrey powinien obawiać się raczej ciebie niż mnie. Zanim się obejrzy, weźmiesz go pod pantofel i do końca życia będzie tańczył, jak mu zagrasz.

- Nie jestem sekutnicą- zaprotestowała.

- Nie jesteś - przyznał. - Tego nie mówię. Będziesz tak miła i słodka, że Jeffrey się nie zorientuje, iż to ty trzymasz cugle. Bardzo możliwe, że całkiem szczęśliwy, będzie się nawet uważał za głowę rodziny.

- Oczywiście. Zobaczysz, że będę dobrą żoną, Ian.

- Nie wątpię. Mam tylko nadzieję, że i ty zaznasz szczęścia, Anno. Czy jesteś pewna swego wyboru?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie. - Miło mi, że zależy ci na moim szczęściu.

- To prawda - przyznał. - Zależy mi na twoim szczęściu, Anno. Zależy mi, bo cię kocham. Jesteś jedyną osobą na świecie, którą kocham. I nic nie jest dla mnie ważniejsze od ciebie. Nawet zajazd.

Anna z trudem powstrzymała łzy. Była wzruszona, tym bardziej że wiedziała, jak trudno przychodzi jej bratu takie wyznanie.

- Ja też cię kocham, Ian. I chcę ci powiedzieć...

Nakrył jej usta dłonią. Przed nimi, w ciemnościach widać było słabe światło.

- Co to takiego? - spytała.

- W starej stróżówce pali się światło - mruknął Ian. - Ktoś tam jest.

W stojącej na skraju lasu stróżówce nie było prądu. Co najmniej od dziesięciu lat nikt w niej nie mieszkał. A jednak w oknie widać było słaby blask lampy.

- To pewnie jakiś włóczęga - odezwała się Anna.

- Może. Ktokolwiek tam jest, musiał się włamać. Wracaj do zajazdu. Ja się zajmę tym nieproszonym gościem.

Chwyciła go mocniej za ramię.

- Nie, to może być niebezpieczne. Nie możesz iść sam.
Poszukajmy Gaylona.

Ian uwolnił się od niej.

- Nikogo nie potrzebuję. Dam sobie radę.

Ruszył przed siebie. Anna pośpieszyła za nim.

- Proszę cię, Ian. Poczekaj!

Z domku wyłoniło się trzech mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręku latarnię. Anna z ulgą rozpoznała w nim miejscowego policjanta Stanleya Tagerta. Przyśpieszyła kroku.

- Stanley - zawołała - co ty tu...

Ian szarpnął ją za ramię.

- Poczekaj, Anno...

Błysk i ogłuszający huk nastąpiły równocześnie, Ian zatoczył się do tyłu i runął na ziemię.

Nie ruszył się więcej.

Anna stała jak sparaliżowana.

- Dlaczego to zrobiłeś? - ryknął Tagert, odwracając się w stronę stojącego za nim w ciemnościach mężczyzny. - Oszalałeś?

Anna nie zwracała na nich uwagi. W tej chwili widziała tylko nieruchome ciało brata. Padła przy nim na kolana.

- Ian! O Boże! Nie!

Drżącymi palcami wodziła po twarzy Iana. I nagle pojęła, co się stało.

- Ian - szeptała. - Ian... nie...

Odwróciła się w kierunku zmierzających ku niej mężczyzn. W jednym z nich poznała znanego w okolicy awanturnika Bucka Felchera. Tylko trzeci, ten, który strzelił do Iana, krył się jeszcze w mroku.

- Stanley... - szepnęła drżącym głosem. - Buck... Dlaczego?

Ujrzała drugi błysk i w tym samym momencie szarpnięta potężną siłą upadła na trawę obok brata. Czuła rozdzierający ból w piersiach, w głowie jej szumiało, a wokół robiło się coraz ciemniej. Kiedy wyciągnęła rękę, miała wrażenie, że tonie w smole. Ujęła dłoń brata i zacisnęła na niej palce. Z nadludzkim trudem udało jej się przysunąć czoło do jego głowy.

- Ian - to było już tylko westchnienie. - Ian...

A potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

Rozdział

1

*Gdy pierwszy raz zjawiła się przede mną,
Była duchem rozkoszy.*

William Wordsworth

3 stycznia 1996 r.

Dean Gates, nowy właściciel remontowanego właśnie zajazdu „Cameron Inn”, nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone. Tym bardziej więc się zirytował, gdy w niecałą godzinę po przybyciu na miejsce pierwszy raz w życiu ujrzał ducha.

Stał właśnie pośrodku pachnącego kurzem, mrocznego strychu. Wokół niego, pod stromizmami dachu, piętrzyły się skrzynie i kufry, do których od dziesiątków lat nikt nie zaglądał. Przesunął dłonią po włosach. Trzeba będzie kiedyś zrobić z tym porządek, pomyślał. Najważniejsze, że dach nie przecieka. Już miał zejść, by coś zjeść, bo od lekkiego śniadania przed ośmioma godzinami nie miał nic w ustach, kiedy to się stało. Duch stał w kącie strychu i przyglądał mu się z ciekawością. Miał postać szczupłej kobiety w długiej białej sukni, z ciemnymi lokami obciętymi na wysokości podbródka, ciemnymi oczami i pięknie wykrojonymi ustami, które zdawały się stworzone do pocałunków. Dean nigdy w życiu

nie spotkał kobiety, której uroda wywarłaby na nim takie wrażenie.

Nie był pewny, czy naprawdę ją widzi, czy też coś mu się przywidziało. Zamknął oczy, bo tylko to przyszło mu do głowy. Kiedy je otworzył, duch stał sobie dalej jak gdyby nigdy nic, tyle że teraz zmarszczył lekko brwi.

Dość tego, przecież duchów nie ma. Już otworzył usta, by spytać surowym głosem, kto pozwolił jej wejść do zajazdu, gdy spostrzegł, że stojąca przed nim kobieta była ni mniej, ni więcej, prześwitująca. To znaczy nie zasłaniała tego, co znajdowało się za nią. Nie trzeba było nawet wysilać wzroku, by zobaczyć stojące za nią skrzynie.

- O, nie - oświadczył urażonym tonem.

Odwrócił się i ruszył w stronę schodów. Uznał, że z powodu przemęczenia ma halucynacje, i by odzyskać poczucie rzeczywistości, postanowił coś zjeść.

- Ciociu Mae? - zawołał, przeskakując po dwa stopnie.
- Ciociu Mae, zjedzmy lunch, dobrze?

Anna odwróciła się do brata.

- Myślę, że nas widział.

Ian miał niezbyt pewną minę.

- Może zobaczył po prostu coś niezwykłego?

- Nas.

- Raczej ciebie.

Anna machnęła ręką.

- To niewielka różnica, ale kiedy na mnie spojrział, poczułam coś bardzo dziwnego. Miałam wrażenie, że gdybym przemówiła, mógłby mnie usłyszeć. Czułam, że jest znacznie bliżej nas niż inni ludzie.

Nie musiała mu tego wyjaśniać, Ian lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z istnienia niewidzialnej bariery

oddzielającej ich od świata żywych. W ciągu tych wszystkich lat tylko kilka razy zdarzyło się, by ktoś ich zobaczył, a i to nie trwało długo.

Ale tym razem... tym razem było inaczej.

- Może powinnam była coś powiedzieć - mruknęła niepewnie.

- Nawet gdyby cię usłyszał, to i tak podniósłby krzyk i wziął nogi za pas - zauważył sceptycznie Ian. - Już się tak przecież zdarzało.

Anna nie wiedziała czemu, ale uwaga brata zirytowała ją.

- Nie byłabym taka pewna. Nie wyglądał na człowieka, który boi się byle czego. Było w nim coś... coś, co nieczęsto się spotyka. Nie wiem co.

Nie umiała tego określić, ale w wyrazistych rysach nieznanego była siła, którą rzadko spotyka się wśród ludzi. Może nie był piękny, ale na pewno intrygujący. No i te oczy. Jasno-niebieskie, przenikliwe. Sprawiał wrażenie człowieka, który widzi więcej od innych.

- Miał coś takiego w spojrzeniu... - dodała bezradnie. - Gdybyśmy potrafili nawiązać z nim kontakt, to może umiałby nam pomóc.

Ian prychnął zniecierpliwiony.

- Był taki sam jak wszyscy, Anno. Kupił zajazd, zainwestuje w niego niewiele pieniędzy i jeszcze mniej troski, a kiedy się zaczną kłopoty, ucieknie stąd tak jak inni. To miejsce nikogo nie obchodzi. I nikogo nie obchodzi nasz los.

Anna pokręciła głową.

- Nie mów tak! Wiesz dobrze, że jesteśmy tu nie bez powodu. Zawsze wierzyłam, że w końcu zjawi się ktoś, kto nas uwolni. Może właśnie on.

- Zawsze byłaś marzycielką - odpowiedział z uśmiechem.

- A ty sceptykiem. Poczekaj, jeszcze się przekonasz, kto miał rację.

Uśmiech znikł z twarzy Iana. .

- I tak nie mamy nic lepszego do roboty - mruknął z rezygnacją. Anna odwróciła spojrzenie od smutnej twarzy brata. Patrzyła teraz w kierunku schodów i zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby porozumieć się z mężczyzną o niepokojących, błękitnych oczach.

Dwadzieścia minut później Dean wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Stał przy głównej ulicy miasteczka Destiny w stanie Arkansas. Swoją drogą dziwna nazwa - Destiny, czyli przeznaczenie. Dean miał przed sobą piętrowy budynek ratusza, a obok niego pocztę z czerwonej cegły, nieco dalej starą kamienicę, w której mieściła się redakcja lokalnej gazety i dom towarowy. Jak zdążył się zorientować, w miasteczku znajdowały się kościoły trzech różnych wyznań, kilka marnie prosperujących sklepików i kwitnąca wypożyczalnia wideo. W barze, przed którym zaparkował, było pusto. Minęło popołudnie i wszyscy już dawno zjedli lunch.

- Umieram z głodu - stwierdziła pełnym energii głosem ciotka Mae. - Wracając będziemy musieli wstąpić do sklepu i kupić sobie coś na kolację.

Widok ciotki Mae zawsze poprawiał Deanowi humor. Pulchna sześćdziesięciolatka lubowała się w bransoletkach, kolczykach, pierścionkach i łańcuszkach i zwykła się nimi obwieszać. Różowy sweter ostro kontrastował z farbowanymi na rudo włosami, czarne spodnie były odrobinę zbyt obcisłe. Ciotka Mae ze zręcznością akrobatki poruszała się w butach na wysokim koturnie, a na ramieniu nosiła wiecznie wypchaną torebkę. Obrazu dopełniały wielkie okulary słoneczne w metalowych oprawkach. Tylko Dean wiedział, że pod tą

ekscentryczną powierzchownością kryje się nieprzeciętnie bystry umysł i pełne miłości serce.

Od dzieciństwa uwielbiał ciotkę Mae.

Gdy weszli do baru, jak spod ziemi wyłoniła się przy nich dziewczyna w dżinsach i czarnym podkoszulku.

- Stolik dla dwóch osób? - zapytała, nie przestając żuć gumy i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Dla palących czy nie?

Dean rozejrzał się po niewielkim wnętrzu, w którym stały ciasno stłoczone stoliki.

- Dla niepalących - odpowiedział.

Stoliki nakryte były czerwonymi obrusami w serduszka. W wazonach stały czerwone i białe goździki.

- Niedługo Św. Walentego - odezwała się ciotka Mae. - Czas biegnie szybciej, niż nam się wydaje.

Dean mruknął coś niewyraźnie i sięgnął po jadłospis. Nie miał ochoty rozmawiać na temat walentynek.

Ciotka Mae westchnęła.

- Powinieneś mieć z kim uczcić tę okazję.

Zmusił się do uśmiechu.

- Już mam. Ciebie.

- Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz. Mówię o kimś, kto by coś dla ciebie znaczył. Z twojego małżeństwa nic nie wyszło, ale to nie oznacza, że resztę życia masz spędzić samotnie. Skończyłeś dopiero trzydzieści pięć lat, a więc zostało ci jeszcze mnóstwo czasu, żeby się zakochać i założyć rodzinę.

- Tyle razy już o tym rozmawialiśmy. Nie zaczynajmy jeszcze raz.

Ciotka Mae znów westchnęła.

- Nic na to nie poradzę. Od dziecka lubiłam dzień św. Walentego. Walter zawsze robił mnóstwo zamieszania z okazji Walentynek.

- Moja żona też przywiązywała do nich wagę - zauważył oschłym tonem. - Do końca życia będę pamiętał róże i brylanty, które podarowałem jej z tej okazji. Drogo mnie kosztowały, a kupowałem je nie dlatego, że miałem na to ochotę, ale po to by uniknąć nie kończących się utyskiwań. Całe te Walentynki to dla mnie jedno wielkie nabieranie, wymyślone przez jubilerów, właścicieli kwiaciarń i producentów kartek z życzeniami.

- To cyniczne - westchnęła smutno ciotka Mae, patrząc na Deana oczami równie bystrymi i przenikliwymi jak jego własne. - Nosisz w sercu naprawdę głębokie rany po małżeństwie z Gloria. Czasem się zastanawiam, czy kiedykolwiek się całkiem zabliznią.

Dean z ulgą przyjął pojawienie się kelnerki. Kochał ciotkę, ale jej niepoprawnie romantyczne spojrzenie na świat czasem naprawdę trudno było znieść. On sam był człowiekiem praktycznym. Najśmielszą przygodą w jego życiu było porzucenie posady przynoszącej dochód roczny wyrażający się sześciocyfrową liczbą i kupno malowniczego zajazdu w stanie Arkansas.

Wmawiał sobie zresztą, że nie był to pomysł aż tak zwariowany. Jego dziadek, ojciec ciotki Mae, zaczął od jednego hotelu, a skończył jako właściciel niewielkiej sieci, którą później odsprzedał większej korporacji. Deana zawsze fascynowała kariera dziadka i czasem zdawało mu się, że potrafiłby mu dorównać. Do marketingu trafił właściwie przez przypadek, ale branża hotelarska zawsze zachowała dla niego niezwykły urok.

Na ogłoszenie o sprzedaży zajazdu natrafił podczas wyjątkowo długiego i nudnego lotu w sprawach służbowych. W towarzyszącym anonsowi zdjęciu było coś, co od początku przykuło jego uwagę, choć nie umiałby powiedzieć co takie-

go. Po tygodniu rozmyślań wziął krótki urlop i poleciał do Arkansas, tym razem we własnych sprawach. Po drodze mówił sobie, że leci tylko obejrzeć „Cameron Inn” bez żadnych dalej sięgających planów, co najwyżej z myślą o jakiejś roztropnej inwestycji na przyszłość.

W sześć miesięcy później zajazd należał już do niego. I cokolwiek wymyślałby na usprawiedliwienie tego zakupu, prawda była taka, że sam zajazd i jego najbliższe otoczenie zauroczyły go od pierwszej chwili.

Oczywiście za nic nie przyznałby się do tego. Kiedy pytano go o powody decyzji, mówił o ożywieniu ruchu turystycznego w górskiej okolicy położonej nieopodal parku narodowego Hot Springs i znakomitych widokach na przyszłość. Nie było to zresztą tak całkiem od rzeczy. Odnowiony i dobrze poprowadzony zajazd mógł przynieść spore zyski i ci ze znajomych, którzy mówili, że postradał zmysły, nie do końca mieli rację.

Ciekawe, pomyślał, co by powiedzieli, słysząc, że pierwszego dnia zobaczył ducha. Skrzywił się na samą myśl o tym.

- Dean, kochanie, czy coś jest nie w porządku z twoim daniem? - spytała ciotka, gdy tylko kelnerka odeszła od stolika.

- Nie, nie, wszystko w porządku. To całkiem niezłe - mruknął, nie bez wysiłku przeżuując kęs pieczonego kurczaka.

Koło ich stolika zatrzymał się wysoki, chudy mężczyzna o brązowych oczach i pogodnym spojrzeniu.

- Czuję, że jesteście nowymi właścicielami „Cameron Inn”.

- Właścicielem jest mój siostrzeniec, Dean Gates - odparła ciotka Mae. - Ja jestem Mae Harper, pierwsza jak dotąd osoba zatrudniona przez Deana.

Mężczyzna obdarzył oboje serdecznym uśmiechem.

- Miło mi was poznać. Jestem Mark Winter, właściciel i wydawca miejscowej gazety „Dziennik Destyny”. Witajcie w naszym mieście.

- Dziękuję- odpowiedział Dean. - Proszę wciągnąć mnie na listę prenumeratorów pańskiej gazety. Chętnie się dowiem, co nowego wydarzyło się w okolicy.

- Nie zawiodę pańskich oczekiwań - uśmiechnął się Winter. - Nic, co ważne, nie ujdzie memu spojrzeniu. Właśnie dostałem zaproszenie na bal walentynkowy w tutejszej szkole podstawowej. Setka najmłodszych i najzdolniejszych obywateli naszego miasta uczci dzień świętego Walentego, recytując wiersze Elizabeth Barrett Browning i Roda McKuena oraz fałszując,.. przepraszam, chciałem powiedzieć wyśpiewując wybrane utwory muzyki popularnej o tematyce miłosnej. Myślę, że to będzie wspaniałe widowisko. Może i pan zaszczyciłby je swoją obecnością?

Deanowi jakoś udało się zapanować nad przerażeniem, jakie wzbudziła w nim zapowiedź potwornej nudy.

- To brzmi... obiecująco. Będę musiał zająrzeć do terminarza.

Winter zachichotał.

- A czy pan sam ma pociechy, które dołączą do grona wykonawców?

- Nie, nie mam rodziny.

- Ja też. I przy takich okazjach jak ta, utwierdzam się w przekonaniu, że to była słuszna decyzja.

Dean odwzajemnił uśmiech.

Ciotka Mae tylko mruknęła z przekąsem coś o starych kawalerach.

- Jeśli nie będzie pan miał nic przeciw temu, to chętnie przeprowadzę z panem krótki wywiad. Ludzie w mieście cie-

kawi są nowo przybyłych. A pańska osoba budzi szczególne zainteresowanie, ponieważ kupił pan zajazd Cameronów.

- Obawiam się tylko, że nie będę miał wiele ciekawego do powiedzenia.

- O to proszę się nie martwić. Interesują nas pańskie plany. I to, co pana tu ściągnęło, cokolwiek zresztą zechce nam pan powiedzieć o sobie. No i co pan sądzi o duchach - dodał z dziwnym uśmiechem.

Dean omal nie wywrócił szklanki z wodą.

- O... o duchach?

- Przecież pan wie, że zajazd jest nawiedzany przez duchy. Nie słyszał pan o tym? To jedna z najbardziej znanych tutejszych legend.

- Pośredniczka wspomniała mi o jakichś plotkach - przyznał Dean - ale nie zagłębiałem się w te sprawy. Nie wierzę w duchy - oznajmił stanowczo.

Ciotka Mae zrobiła wielkie oczy.

- Wiedziałeś, że zajazd jest nawiedzony, i nic mi o tym nie powiedziałeś?

Winter zrobił zakłopotaną minę.

- Przepraszam. Myślałem, że państwo o wszystkim wiedzą. Mam nadzieję, że pani nie nastraszyłem. Zapewniam panią, że to tylko...

- Ależ to byłoby cudowne spotkać prawdziwego ducha! - przerwała mu ciotka Mae. - Pomyśl tylko, jaka to dla ciebie reklama, Dean. Jeśli się okaże, że to jest naprawdę nawiedzone miejsce...

Dean wzniosł oczy do sufitu.

- Ciociu Mae, wolałbym, żeby goście przyjeżdżali do nas z bardziej prozaicznych powodów, takich choćby jak dobra kuchnia i życzliwa obsługa. Chciałbym, żeby mogli u nas wypocząć, spędzić miodowy miesiąc czy wypać się po wyciecz-

ce w góry. Nie mam zamiaru ściągać tu zapatrzonych w kryształowe kule wyznawców New Age.

- Przybytek duchołapów - zachichotał Winter. - To mi się podoba.

- Mnie raczej nie - mruknął Dean. - Nie wierzę w duchy.

Wolał nie zastanawiać się nad naturą dziwnego zjawiska, jakie ujrział na strychu. Przywidzenie spowodowane przemęceniem i głodem, powtórzył sobie w duchu. Nic więcej.

- A zatem, czy będę mógł do pana zadzwonić i umówić się na wywiad?

- Oczywiście. W każdej chwili.

Winter pożegnał się i odszedł. Nim skończyli posiłek, do stolika zbliżył się wąty mężczyzna w obszernym szarym garniturze, dziwnie wiszącym na jego chudych ramionach.

- Jestem burmistrz Charles Peavy Vandover - oznajmił oficjalnym tonem. - Witam w naszym mieście.

Dean wyciągnął dłoń.

- Dziękuję. Jestem Dean Gates, a to moja ciotka, Mae Harper.

- Oczywiście słyszałem już o państwa przyjeździe - odparł burmistrz i uściśnął uroczyście prawicę Deana. - Cieszymy się ze wszystkich nowych przejawów inicjatywy gospodarczej w naszym mieście.

Vandover zerknął w kierunku drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Mark Winter.

- Siedziałem przy sąsiednim stoliku i trudno byłoby mi nie słyszeć tego i owego z sensacji, jakimi uraczył państwa pan Winter. Mam nadzieję, że nie potraktowali państwo tych bzdur poważnie. Oczywiście wszędzie można usłyszeć jakieś idiotyczne plotki, ale broń Boże nie należy na nie zwracać uwagi. Takie rzeczy szkodzą tylko powadze miasta.

- Już mówiłem panu Winterowi, że nie zamierzam ekspoz-

nować wspomnianej przez niego legendy. O wielu starych domach opowiada się dziwne rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, to chcę wyremontować zajazd i prowadzić go jak najbardziej profesjonalnie. Jeżeli cieszy się złą sławą, to mam nadzieję, że odejdzie ona bezpowrotnie w przeszłość.

Burmistrz skinął głową.

- Będzie mi miło uczestniczyć w uroczystości otwarcia. Zajazd należał kiedyś do mojego pradziadka, potem do dziadka. Historia mojej rodziny związana jest z tym miejscem.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Nasze nazwisko nigdy nie było łączone z żadnymi skandalicznymi wydarzeniami. A wszelkie plotki na nasz temat należy traktować właśnie jako plotki. Najlepiej proszę ich w ogóle nie słuchać, dobrze?

- Jasne.

To właśnie w tym momencie Dean postanowił dowiedzieć się, o jakie plotki właściwie chodzi. Lepiej się zawczasu przygotować na to, co go może czekać. Być może wesoły pan Winter w zamian za wywiad podzieli się z nim szczegółami opowieści, którą najwyraźniej żyła cała okolica.

Kelnerka przyjęła pieniądze i wrzuciła je do kasy.

- Przypadkiem wpadło mi w ucho, co mówił panu burmistrz - odezwała się i Dean zaczął podejrzewać, że podsłuchiwanie jest ulubionym zajęciem mieszkańców Destiny. - To o duchach.

- A co o nich słyszałaś, kochanie? - zagadnęła Mae Harper, kiedy zorientowała się, że Dean nie zamierza podjąć tematu.

- Są prawdziwe. Mama zna kogoś, kto rozmawiał kiedyś z kimś, kto je widział.

- To jest ich kilka? - Ciotka nie zwróciła najmniejszej uwagi na rozpaczliwe westchnienie siostrzeńca.

Dziewczyna skinęła głową.

- Dwa. Mężczyzna i kobieta. Bliźniaki.

Dean z najwyższym trudem powstrzymał jęk. Nie tylko miał uwierzyć, że w zajeździe straszą duchy, ale w dodatku miałyby to być bliźnięta. No, nieźle trafił.

- Jeśli chce je pani zobaczyć, to najlepiej w świętego Walentego. To dzień ich urodzin. I śmierci.

- Walentynkowe duchy! - Ciotka westchnęła rozmarzona, a w jej oczach pojawił się liryczny błysk. - Czy to nie romantyczne, Dean?

Mruknął coś przez zęby, odebrał resztę i opuścił bar, żegnając się z kelnerką chłodnym skinieniem głowy.

- Nie wiem jak ty - odezwała się Mae, gdy wsiedli do samochodu - ale ja umieram z ciekawości.

- Mamy większe zmartwienia niż duchy, ciociu. Tynkowanie i malowanie, wymiana instalacji elektrycznej i gazowej, urządzenie kuchni i umeblowanie pokoiów... Mam ciągnąć dalej?

- Będziemy mieli niezłą zabawę, co, Dean?

- Tak. - Rozbrojony pogodą ciotki odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. - Też tak sądzę.

Podczas gdy ciotka Mae rozpakowywała zakupy i rozmieszczała je w szalkach i lodówce, Dean wyruszył na rozpoznanie terenu. Budynek już znał, teraz postanowił przyjrzeć się dokładniej jego otoczeniu.

Wysoki na dwie kondygnacje hol obiegała na wysokości drugiego piętra galeria, z której wiodły na dół szerokie schody. Przy wejściu znajdowała się recepcja. Dwuskrzydłowe drzwi po prawej prowadziły z holu na parterze do głównej jadalni. W głębi znajdowała się druga, mniejsza jadalnia, kuchnia i cztery sypialnie. Pokoje dla gości zajmowały drugie

piętro. Każdy miał własną, małą łazienkę. Wyżej, pod stromym dachem, znajdował się strych.

O strychu Dean wolał na razie nie myśleć.

Wybudowany w 1892 roku przez przybyłego z Anglii Jamesa Camerona zajazd miał wygląd wiejskiego domu. W stromym dachu wybrzuszały się przesłonięte okiennicami mansardowe okna, a cały budynek obiegała zewnętrzna galeria skryta w cieniu dachu. Przez ostatnie sześć lat nikt tu nie mieszkał. Szyby w niektórych oknach były powybijane, kilka okiennic wisiało na jednym zawiasie, ze ścian łuszczyła się farba.

Ogród wyglądał nie lepiej lub jeszcze gorzej. Uschłe chwasty, wybujałe krzewy i nie przycinane drzewa tworzyły chaotyczną plataninę, w której gubiły się ślady alejek. W tym żalonym zaniedbaniu Dean potrafił jednak dostrzec elegancką prostotę pierwotnej kompozycji, którą zamierzał teraz odtworzyć.

Na razie do zamieszkania nadawały się jedynie dwie sypialnie i niewielki salonik. Odnowiono je i urządzono pod nieobecność Deana, ale zgodnie z jego poleceniami. Miały służyć jemu i ciotce Mae jako punkt wyjścia do dalszych systematycznych poczynań. Teraz, spacerując po ogrodzie, notował w głowie, co było w nim do zrobienia. Poza pracami ogrodniczymi, co było oczywiste i co miał zamiar zrealizować w najbliższym czasie, snuł także bardziej dalekosiężne plany. Teren był tak wielki, że z powodzeniem będzie mógł wystawić w nim kilka wolno stojących domków, na przykład dla par w podróży poślubnej. Naturalnie najpierw trzeba będzie wyburzyć i usunąć szczątki zabudowań, pamiętających zapewne czasy Camerona, które nie nadawały się do remontu.

Było już późne popołudnie i na trawie przed nim kładły się długie cienie. Przed powrotem do domu postanowił jeszcze

obejrzeć z bliska stare zabudowania w najdalszym krańcu posiadłości. Nim jednak dotarł do drzwi, stanął jak wryty.

W porównaniu z Chicago w Arkansas było całkiem ciepło. Jednak przed budynkiem, który postanowił obejrzeć z bliska, owionął go lodowaty powiew, przenikający do szpiku kości. Odruchowo cofnął się o parę metrów i od razu znowu zrobiło mu się ciepło.

Postąpił kilka kroków do przodu i niesamowicie zimno powróciło. Dokładnie w tym samym miejscu przeszył go lodowaty dreszcz. Było w tym coś zupełnie niezrozumiałego. Nie wszedł w cień, nie znalazł się w obniżeniu terenu, nic nie tłumaczyło tego, czego bardzo wyraźnie doświadczał. A jednak nie miał wątpliwości, że dzieje się coś dziwnego. Poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Powoli odwrócił się tyłem do niesamowitego miejsca.

Stała tuż za nim na ścieżce, którą dopiero co przyszedł. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć.

A jednak nie wykonał najmniejszego ruchu. Miał niejasne przeczucie, że jego dłoń przeszłaby przez nią na wylot, jak przez mgłę. Widział krzak róży rosnący za stojącą na ścieżce kobietą. Widział go jak przez cienki, biały muślin. Tylko jej twarz była wyraźna i... nieopisanie piękna. Ta sama twarz, którą ujrzał poprzednio na strychu.

- Nie... - zaczął i urwał, ale zmusił się, by dokończyć:
- nie wierzę w duchy.

Uśmiechnęła się do niego. Poruszyła ustami, ale niczego nie słyszał. Zrobiła zmartwioną minę.

- Nie mam zamiaru zwariować - oznajmił twardo, choć mniej pewnie, niż zamierzał.

Pokręciła głową, jakby w ten szczególny sposób chciała potwierdzić prawdziwość jego słów i może dodać mu otuchy.

Jeśli o to jej chodziło, to nie osiągnęła celu.

Przyszli mu na myśl ludzie, wedle których porzucając pewną karierę w Chicago, dowiódł, że upadł na głowę. Przypomniał sobie swoją byłą żonę, która zadzwoniła do niego przed paroma dniami i zapytała, czy nie przeżywa załamania nerwowego spowodowanego rozwodem. Oczywiście zaprzeczył.

Teraz nie byłby już taki przekonany.

- To jakiś absurd - oświadczył głośniej, niż zamierzał, ale nie potrafił oderwać wzroku od twarzy nieznajomej. - To żart, prawda? Takie dziwne powitanie nowego mieszkańca Destiny? Czy to obraz rzutowany za pomocą jakiegoś cudu techniki?

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz współczucia.

No, ładnie. Zrodzona w jego głowie halucynacja chce mu wyrazić swoją życzliwość:

- Ha, ha, ha - zaśmiał się sztucznie. - Świetny żart. Naprawdę. Proszę mi wytłumaczyć, jak to działa. Jestem pełen uznania. Ale teraz proszę mi wybaczyć, mam jeszcze coś do zrobienia, więc może damy spokój żartom.

Kobieta nie zniknęła. Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem i wyciągnęła rękę.

Wzruszył ramionami.

- No dobrze - oświadczył. - Jeżeli są jakieś problemy z zakończeniem projekcji, to mogę się odwrócić. Policzę do trzech i duch zniknie. Dobrze?

Nieznajoma poruszyła ustami. Nie dałby głowy, ale wydało mu się, że mówi „zaczekaj”.

Odwrócił się. Zamiast do trzech policzył do dziesięciu. Potem jeszcze do dwudziestu. Najwolniej jak potrafił. Kiedy znów stanął twarzą w kierunku zajazdu, kobiety nie było.

Odetchnął z ulgą. Rozejrzał się wokół. Miał wielką ochotę odnaleźć żartownisia i porachować mu wszystkie kości. Opa-

nował się. Nie ma powodu, żeby reagować tak nerwowo na głupi kawał.

- Witamy w Destiny - mruknął z ironią i pokręcił głową.
- Witamy w Destiny, mieście duchów i placka z owocami.

Idąc w stronę domu, to zerkał wokół, to spuszczał głowę niepewny, czy aby rzeczywiście chce jeszcze kogoś spotkać. Ładny początek, pomyślał. Oby tylko na tym się skończyło.

- Mówiłem, że cię nie usłyszysz. - Ian nie mógł sobie darować tej drobnej satysfakcji.

Anna długo patrzyła w ślad za maszerującym w kierunku zajazdu mężczyzną.

- Teraz przynajmniej nie możesz powiedzieć, że nas nie widzi.

- Właśnie, że nie widzi. Widzi tylko ciebie - poprawił ją.
- Jestem pewna, że widział nas oboje. Tyle że to ja się do niego odezwałam. Byłam pewna, że mnie usłyszysz.

- Nie zapominaj, że jesteś duchem, kochanie. Nie mógł cię usłyszeć. Nie dałbym głowy nawet za to, że naprawdę cię widział - zdobył się na kostyczny żart.

- Widział mnie - upierała się. - I dokonam tego, że będzie mnie także słyszał. Następnym razem muszę się zdobyć na większy wysiłek.

- Anno...

- Masz lepszy pomysł? Czy może zamierzasz spędzić tu całą wieczność? Ja przynajmniej próbuję coś dla nas zrobić!

- Ja tylko nie chcę, żebyś się rozczarowała. To dostatecznie bolesne błąkać się tutaj, nie wiedząc, co się nam przydarzyło i dlaczego. Nie mamy pojęcia, czemu tu jesteśmy, nie wiemy, jaka siła może nas stąd wybawić, ani co się z nami stanie, jeśli ktoś nas stąd uwolni.

- Ja wiem, czemu tu jesteśmy. Musimy oczyścić swoje

imię, odeprzeć wreszcie te wszystkie zarzuty, którymi nas obrzucano. Trzeba tylko, żeby ktoś pomógł nam poznać prawdę, żeby opowiedział wszystkim dookoła, co się zdarzyło. Wtedy będziemy wreszcie wolni. Tylko takie wyjaśnienie ma jakiś sens.

Ian nie miał ochoty się kłócić. W końcu dobiegało kresu już trzecie ćwierćwiecze, a oni powtarzali w kółko te same argumenty.

Anna stanęła plecami do brata. Był równie zawzięty jak mężczyzna, z którym usiłowała się porozumieć. Zaprzeczać istnieniu duchów, gdy ma się przed sobą jednego z nich. Co za upór, pomyślała.

Tylko tak się składało, że i ona była uparta.

Rozdział 2

Czy to zjawą, czy tylko nocna mara?

John Keats

Dean i Mae właśnie kończyli kolację, gdy rozległ się dźwięk stylowego dzwonka z lat pięćdziesiątych. Dean, który niewiele zjadł, poderwał się na nogi i pośpieszył do drzwi. Dzwonek oznaczał dla niego wybawienie od odbierających mu spokój i apetyt rozważań. Gdy odchodził od stołu, ciotka Mae patrzyła za nim wzrokiem pełnym troski.

Dean nie mógł się wyzbyć nadziei, że za drzwiami znajdzie rozwiązanie dręczącej go zagadki. Właściwie wiedział, że się łudzi, ale jednocześnie liczył po trochu na uścisk dłoni, wyrazy uznania za zachowanie spokoju i obietnicę, że przykry żart więcej się nie powtórzy.

Jego nadzieje rozwiały się, gdy tylko ujrzał, kto stoi na progu. Z całą pewnością kobieta trzymająca tortownicę nie mogła być autorką ekscentrycznych kawałów.

- Dobry wieczór, Sharyn - powitał pośredniczkę w handlu nieruchomościami, w której towarzystwie po raz pierwszy przybył do zajazdu.

Ku uciesze ciotki Mae i zakłopotaniu Deana trzydziestoparoletnia Sharyn Burton nie kryła zainteresowania sytuacją

życiową swojego klienta. Dean nie miał pojęcia, co właściwie widziała w jego najzwyczajszej na świecie fizjonomii, kasztanowych włosach i niebieskich oczach, najwyraźniej jednak było w nim coś, co ją pociągało.

- Cześć. - Sharyn obdarzyła Deana olśniewającym uśmiechem i weszła do środka. - Pomyślałam sobie, że należy uczcić wasz przyjazd i przyniosłam ciasto brzoskwiniowe.

- To miło z twojej strony. - Dean odebrał z rąk nowo przybyłej tortownicę, niepewny, co ma dalej począć.

W holu nie było nawet gdzie posadzić gościa. Znajdował się w nim tylko kontuar recepcyjny, który, jeśli mógł wierzyć Sharyn, należał do pierwotnego wyposażenia wnętrza, i masywny, kuty żyrandol zwisający pośrodku sufitu, dający więcej cienia niż światła. Dean wolał nie patrzeć w mroczne kąty, choć uważał, że nikogo w nich nie ujrzy.

Pomimo podłego nastroju w odruchu uprzejmości zaprosił Sharyn do świeżo odnowionego saloniku. Natomiast ciotka Mae szczerze ucieszyła się z wizyty i udała się do kuchni po dodatkowe nakrycie. Skosztowali deseru i wygłosili stosowne pochwały.

- Miło mi, że wam smakuje. - Sharyn obdarzyła Deana uśmiechem, który jasno wskazywał, na czyjej opinii naprawdę jej zależało.

Dean uciekł spojrzeniem w bok. Nie miał pojęcia, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Sharyn była sympatyczna, ale nie miał najmniejszej ochoty na nawiązanie z nią bliższej znajomości. Ani zresztą z nikim innym. Przynajmniej na razie.

Zdał sobie sprawę, że przez cały czas myśli o nieznamym. Kim była kobieta, której podobiznę rzutował ktoś za pomocą tajemniczego projektora? Czy Sharyn rozpoznałaby ją, gdyby opowiedział, jak wyglądała? Jeżeli nawet tak było, to coś powstrzymywało go od podjęcia tego tematu.

- Słyszałam, że rozmawiałeś dziś z burmistrzem- zaczęła Sharyn.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Tu nowiny szybko się rozchodzą - rzuciła tonem wyjaśnienia. - Wystarczy, że kichniesz, i całe miasto wie, że masz katar.

Powinien być na to przygotowany. Wiedział, że ludzie w małych miasteczkach żyją plotkami, ale do głowy mu nie przyszło, że sam może stać się ich bohaterem.

- I jak wam się spodobał?

Dean wzruszył ramionami. Ciotka Mae rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Wydaje się miły. Może tylko trochę zanadto przejęty pozycją swojej rodziny - oświadczyła z właściwą sobie szczerością.

Sharyn zachichotała.

- Jeżeli wydaje wam się, że on jest przejęty pozycją swojej rodziny, to powinniście porozmawiać z jego matką. Burmistrz lubi imponować ludziom, ale tak naprawdę to o wszystkim decyduje ona. Wzywa synka, wydaje polecenie i zanim ktokolwiek się obejrzy, władze miasta realizują nowy wspaniały pomysł. Zwykle zresztą na koszt podatników. Margaret Peavy Vandover uważa się niemal za królową matkę.

- Dlaczego w takim razie nie wybieriecie innego burmistrza? Czemu pozwalacie, żeby miastem rządziła matka Vandovera? - Dean nie mógł zrozumieć stosunków panujących w miasteczku.

- Z przyzwyczajenia - przyznała zakłopotana Sharyn. - Rodzina Peavych od lat trzęsie miastem. Charles jest burmistrzem, jeden z jego kuzynów komendantem policji, a inny krewny reprezentuje stan Arkansas w Kongresie. To zamożna rodzina i stać ją na realizację szeregu wartościowych proje-

któw. One także z reguły służą uświetnieniu ich nazwiska. Wkrótce na przykład otworzą bibliotekę publiczną imienia Charlesa Peavy'ego, dziadka naszego burmistrza. A tak przy okazji, zajazd, w którym właśnie jesteśmy, też kiedyś do niego należał.

- Tak, burmistrz coś chyba o tym wspominał.

- Jego pradziad, Gaylon Peavy, ożenił się z wdową po Jamesie Cameronie, który w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wybudował zajazd. Ona chyba miała na imię Amelia... James zmarł podczas epidemii grypy, kiedy żona była w ciąży. Urodziła bliźnięta, a w dziesięć lat później wyszła za Gaylona. On prowadził zajazd do śmierci... Zmarł w latach trzydziestych naszego wieku. Potem właścicielem zajazdu został Charles, syn Gaylona z poprzedniego małżeństwa, który ostatecznie sprzedał zajazd w latach pięćdziesiątych.

- Nieźle znasz historię tego miejsca - zauważył Dean.

Sharyn nigdy wcześniej nie wspominała tych wszystkich wydarzeń. Może dlatego, że nie pytał?

- Wszyscy tu znają losy „Cameron Inn”.

- Skoro tak, to opowiedz o duchach! - W końcu doszli do tej części historii, która najbardziej interesowała ciotkę Mae.

- To bliźnięta, dzieci Amelii.

Sharyn wyraźnie się ożywiła. Widać i dla niej kwestia duchów jest znacznie ciekawsza od dziejów kolejnych właścicieli, pomyślał zrezygnowany Dean. Czy jest jedynym człowiekiem w mieście, którego nic nie obchodzi te stare opowieści? Pewnie tak.

- Wspominałam ci, że ludzie uważają to miejsce za nawiedzone - zastrzegła się Sharyn, jakby wyczuła jego dezaprobatę. - Może cię to nie interesowało, ale nie chciałam, żeby wyglądało, że coś przed tobą ukrywam.

Skinął głową.

- Rzeczywiście, coś mi mówiłaś. I rzeczywiście nie wzbudziło to mojego zainteresowania. Nie wierzę w duchy.

Ile razy będzie to jeszcze musiał powtórzyć, zanim wreszcie wszyscy zrozumieją, że nie ma co podejmować przy nim tego tematu?

Mae tylko machnęła ręką.

- Ja za to jestem bardzo zaciekawiona, Sharyn. Uwielbiam opowieści o duchach i bardzo chętnie posłucham o bliźniętach.

Sharyn zawahała się przez chwilę.

- Nie chciałabym, żebyś się tu źle czuła.

- Bzdura. Już jestem zakochana w tym domu. Od pierwszej chwili czułam się tu mile widzianym gościem i myślę, że duchy będą zadowolone z tego, co mamy zamiar zrobić.

- Bardzo możliwe. O ile wiem, bliźnięta kochały to miejsce całym sercem. To przywiązanie odziedziczyły po matce, dla której zajazd był pamiątką po ukochanym mężu. Ludzie opowiadają, że Ian Cameron handlował w latach prohibicji alkoholem, a nawet popełnił morderstwo, żeby zdobyć środki na odnowienie i powiększenie zajazdu.

Dean poczuł zimny dreszcz, dokładnie taki sam, jaki przebiegł mu po plecach przed spotkaniem w ogrodzie. Poprawił się na krześle i postanowił, że za nic w świecie nie pozwoli zrobić z siebie idioty.

- Morderstwo? - Mae była wyraźnie poruszona.

Sharyn skwapliwie przytaknęła.

- Ponad wszelką wątpliwość handel alkoholem był w tych czasach doskonałym źródłem zarobku. Nielegalne dostawy trafiały stąd do kasyn gry w Hot Springs. Musicie pamiętać, że Hot Springs było modnym kurortem, bywali tam Al Capone i Bugsy Siegel. Ludzie mówią, że Ian Cameron był z nimi

związany. Nigdy nie robił tajemnicy z tego, że po skończeniu dwudziestu pięciu lat zamierza wiele zmienić w zajazdzie.

- A kogo zamordował? - spytała Mae.

- Oficera policji z Little Rock. Zwłoki znaleziono o niecałą milę od zajazdu. W dwa tygodnie potem Ian i Anna zostali zastrzeleni przez policjanta, który prowadził śledztwo i obserwował miejsce spotkań przemytników.

- Kiedy to było?

- Czternastego lutego 1921 roku - odparła bez namysłu Sharyn. - W dzień świętego Walentego, w ich dwudzieste piąte urodziny.

- Właśnie gdy mieli przejąć zajazd? - Dean uświadomił sobie, że mimo wszystko dał się wciągnąć w dramatyczną historię bliźniąt.

- Tak. Matka zapisała bliźniętom zajazd w testamencie, ale z zastrzeżeniem, że przejmą zarząd, dopiero gdy skończą dwadzieścia pięć lat. Do tego czasu wszystko miało pozostać w rękach ich ojczyma. Ludzie mówią, że to on ją przekonał, że nie można powierzyć im interesu, dopóki nie wydorośleją na tyle, żeby dać sobie ze wszystkim radę. Amelia pewnie zresztą sądziła, że będzie żyła dłużej. W każdym razie po jej śmierci między Gaylonem Peavym a bliźniętami nieraz dochodziło do kłótni o to, jak kierować zajazdem. Po ich śmierci zajazd trafił ostatecznie w jego ręce.

- A czy nikt nie podejrzewał, że to Gaylon mógł być odpowiedzialny za śmierć bliźniąt? - spytał Dean. - Miał w końcu powody, żeby się ich pozbyć.

Sharyn pokręciła głową.

- Słyszało się i takie głosy, ale to mało prawdopodobne. Bliźnięta zginęły podczas strzelaniny, jaka wywiązała się pomiędzy przemytnikami a miejscowym policjantem Tagertem. Tagert obserwował zajazd od śmierci tego oficera, którego

miał zabić Ian Cameron, i przyłapał bliźnięta na konszachtach z miejscowym kryminalistą, który nazywał się Buck... Nie pamiętam nazwiska. Tak czy siak, to Ian i Buck zaczęli strzelać, a Tagert działał w obronie własnej. To on zastrzelił Bucka. Anna prawdopodobnie zginęła od przypadkowej kuli, a Ian podobno popełnił samobójstwo po śmierci siostry.

- To straszne - mruknęła przejęta ciotka Mae.

Dean znów poprawił się na krześle. Zastanawiał się, czy Sharyn i Mae też czują, że w pokoju zrobiło się nagle lodowato zimno. Zdaje się, że trzeba będzie zająć się remontem instalacji grzewczej.

Sharyn odwróciła się do niego.

- Widziałeś niewielki budynek na samym końcu posiadłości? To dawna stróżówka. Tam właśnie doszło do strzelaniny, podczas której zginęły bliźnięta. Znalaziono w niej skrzynię z alkoholem.

Dean poczuł nagle, że żołądek gwałtownie mu się zaciska. A więc, cokolwiek widział, widział na miejscu morderstwa. Przed oczami znów stanęła mu napotkana na ścieżce kobieta. Pamiętał jej błagalny wzrok, jakby czegoś od niego chciała... To było przywidzenie, napomniał sam siebie. To nie mogło być nic innego. Wszystko się wyjaśni, powtarzał sobie, nie ma tu żadnych duchów. A jednak nie mógł nie zadać pytania:

- Mówiłaś, że ludzie widywali tu duchy bliźniąt. To prawda?

- Tylko parę razy w ciągu tych wszystkich lat. Zresztą sam wiesz, jak to jest. Ktoś słyszał od kogoś, że ktoś widział Iana i Annę. Zwykle w dzień świętego Walentego. Zresztą nikt nie wie na pewno, jak wyglądali. Nie zachowały się żadne zdjęcia. Ludzie mówią, że Gaylon Peavy był zdruzgotany i spalił wszystkie pamiątki, jakie po nich zostały.

- W tym roku mija siedemdziesiąta piąta rocznica ich

śmierci - obliczyła ciotka Mae. - Może ich zobaczymy, Dean. W walentynkową noc przepłyną przez hol dwie zwiewne postacie z butelkami whisky w rękach. Co ty na to?

Sharyn miała przestraszona minę.

- Lepiej sobie nie żartuj.

Ciotka Mae wybuchnęła śmiechem.

- Szczerze mówiąc, Sharyn, to podobnie jak mój siostrzeniec nie wierzę w duchy. Choć na pewno byłoby z nimi ciekawiej na świecie.

- Ja myślę, że to straszne zobaczyć ducha - oświadczyła poważnie Sharyn.

- Mam tylko nadzieję, że żaden miejscowy żartowniś nie pomoże nam ich zobaczyć - mruknął Dean.

I Sharyn, i ciotka Mae były zaskoczone jego słowami.

- Co masz na myśli? - spytała Sharyn. - Nikt by czegoś takiego nie zrobił. Wprawdzie zdarzało się, że jacyś chłopcy straszili dziewczyny, wiesz, jak to jest w tym wieku. Ale nie sądzę, żeby ktoś próbował zrobić wam głupi kawał.

- Skąd ci to przyszło do głowy, Dean? - zagadnęła go ciotka Mae. - Czy zdarzyło się coś dziwnego?

Pokręcił głową. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie miał ochoty opowiadać o tym, co widział na strychu, a potem w ogrodzie.

- Dajmy temu spokój. W każdym razie nie ma mowy, żebym pozwolił się nabrać na jakieś głupie kawały.

Niedługo potem Sharyn zaczęła się zbierać do wyjścia. Dean odprowadził ją do drzwi i pożegnał bez zbędnej wylewności. Przekręcił klucz z poczuciem ulgi, że zostają sami. Był zmęczony, a czekało go sporo pracy, więc następnego dnia chciał wcześniej wstać.

- Dobranoc, kochanie. - Mae wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

- Dobranoc, ciociu. Śpij dobrze.
 - Boisz się, że przyśnią mi się duchy? - spytała z uśmiechem. - A może martwisz się o to, co się tobie przyśni?
 - Jestem taki skonany, że chyba nie będę miał dziś żadnych snów.
 - A czy ty jeszcze w ogóle umiesz śnić, Dean? - spytała zmartwiona.
 - Nie wiem, o co ci...
- Potrząsnęła głową.
- O nic ważnego. Ja też już idę spać.
- Zamknęła mu drzwi przed nosem. Dean pokręcił głową i poszedł do swojego pokoju. Czuł, że naprawdę trzeba mu snu.

W środku nocy coś go zbudziło. Nie umiałby powiedzieć co. W pokoju było cicho i spokojnie, a jednak od razu wiedział, gdzie ma spojrzeć, żeby ją zobaczyć. Stała w najbardziej mrocznym kącie. Jej biała sylwetka zdawała się rozświetlona leciutką poświatą. Teraz też miała na sobie długą białą suknię i tak samo jak poprzednio błagała go wzrokiem o pomoc.

Poruszyła ustami. Tym razem ją usłyszał. Brzmiało to jak zanikający szept. Bardziej nawet jak tchnienie niż szept.

- Kłamstwa - dobiegło go i ciarki przeszły mu po kręgosłupie. - Wszystko, co ci mówiła... to kłamstwa. Nie zrobiliśmy nic złego... to nie było... Przekleństwo...

Umilkła, a jej zwiewna postać zadrzała jak poruszony musnięciem wiatru jedwab. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos stał się jeszcze cichszy i słabszy, ledwo słyszalny.

- Pomóż nam... - W szepcie zabrzmiało rozpaczliwe błaganie. - Proszę... pomóż nam...

Zniknęła.

Dean potrząsnął głową. Wpatrywał się w pusty kąt. W mroku widział zarys krzesła, na którego oparciu powiesił białą koszulę.

To był sen, pomyślał.

Najwyraźniej uległ sugestii. Choć nie wierzył w historie opowiadane przez Sharyn, to zapisały się one w jakiś sposób w jego umyśle, by powrócić we śnie. Kiedy ocknął się w środku nocy, biała koszula wydała mu się ubraną w suknię kobietą. Wyciągnął się na łóżku. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit. Coś takiego jeszcze mu się nie zdarzyło. Miał tylko nadzieję, że kiedy przywyknie do nowego miejsca, wszystko wróci do normy i zapomni o tym dziwnym epizodzie. Przewrócił się na bok i zamknął oczy. Starał się nie myśleć o niczym. W uszach cały czas miał jednak miękki szept błagający go o pomoc.

Anna niecierpliwie tupnęła nogą. Złościło ją, że leżący na łóżku mężczyzna spokojnie sobie śpi. Nie słyszał jej już, przestał ją słyszeć w chwili, kiedy wyciągnął się na łóżku.

- Daj spokój, Anno. On nawet nie wie, że tu jesteśmy - odezwał się Ian.

Wiedziała, że brat ma rację, ale nie mogła się uspokoić. Do szału doprowadzała ją myśl, że Dean - teraz wiedziała, jak mu na imię - leży tuż obok, a jednak poza jej zasięgiem.

Musiał być jakiś powód, dla którego tak łatwo było mu ją zobaczyć. Nie mogła tego pojąć, jednak za każdym razem, gdy udało jej się nawiązać z nim kontakt, coraz wyraźniej czuła, że jest w nim coś szczególnego.

Nikt dotąd nie zauważył jej tyle razy i nikt nie reagował na nią tak mocno, chociaż ze wszystkich sił starał się zaprzeczyć jej istnieniu. Anna czuła, że nareszcie spotkała kogoś, kto będzie umiał im pomóc.

Była w saloniku i słyszała, jak Sharyn powtarza stare kłamstwa na ich temat. Znała je już wcześniej. Nieraz zdarzyło się, że niewidzialna i niesłyszalna dla ludzi stała przy nich, kiedy rozmawiali o niej i Ianie, powtarzając to, co zeznał przed laty Stanley Tagert. Za każdym razem miotała nią ta sama złość i rozpacz, ale tego wieczoru była poruszona bardziej niż kiedykolwiek dotąd. A w dodatku ta cała Sharyn była okropna. Miała brzydkie, tlenione włosy, była przesadnie wymalowana i robiła słodkie oczy do Deana.

Musi znaleźć jakiś sposób, by porozumieć się z tym mężczyzną. Musi go przekonać, że w krążących po okolicy plotkach nie ma ani słowa prawdy. Że ją i Iana zamordowano, a potem na dodatek obrzucono ohydnyymi oszczerstwami.

Gdyby Dean przywrócił im dobre imię i wskazał zabójcę, byłiby wreszcie wolni. Wbrew temu, co mówił Ian, była o tym głęboko przekonana. To miało być jak w książkach, które tak chętnie czytała w młodości. Tylko najpierw Dean musi zrozumieć, o co jej chodzi.

Podeszła bliżej łóżka. Dean miał zamknięte oczy, oddychał miarowo i spokojnie. Był bardzo przystojnym mężczyzną o szerokich ramionach i mocnej klatce piersiowej. Bardziej przypominał jej brata niż narzeczonego. Jeffrey był trochę za blady i za miękki. Ale był słodki i miły, powiedziała sobie zaraz, czując, że nie powinna czynić takich porównań. Byłby wspaniałym mężem. Los odmówił jej jednak małżeństwa.

Wyciągnęła rękę do leżącego w łóżku mężczyzny.

- Dean? Dean? Słyszysz mnie?

Czubkami palców musnęła jego twarz. To było dziwne uczucie. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie suwali z łanem butami po wełnianym dywanie, a potem dotykali się czubkami palców. Wtedy przeskakiwały między nimi leciutko kłujące iskierki.

Dean skrzywił się, potarł twarz dłonią i nie budząc się, przewrócił na drugi bok.

- On nie ma pojęcia, że tu jesteś - łagodnie przypomniał jej Ian. - Musimy już iść, Anno.

Ona sama także czuła, że jakaś tajemnicza siła każe im już wracać do tego szarego, pustego i cichego miejsca, którego nie umiałyby nazwać, i gdzie nigdy nie było nikogo prócz nich dwojga. Rzuciła ostatnie spojrzenie na śpiącego. Ciekawa była, czy zastanie go, kiedy wróci do zajazdu, czy też będzie wtedy już tylko częścią jej historii.

Nie była pewna, lecz coś jej mówiło, że go jeszcze spotka.

Rozdział

3

Duch, lecz i kobieta zarazem.

William Wordsworth

Ku swej uldze przez kilka następnych dni Dean nie natknął się na ducha kobiety. Rozpoczęły się prace remontowe i po zajeździe kręcili się nieustannie rozmaici rzemieślnicy: stolarze, hydraulicy, elektrycy, tynkarze i malarze.

Dean zdawał sobie sprawę, że zanim doprowadzi zajazd do stanu, jaki sobie wymarzył, jego oszczędności stopnieją do zera, ale, o dziwo, nie przejmował się tym zbyt. Nawet bankructwo wydawało mu się lepsze od monotonnego i nudnego życia, jakie prowadził w Chicago.

Mieszkańcy Destiny przyjęli go sympatycznie i szybko uznali za swego. Zaproszono go na posiedzenia Izby Handlowej, na spotkania do Klubu Rotariańskiego i do Klubu Optymistów, na nabożeństwa do wszystkich znajdujących się w miasteczku kościołów, a nawet proponowano mu wstąpienie do miejscowego zespołu koszykówki. Z tej ostatniej oferty nie skorzystał, podobnie jak z zaproszeń lokalnego koła wędkarskiego i koła łowieckiego.

Pytanie, jak ma spędzać wolny czas, sprawiało mu kłopot, bo właściwie nigdy dotąd go nie miał. Z decyzją nie musiał się

na szczęście śpieszyć, bo na razie prace przy zajeździe wymagały jego nieustannej obecności.

Północny akcent i wielkowiejskie nawyki były przedmiotem dobroduszných żartów, a to skłaniało go do wracania myślami do tego, co przydarzyło mu się na samym początku pobytu w Destiny. Jednak wbrew jego oczekiwaniom nikt dotąd nie przyznawał się do kawału.

Za każdym razem, gdy jechał do miasteczka, poznawał kogoś nowego. Uważnie przyglądał się ludziom w domu towarowym, sklepie spożywczym, na poczcie czy w restauracji, ale nigdy nie natrafił wśród nich na ciemnowłosą i ciemnoooką kobietę, na myśl o której serce zaczynało mu bić szybciej, i to bynajmniej nie ze strachu przed duchami.

Kim była? Czy ją jeszcze spotka? Wmawiał sobie, że to tylko ciekawość każe mu stawiać takie pytania.

W ciągu tego tygodnia kilkakrotnie natknął się na Marka Wintera. Cenił sobie jego kostyczny humor i cieszyła go myśl, że z czasem mogą zostać przyjaciółmi.

Nadeszła niedziela. Po południu, gdy Dean malował poręcz ganku, w drzwiach ukazała się ciotka Mae.

- Dean, telefon do ciebie. Dzwoni Bailey.

Zszedł z drabiny. Ciotka miała potargane włosy i zakurzone ubranie.

- Gdzieś się tak ubrudziła? - spytał. - Wydawało mi się, że jest tu już całkiem czysto.

- Byłam na strychu.

Pędzel omal nie wypadł mu z ręki. Odłożył go do puszek z farbą i wszedł do środka. Ciotka poszła w jego ślady.

- Na strychu? A po co? - zapytał tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

- Z ciekawości - odparła trochę zaskoczona. - Co się stało, Dean? Nie powinnam tam wchodzić?

- Nie... nie - bąknął zakłopotany. - Tylko uważaj na schodach. Są strasznie strome.

- Dobrze, będę ostrożna, chociaż nie wydaje mi się, żeby te schody były jakieś szczególnie niebezpieczne.

Mae patrzyła na niego zdziwiona, ale kiedy podniósł słuchawkę, zostawiła go samego, żeby mógł spokojnie porozmawiać.

Młodsza siostra Deana, Bailey, prowadziła sklep z antykami w Chicago.

- Nie uwierzysz, Dean - usłyszał w słuchawce rozentuzjzmowany głos Bailey - ale znalazłam dla ciebie piękne meble do saloniku! Cały komplet z początku wieku. Kanapa, dwa fotele, cztery krzesła i stolik. W sam raz na wyposażenie apartamentu dla małżeństwa w podróży poślubnej. Trzeba będzie jeszcze tylko dobrać do tego lampy i gotowe. I to niedrogo.

- To wspaniale, Bailey. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. Szukam teraz czegoś do sypialni. Na razie mam na oku podwójne łóżko z tysiąc dziewięćset cztertnastego roku, biurko z dwudziestego szóstego roku, wielkie małżeńskie łóże, trzydrzwiową szafę i nocny stolik.

- Bardzo się cieszę, że o mnie myślisz.

- No pewnie. Co u was słychać? Ciocia Mae mówiła, że wszystko idzie jak po maśle.

- Jest jeszcze dużo do zrobienia, ale na razie rzeczywiście wszystko dobrze się układa. Mam nadzieję, że otworzymy zajazd koło pierwszego lipca.

- Wspaniale! Biorąc pod uwagę, ile mieliście do zrobienia, to naprawdę świetne tempo.

- To prawda - przyznał. - Chciałbym zdążyć z najważniejszymi pracami przed końcem sezonu letniego, a kiedy w lutym zaczną się wyścigi konne w Hot Springs, mieć już wszystko zapięte na ostatni guzik.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę i mimo pogodnego tonu Bailey Dean wyczuł, że siostrę coś niepokoi. Spytał, czy coś się stało.

- Nie, nie - zaprzeczyła przesadnie lekkim tonem, co utwierdziło go to tylko w podejrzeniach. - Jestem po prostu zmęczona. Mieliśmy ostatnio dużo pracy.

- A jak tam sprawy sercowe?

- Trudno mi coś powiedzieć na ten temat - odparła po chwili namysłu.

Dean pokręcił głową. Bailey z uporem godnym lepszej sprawy angażowała się w związki z mężczyznami mającymi wyraźne problemy emocjonalne. Nie potrafiła odwrócić się od nikogo, kto, jak jej się wydawało, potrzebował pomocy. Dean nieraz powtarzał siostrze, że któregoś dnia zda sobie wreszcie sprawę, że troszczyła się w życiu o wszystkich prócz siebie, tylko że wtedy będzie już za późno. Z drugiej strony nie chciał wtrącać się w jej osobiste sprawy. Miał nadzieję, że Bailey sama powie mu, co ją martwi, ale ona zmieniła temat.

- Ciocia Mae mówiła mi o duchach. Na twoim miejscu próbowałabym dowiedzieć się czegoś więcej. To może zainteresować gości.

Dean westchnął.

- Powtarzam wszystkim, że nie mam zamiaru rozgrzebywać jakichś starych historii. Kupiłem zajazd, a nie nawiedzone zamczysko.

- Sam wiesz, Dean, że zafascynowała cię historia tego miejsca. Nigdy nie uwierzę, że w głębi serca nie chciałbyś wiedzieć o nim czegoś więcej, nawet jeśli to tylko legenda.

Trudno było dyskutować z Bailey.

- Skoro ujmujesz to w taki sposób...

- Mógłbyś napisać do miejscowej gazety artykuł o losach

zajazdu Na pewno by ci to nie zaszkodziło. Ludzie lubią takie historie, nawet jeśli nie wierzą w duchy.

- Zastanowię się nad tym.

- To dobrze. Nie mogę się doczekać, kiedy do was przyjadę i zobaczę to wszystko na własne oczy.

Bailey była w zajeździe tylko raz, kiedy Dean prosił ją o radę, czy ma go kupić. Podobnie jak on od razu zakochała się w tym miejscu i jej opinia miała decydujące znaczenie.

- Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy. Stęskniłem się za tobą.

- Aha, coś mi się przypomniało - odezwała się Bailey, gdy myślał, że to już koniec rozmowy. - Wpadłam ostatnio na Glorię.

- Tak? - podjął bez entuzjazmu. - I co?

- Pytała mnie o ciebie. Ciekawił ją twój stan psychiczny. Zarozumiała kre... No, w każdym razie jest absolutnie przekonana, że nie możesz bez niej żyć i że to się skończy dla ciebie załamaniem psychicznym.

- Myli się - odparł krótko.

- Wiem. Ona po prostu nie chce przyjąć do wiadomości, że bez niej jest ci lepiej niż z nią. Co dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości. I tak jej zresztą powiedziałam.

Dean uśmiechnął się do siebie. Nie wątpił w prawdziwość słów siostry. Tak jak Mae, Bailey potrafiła być czasem szczerą aż do bólu.

- Chyba mnie znenawidziła - oznajmiła pogodnie Bailey.

- Ale jakoś to zniósę. To cześć, Dean. Trzymaj się dzielnie i daj mi niedługo znać, co porabiacie.

Odłożył słuchawkę. Przez dłuższą chwilę stał oparty o kon-tuar recepcyjny i pocierał w zadumie policzek. Jego myśli błądziły wokół bardzo różnych spraw. Martwił się o siostrę, cieszył z jej zakupów, zastanawiał się, czy na pewno zdąży ze wszystkim do pierwszego lipca.

Na piętrze hałasowali stolarze. Dean postanowił pójść do nich i zobaczyć, jak sobie radzą. Błądził wzrokiem po obszernym holu i zastanawiał się, co jeszcze ma do zrobienia. Poza stolarzami pracowali teraz w zajeździe także elektrycy wymieniający instalację. Kiedy skończą, będzie można przystąpić do malowania...

Nagle zapomniał o wszystkim. W kącie holu działo się coś dziwnego. Przez chwilę miał wrażenie, jakby pomiędzy nim i świeżo pomalowaną ścianą stał grzejnik, nad którym unosiło się rozgrzane powietrze. Zaraz potem pojawiło się coś, co wyglądało na szybko gęstniejącą mgłę.

Zamrugał, a kiedy to nie pomogło, zamknął oczy. Kiedy ponownie uniósł powieki, nie miał wątpliwości: w kącie holu coraz wyraźniej widać było wysmukłą kobietą sylwetkę w białej sukni. Z napięciem czekał, aż z mgły wyłonią się ciemne włosy i znajome oczy...

- Dean? Dean, popatrz tylko, co znalazłam! Nie uwierzysz. Odwrócił głowę.

- Co takiego, ciociu Mae?

Kiedy spojrzął w kąt holu, niczego tam już nie było widać. Wszystko wyglądało normalnie. Świeżo malowana ściana i tyle. Ani śladu kobiecej postaci, ciemnych włosów, patrzących błagalnie oczu.

- Nie przeżywam żadnego załamania nerwowego - wymamrotał przez zaciśnięte zęby, przeklinając w myślach swoją byłą żonę.

- Wielki Boże, co za mina, Dean! - wykrzyknęła ciotka Mae. - Nie zamartwiaj się, chłopcze, lepiej zobacz, co znalazłam na strychu.

Zerkając ciągle w stronę miejsca, w którym po raz kolejny ujrzał ducha, Dean podszedł do ciotki. Włosy miała jeszcze bardziej potargane i zakurzone.

- Co to takiego? - spytał.

Mae trzymała w lewej ręce kawałek starej, na wpół zbutwiełej tkaniny. W prawej ręce miała równie starą drewnianą ramkę. Pochylił się nad znalaziskami ciotki Mae. Tkaninę czuć było pleśnią i kurzem. Dean skrzywił się i kichnął.

- Znalazłam stary kufer pełen materiałów - krzyknęła z entuzjazmem i pomachała mu przed nosem tkaniną. - Możemy je użyć do dekorowania pokoi. No może niekoniecznie to, co trzymam w ręku. Ale te kolory i wzory... popatrz, jakie są piękne! Możemy je wykorzystać i zamówić coś podobnego.

Dean zrobił sceptyczną minę. Jego zdaniem trudno było powiedzieć, jaki właściwie był kolor strzępka w ręku Mae, nie wspominając już o wzorach.

- Ale nie to jest najważniejsze. - Ciotka podetknęła mu pod nos ramkę i spojrzała na niego, oczekując reakcji. - Jak myślisz, kto to jest?

Dean spojrzał bez większego zainteresowania. W ramkę wprawiona była fotografia, wyblakła i zakurzona. Ukazywała mężczyznę i kobietę stojących przed zajazdem. W pierwszej chwili nie zwrócił na nich uwagi, zainteresował go bowiem przede wszystkim sam budynek. Takie zdjęcie pozwoliłoby zorientować się, jak wyglądał zajazd przed wprowadzeniem zmian. Być może, pomyślał, można by je wykorzystać podczas prac renowacyjnych.

Dopiero po chwili przyjrzał się postaciom. I wtedy poczuł, że uginają się pod nim kolana. To była ona. Kobieta, którą spotkał na strychu, w ogrodzie, w swoim pokoju, a która teraz, przed niecałą minutą, zaczęła się wyłaniać z kąta holu!

Nie było mowy o pomyłce.

Kobieta była piękna. Trudno byłoby znaleźć jakieś lepsze określenie. Lśniące, ciemne włosy stanowiły wspaniałe obramowanie dla twarzy o delikatnych rysach. Wielkie oczy były

pełne wyrazu. Lekko wysunięty podbródek zdradzał silny charakter. Ślicznie zarysowane usta były leciutko rozchylone.

Nawet ta stara fotografia nie pozostawiała wątpliwości, że musiała być osobą pełną radości życia. Z jej oczu emanowała energia i inteligencja, choć teraz znacznie więcej było w nich nieokreślonej melancholii.

- Dean? - Głos ciotki dobiegał jak przez ścianę.

Nie mógł wykrztusić słowa. Cała jego uwaga skupiła się na parze ze zdjęcia. Kiedy napatrzył się na kobietę, przeniósł wzrok na jej brata.

Brat? Skąd to właściwie wiedział? Przecież równie dobrze mogliby być mężem i żoną. Ale po chwili utwierdził się w przekonaniu, że to rodzeństwo. Byli zbyt podobni do siebie, żeby mogło być inaczej. W podobieństwie ich rysów było coś niesamowitego. Fotografia uwieczniła bliźnięta. Mody mężczyzna miał równie ciemne jak siostra oczy, ostre, przenikliwe spojrzenie, prosty nos, szczupłe policzki i twardo zarysowany, mocny podbródek. W jego wyrazistych rysach było coś wojowniczego.

Gdyby urodził się wcześniej, z powodzeniem mógłby być jednym ze słynnych rewolwerowców z Dzikiego Zachodu albo przeciwnie, nieustraszonym szeryfem. Dziś - szefem jakiejś mafijnej organizacji lub odwrotnie, nieugiętym policjantem. Miał w sobie zaciętą determinację, która czyni z człowieka wyrzutka społeczeństwa albo bohaterkiego obrońcę prawa.

Przemytnik. Morderca. Dean przypomniał sobie opowieść Sharyn i przestał się dziwić, że wokół takiego człowieka narosła legenda.

- Dean? - powtórzyła Mae i położyła mu dłoń na ramieniu. - Dean, wszystko w porządku? Jesteś blady jak ściana.

- Ja... hmm... przepraszam - wybąkał z trudem, nie mogąc oderwać wzroku od zdjęcia.

- To muszą być oni, prawda? Znalazłam jedyną zachowaną fotografię bliźniąt. Od razu przyszło mi to do głowy, ale byłam ciekawa, co ty na to powiesz.

- Tak, to na pewno bliźnięta Cameron - odpowiedział.

Jak to możliwe, że widział tę kobietę? Jak mógł spotkać kogoś tak uderzająco podobnego do Anny Cameron? Czy możliwe, żeby to była jej... wnuczka? Czy też...

Z trudem przełknął ślinę.

- Dean, czy na pewno nic ci nie jest? Wyglądasz jakbyś za chwilę miał zemdleć.

Naszła go ochota opowiedzieć o wszystkim ciotce. O spotkaniu na strychu. O lodowatym zimnie, jakiego doznał na ścieżce prowadzącej do stróżówki, i o drugim spotkaniu, które uznał za jakiś dziwaczny żart. O tajemniczej prośbie, z jaką zwróciła się do niego w środku nocy kobieta ze zdjęcia. Zaraz jednak odrzucił ten pomysł. Nie mógł o tym powiedzieć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Wszystko w porządku, Mae - odezwał się wreszcie. - Pójdę na górę, zobaczę, jak sobie radzą stolarze.

Z niezrozumiałym dla siebie samego ociąganiem oddał ciotce zdjęcie. Opuszczając hol, czuł na sobie jej badawcze, pełne niepokoju spojrzenie.

Tego wieczoru z trudem zjadł kolację. Nie mógł skupić się na lekturze ani na programie telewizyjnym. Wiedział, że jeśli położy się do łóżka, to i tak nie zaśnie. Pod byle jakim pretekstem wstał od stołu i wyszedł do ogrodu. Chodząc wielkimi krokami, usiłował uporządkować myśli i dociec, co właściwie się z nim dzieje.

Ciągle miał nadzieję, że padł ofiarą dziwaczego żartu.

Nawet jeśli para na fotografii faktycznie przedstawiała bliźnięta Cameron, a miał wszelkie powody przypuszczać, że tak właśnie jest, nie znaczyło to jeszcze, iż Anna Cameron przybyła do niego z zaświatów. Żył w końcu w czasach, gdy za pomocą komputerów można było wyczarować najdziwniejsze efekty wizualne i aktorzy w filmie poruszali się pośród nieżyjących od lat postaci historycznych. Niewykluczone, pomyślał, że możliwe jest także wytwarzanie i projekcja obrazów łudząco podobnych do rzeczywistości.

Tylko czy coś takiego może się zdarzyć w małym miasteczku w Arkansas? A jeśli tak, to kto i w jakim celu miałby zadawać sobie trud ożywienia postaci z liczącego sobie trzy ćwierci wieku zdjęcia? Spacerując po ogrodzie, oddalił się od zajazdu. Noc była zimna. Dean skulił się i wepchnął ręce w kieszenie kurtki. Jego oddech tworzył małe białe chmurki widoczne w blasku księżyca.

Marżyły mu policzki i nos, ale nie miał najmniejszej ochoty wracać do domu i czuć się nieswojo pod badawczym wzrokiem ciotki Mae.

Chciał być sam.

Ale nie był.

- Cholera - mruknął, kiedy na zalanej księżycową poświatą ścieżce ujrzał kobietę w białej sukni.

Ku jego zaskoczeniu i ona wyglądała na zakłopotaną. Niepewnym gestem wygładziła suknię. To go trochę podniosło na ducha

- Dżentelmen nie klnie w obecności kobiet - odezwała się na powitanie.

Choć jej głos brzmiał ciszej, niż mógł oczekiwać, to jednak tym razem słyszał całkiem wyraźnie.

- No nieźle - mruknął. - Moje własne przywidzenia ucząją mnie, jak mam się zachowywać.

Wybuchnęła śmiechem. Jej śmiech brzmiał łagodnie jak

odległa muzyka. Kobieta spojrzała w prawo, jakby ktoś jeszcze stał obok niej.

- Ciagle mu się wydaje, że mu się przywidziało - oznajmiła. - Ale teraz przynajmniej mnie słyszy. Mówiłam ci, że w końcu mi się uda!

To już przechodziło wszelkie wyobrażenie! Jego halucynacja ma własne halucynacje. Przynajmniej dla niego adresatem ostatnich słów mógł być wyłącznie stary cedr.

Kobieta zrobiła zaskoczoną minę.

- Co? - spytała drzewa. - Ale... czemu?

Dean spojrzał na cedr i czekał na odpowiedź. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby drzewo przemówiło. Tej nocy, widać, wszystko było możliwe. Najwyraźniej jednak nie dosłyszał odpowiedzi, bo kobieta znów zwróciła ku niemu pełne ciekawości spojrzenie, tak jakby rozmowa z cedrem była na razie skończona.

- Widzisz mnie, prawda?

Wzruszył ramionami.

- No cóż... tak. Jasne, że cię widzę. Czy możesz mi powiedzieć, jak to się dzieje?

Nie zwracając uwagi na jego słowa, wskazała dłonią na drzewo.

- A Ian? Czy widzisz Iana?

- Tego bardzo wysokiego z zielonymi włosami?

- Co takiego?

- Obok ciebie widzę drzewo. Cedr. Czy to Ian?

- Ależ skąd! To bardzo ciekawe. A więc dostrzegasz tylko jedno z nas?

Nie odpowiedział. Uderzyło go, że tym razem jego rozmówczyni wygląda bardziej realnie niż dotąd. Nie widział już przez nią na wylot. Mógł się jej lepiej przyjrzeć i zrobiwszy to, musiał przyznać, że jest niewiarygodnie piękna.

Wyglądała tak, jakby zeszła prosto ze zdjęcia znalezionego na strychu.

Zrobił krok w jej stronę.

- Kim jesteś?

- Jestem Anna Cameron.

- Tere-fere.

- No wiesz! Naprawdę nie powinienes odzywać się w taki sposób. To nieelegancko.

- Udawanie ducha też jest nieeleganckie.

Postąpił jeszcze krok do przodu. Był ciekaw, co się stanie, kiedy spróbuje jej dotknąć. Bardzo powoli, jakby bał się ją spłoszyć, wysunął ręce z kieszeni.

- Wesóło by było, gdybym tak uciekł z wrzaskiem, co?

Przykro mi, że spotkało cię rozczarowanie.

Potrząsnęła głową.

- Byłam przekonana, że nie uciekniesz, Ian twierdził, że tak będzie, ale ja czuję, że nie jesteś tchórzem. Zdażyłam ci się już trochę przyjrzeć.

- I co zobaczyłaś?

Dałby głowę, że się zarumieniła. To był kolejny dowód, że nie jest żadnym duchem. Dean nie wierzył w duchy, ale gdyby istniały, to na pewno by się nie rumieniły ze wstydu.

- Ian starał się trzymać mnie z dala od twojej sypialni, ale chciałam koniecznie nawiązać z tobą kontakt. - Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie. - Tylko przez przypadek widziałam, jak się przebierałaś. Zaraz się odwróciłam, zauważyłam tylko to szczególne znamię w kształcie serca na twoim...

Skrzywiła się lekko i znów odwróciła spojrzenie w stronę cedru.

- Sam mnie o to pytał - wyjaśniła. - Próbowałam mu wytłumaczyć. Nie sądzisz chyba, że on...?

Spojrzała na Deana zakłopotana.

- Ian mówi, że kiedy jestem zdenerwowana, to za dużo gadam.

Skąd, na miłość boską, ktokolwiek w Destiny mógł wiedzieć o jego znamieniu? Tylko kilka osób na świecie miało okazję je zobaczyć.

Dosyć tego dobrego. Był człowiekiem spokojnym, ale kiedy się w końcu zdenerwował, to nie na żarty. Sięgnął i złapał kobietę za ramię, tuż poniżej zakończonego koronkowym mankietem krótkiego rękawa.

Mróz przeszedł go do szpiku kości.

Kobieta, która twierdziła, że nazywa się Anna Cameron, wyglądała na normalną ludzką istotę, ale w chwili gdy jej dotknął, zawaliły się jego wszystkie dotychczasowe wyobrażenia o świecie.

Rozdział

4

Prawdziwa miłość jest jak duchy. Wszyscy o nich mówią, ale mało kto je widział.

Francois de la Rochefoucauld

Odniósł wrażenie, że dotknął marmurowego posagu. Jej skóra była nienaturalnie gładka i chłodna. Brakowało jej miękkości i ciepła żywego ciała.

Nie poruszyła się. Patrzyła na Deana wielkimi, trochę przestraszonymi oczami. Nie potrafił się powstrzymać i wyciągnął drugą rękę, by dotknąć jej twarzy.

Pogłaskał ją po lodowato zimnym policzku. Potem przesunął dłoń w dół po szyi do miejsca, w którym powinien tętnić puls. Nie poczuł niczego.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie wiedziałyby zresztą, co powiedzieć.

Tym bardziej zaskoczyło go, kiedy ponownie się odezwała:

- Wszystko w porządku, Ian. Potrzebujemy po prostu trochę czasu, żeby się poznać.

Jakimś cudem udało mu się przemówić.

- Kim naprawdę jesteś? - zapytał ochrypłym głosem.

- Już ci mówiłam. Jestem Anna Cameron.

- Anna Cameron umarła siedemdziesiąt pięć lat temu.

Piękne oczy kobiety posmutniały.

- Wiem.

- Wobec tego jesteś...

Skrzywiła się, jakby musiała przełknąć gorzką pigułkę.

- Podejrzewam, że większość ludzi nazwałaby mnie duchem.

- Nie wierzę...

- W duchy - dokończyła za niego. - Wiem. Nieraz słyszałam, jak to mówisz. Ale sam widzisz... i czujesz... że tu jestem. Dla mnie to też jest dziwne. Odkąd jestem... duchem, nikt mnie jeszcze nie dotknął i tylko bardzo niewiele osób nas widziało.

Nas? Dean rozejrzył się ostrożnie, ale i on nikogo więcej nie zobaczył.

- Czy jest tu także twój brat?

- Tak. - Wskazała ręką na puste miejsce obok siebie. - Tu stoi.

- Więc czemu go nie widzę?

- Nie wiemy. - Miała zakłopotaną minę. - Nas samych też to dziwi.

- To jakieś szaleństwo. - Dean pokręcił głową.

Machnęła ręką.

- Posłuchaj, Dean, jesteśmy przekonani, że możesz nam pomóc. Albo przynajmniej ja jestem. Bo Ian wcale nie jest tego taki pewny.

- Pomóc wam? W jaki sposób?

- My... ja myślę, że jesteśmy tutaj ze względu na te wszystkie potworne kłamstwa, które ludzie o nas opowiadają. W tym, co mówiła kobieta, która była tu przed paroma dniami, nie ma ani słowa prawdy, Ian nie handlował alkoholem w latach prohibicji ani nikogo nie zabił. Ja nie byłam przypad-

kową ofiarą strzelaniny, tylko zostałam zamordowana z zimną krwią. Tagert kłamał.

- Nawet jeśli tak było, to co ja mogę dla was zrobić?

- Udowodnić, że jesteście niewinni - odparła krótko.

- No tak, to oczywiście - powiedział z ironią.

- Mówię poważnie. Musisz to dla nas zrobić. Tylko ty to potrafisz. Jesteś jedynym człowiekiem, który mnie słyszy. Jedynym, któremu mogę opowiedzieć, co się naprawdę stało. Musisz pomóc nam udowodnić, że jesteście niewinni.

- Nie mam nawet pojęcia, jak się do tego zabrać. A poza tym jestem bardzo zajęty. Mam swoje własne życie.

W pięknych oczach zalśnił gniew.

- No tak. Ty przynajmniej jeszcze żyjesz. A my... przekleństwo!

Jeszcze przed sekundą trzymał ją za ramię. Teraz stała o kilka kroków od niego. Zaczęła blednąć i znikać. Była już tylko przezrzystą mgłą. Jej głos znów dobiegał do niego z od-dali.

- Musisz nam pomóc, Dean. Tylko ty możesz to zrobić.

- Zaczekaj! - Bez namysłu ruszył w jej kierunku. - Ja... Ale jej już nie było.

- Cholera - mruknął sam do siebie.

Zamknął oczy i przetarł je wierzchem dłoni. Serce mu waliło, po plecach płynęła struga potu, w głowie roiło się od wątpliwości.

Być może jego była żona miała rację.

Być może naprawdę zwariował.

Redakcja „Dziennika Destiny” prezentowała się niezbyt okazale. Właściwie, uznał Dean, kiedy rozejrzył się dokładnie, wyglądała dość podle.

Sam budynek liczył z pięćdziesiąt lat i Dean nie byłby

zdziwiony, gdyby usłyszał, że nie był nigdy odnawiany. Ściany przybrały szarobury odcień. Szyby w oknach pokrywała warstwa kurzu.

Na starym biurku leżały sterty papierów i gazet, spośród których wyłaniał się telefon i komputer. Odkąd Dean wszedł do środka, telefon nieustannie dzwonił, ale nikt nie podchodził, żeby go odebrać. Na małym stoliku stała drukarka i faks. W pomieszczeniu nie było nikogo, choć z pokoju w głębi dobiegały odgłosy rozmowy.

Już postanowił ruszyć dalej na poszukiwanie gospodarza, gdy w drzwiach prowadzących do dalszych pomieszczeń ukazał się Mark Winter. Zaskoczony uniósł brwi.

- Cześć, Dean. Co mogę dla ciebie zrobić?

Dean wskazał na rozdzwoniony telefon.

- Czy nie należałoby tego odebrać?

- No tak. Jasne. W takim razie zaczekaj sekundę.

Mark uniósł słuchawkę.

- „Dziennik Destiny”, słucham?

Rozmowa nie trwała długo. Dean nie przysłuchiwał się jej, bo głowę miał zajętą własnymi myślami. Zastanawiał się, w jaki sposób, zacząć rozmowę o śmierci bliźniąt Cameron.

Mark odłożył słuchawkę i spojrzał na niego badawczo.

- Wszystko w porządku, Dean? - zaczął. - Przepraszam, że cię tak bezceremonialnie wypytuję, ale nie wyglądasz najlepiej.

Dean odchrząknął zakłopotany i przesunął dłonią po włosach.

- Tak, wszystko w porządku - rzucił lekko i wzruszył ramionami. - Po prostu się nie wyspałem.

- Przez całą noc słyszałeś brzęk upiornych łańcuchów?

Dean z trudem zdobył się na uśmiech.

- Coś w tym rodzaju. A skoro już mowa o duchach...

Mark Winter zrobił zaskoczoną minę.

- Nie powiesz mi chyba, że widziałeś ducha? Ja tylko żartowałem.

- Nie o to chodzi, Mark. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat rodzeństwa Cameron. Moja siostra przekonała mnie, że dobrze byłoby poznać dokładniej historię zajazdu, choćby po to, żeby odpowiadać na pytania ciekawskich gości. Pomyślałem sobie, że może mógłbyś mi udzielić jakichś wskazówek. Powiedz mi na przykład, czy okoliczności ich śmierci były opisane w gazetach?

Winter miał niepewną minę. Wydawało się, jakby chciał coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować, czy to zrobić.

- Prawdę mówiąc, mam coś, co by ci się przydało.

- Co takiego?

- Prowadziłem przez jakiś czas poszukiwania na własną rękę - przyznał Mark. - To było parę lat temu, kiedy sam świeżo przyjechałem do Destiny. Usłyszałem tę historię i pomyślałem, że byłby to materiał na książkę.

- Piszesz książkę? - spytał zaskoczony Dean.

- Wiesz, jak to jest. Czasem coś mnie najdzie, siadam do pracy i po paru stronach daję sobie spokój.

- I to miała być książka o „Cameron Inn”?

Winter skinął głową.

- Z początku myślałem, że to niezły pomysł. Ale potem, kiedy zacząłem zbierać materiały dotyczące śmierci bliźniąt, zdarzyło się coś... dziwnego - dokończył, mrużąc pod nosem.

Dean przyjrzał mu się uważnie.

- Co takiego?

Czy to możliwe, że Mark także napotkał przepięknego ducha, który tak mu zawrócił w głowie, że nie mógł spać ani

jeść, zebrać myśli i skupić się? Czy także dotknął tego ducha? A może... Nie, to było zbyt absurdalne.

Czy Mark też miał wrażenie, że to początek choroby psychicznej?

- Właściwie to nic nadzwyczajnego. - Winter wyraźnie usiłował zbagatelizować sprawę. - Wiesz, jestem trochę bałaganiarzem, więc to pewnie była po prostu moja wina. Ginęły mi notatki, nie mogłem dotrzeć do źródeł, które właściwie powinny być w bibliotece, ale akurat nie sposób było ich znaleźć, ludzie nie chcieli ze mną rozmawiać o tym, co się wtedy wydarzyło. Może gdybym się bardziej starał, poszłoby mi lepiej. Na dodatek pojawiły się kłopoty z gazetą i musiałem myśleć raczej o tym, z czego wyżyję, niż o wydarzeniach sprzed lat.

Dean rozejrzał się wokół siebie. Najwyraźniej sytuacja niewiele się zmieniła od tego czasu.

Winter znów zdawał się czytać w jego myślach.

- Dziś jest już lepiej, choć gazeta w małym miasteczku nigdy nie jest żyłą złota. Ale to i tak lepsze niż pisanie o brudnych sprawkach polityków.

- A właściwie tym się kiedyś zajmowałeś?

- Tak. Ale dałem sobie spokój. „Dziennik Destiny” stał się dla mnie ucieczką przed problemami wielkiego świata.

- Powiedziałaś, że przydarzyły ci się dziwne rzeczy. Czy miałaś wrażenie, że ktoś usiłuje cię powstrzymać przed ustaleniem, co się naprawdę stało?

Winter zmarszczył brwi.

- Sam się zastanawiałem, o co właściwie chodziło. Nie miałem jednak czasu na analizowanie sytuacji, ponieważ, jak wspomniałem, gazecie groziło zamknięcie. Później, gdy problemy zostały rozwiązane, dałem sobie spokój z tamtą historią.

- A nie wydaje ci się, że to było jakoś powiązane ze sobą? Winter zamyślił się.

- Cholera, może masz rację - odezwał się po chwili. - Pisanie peanów na temat talentów naszych milusińskich trochę chyba przytępiło moje zdolności analityczne, z których kiedyś byłem całkiem dumny.

- Więc sądzisz, że to możliwe?

- W każdym razie powinienem wziąć to pod uwagę - przyznał Winter. - Chociaż z drugiej strony...

Urwał. Potarł brodę.

- Nie, Dean. Po pierwsze, kogo dziś obchodzą wydarzenia sprzed siedemdziesięciu pięciu lat? To tylko stara legenda, która nie ma żadnego związku z rzeczywistością.

- A co z rodziną Peavych? Po śmierci bliźniąt ich ojczym odziedziczył zajazd. A od tego chyba zaczęła się ich fortuna.

- Nie całkiem - zaprzeczył Winter. - Gaylon Peavy nie zrobił majątku, prowadząc zajazd. Odziedziczył go po nim syn, Charles, dziadek naszego burmistrza. Ale i on nie zrobił na zajeździe fortuny. Majątek przyniosły mu dopiero dobrze zainwestowane pieniądze, które dostał za zajazd.

- Jakie to były inwestycje?

Mark już otworzył usta, ale w końcu niczego nie powiedział. Wzruszył ramionami.

- Właściwie to nie wiem. Wszyscy mówili tylko, że Charles Peavy dobrze ulokował pieniądze.

- Więc wiemy tyle, że zdobył pieniądze, sprzedając zajazd, który jego ojciec odziedziczył po tragicznej śmierci bliźniąt.

- Chcesz powiedzieć, że Gaylon Peavy miał coś wspólnego z tamtymi wydarzeniami? Znalazłeś coś w zajeździe? Jakiś dziennik? List?

Dean pokręcił głową.

- Nie. Tyle tylko, że cała ta historia jakoś się nie klei. Czegoś mi tu brakuje, chociaż może po prostu czytałem za dużo kryminałów - uśmiechnął się Dean, usiłując zbagatelizować sprawę.

- Ja też lubię kryminały - przyznał Mark.

- Może obaj za bardzo je lubimy.

- Wiesz co? - Winter podjął decyzję. - Pokażę ci swoje notatki i kserokopie artykułów z gazet, które wtedy zebrałem. Powiem ci też, z kim warto pogadać na ten temat. A w zamian za to opowiesz mi, jeśli dowiesz się czegoś ciekawego. Może jeszcze wyjdzie z tego książka albo chociaż artykuł do naszej gazety.

Dean nie był wcale pewny, czy tak bardzo chce, żeby jego zajazd został opisany w książce, ale rozumiał, że Winterowi coś się od niego należy.

- Jeśli tylko dowiem się czegoś pewnego, to dam ci znać - obiecał.

- Będzie mi miło, Gates.

Dean odwzajemnił uśmiech Wintera.

- Wrócę już do siebie. Bóg jeden wie, co Mae wymyśli tam beze mnie.

- Podrzucę ci materiały przy najbliższej okazji.

- Pamiętaj, że zawsze będziesz mile widzianym gościem.

Dziękuję ci, Mark.

- Nie ma za co.

Wracając do zajazdu, Dean zastanawiał się, co powiedziałby Winter, gdyby usłyszał o wydarzeniach ostatnich dni.

Dean pochylał się wsparty na łokciach i usiłował wykrześć z siebie zainteresowanie dla zaścielających stół skrawków tapet i tkanin. Po jednej stronie miał ciotkę Mae, po drugiej projektantkę wnętrz, panią Buchanan.

- Możemy też wybrać ten wzór w czerwone róże na bladezielonym tle. Proszę zwrócić uwagę, jak dekoracyjnie układają się ich łodygi. Chyba że woleliby państwo jasną żółć.

- Och nie, tylko nie żółć. Ian nie cierpi tego koloru.

Kobięcy głos dobiegł go z tak bliska, że Dean aż podskoczył, rozsypując skrawki materiału. Odwrócił się i ze stołu poleciały dalsze kawałki płótna.

Anna Cameron stała o krok od niego. Na jej ustach igrał uśmiezek.

- Coraz łatwiej mi to przychodzi-oświadczyła.-Mam na myśli nawiązywanie z tobą kontaktu.

Dean nie mógł uwierzyć, że wreszcie zjawiała się przy świadkach.

- C o ty...

- Dean? - Ciotka Mae chwyciła go za ramię. - Co się stało? Coś nie w porządku?

Nie mógł oderwać spojrzenia od Anny, która najspokojniej czekała na odpowiedź.

- Jeżeli nie lubi pan żółtego, może być bladezielony albo szary. - Pani Buchanan wyglądała na zniecierpliwioną.

Dean był zaskoczony, że ani ona, ani ciotka Mae nie reagują na widok ducha. Jeśli już nie krzyczą przerażone, to mogłyby chociaż coś powiedzieć. W końcu nie co dzień widzi się coś takiego.

- Mae, nie powiesz mi, że nie widzisz... - urwał.

- Nie sądzę, żeby mnie widziały, Dean - oświadczyła Anna.

- Ja też nie przepadam za żółcią. Myślę, że pani Buchanan będzie mogła zaproponować coś, co bardziej przypadnie nam do gustu. - Ciotka poklepała go uspokajająco po ramieniu.

- Porozmawiajmy spokojnie, dobrze?

Anna zajrzała mu przez ramię i skrzywiła się na widok tego, co ujrzała na stole.

- Róże są takie pospolite. Czy nie można dostać czegoś bardziej oryginalnego?

- Nie teraz - wymamrotał przez zaciśnięte zęby. - Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Ależ, Dean, ty sam wyznaczyłeś termin spotkania - przypomniała mu ciotka.

Pani Buchanan zadarła z obrażoną miną spiczasty nos.

- Ja też jestem zajęta, panie Gates. Jeśli nie ma pan dzisiaj czasu, to trzeba było dać znać wcześniej.

- Ale...

- Przecież robotnicy mają dziś wolne, Dean. Co takiego masz do roboty?

Spojrzał na ciotkę błędnym wzrokiem.

- Ja...

- Osobiście wolę tę w ptaki wśród winorośli - wtrąciła się znów Anna. - Zamiast żółtego, mógłbyś użyć ciemnoczerwonego, choć ta pani z nosem ostrym jak pieprz turecki nazwałaby go pewnie jakoś bardziej uczenie, na przykład cynobrem.

Jak to możliwe, że jej nie widzą? Że nie słyszą jej głosu? Widać ją przecież tak wyraźnie. Stoi przed nimi... jak żywa.

Był pewny, że gdyby tylko wyciągnął rękę, mógłby jej znów dotknąć. Na wszelki wypadek wsunął dłonie do kieszeni.

- Przepraszam... bardzo mi przykro... - wybąkał, nie odrywając wzroku od gościa z zaświatów. - Myślałem o czymś innym.

- Możemy zatem kontynuować? - Pani Buchanan najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy ma wyjść z obrażoną miną, czy zostać, by zainkasować sowite honorarium.

- Hmm... tak, oczywiście. - Wskazał palcem na stół. - A może ten? Z ptakami wśród winorośli. Może tylko wybraliśmy inne tło, na przykład... czerwone. Lubię czerwień.

Anna, która nie wiedzieć jakim sposobem znalazła się w mgnieniu oka naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu, nagrodziła go wdzięcznym uśmiechem.

Pani Buchanan wyduła ostro zarysowane usta.

- To niezły pomysł.

- Byle tylko żadnych żółci - zaznaczyła Anna.

- Byle tylko żadnych żółci - powtórzył posłusznie.

- Zgoda, nie będzie żółci - ustąpiła z westchnieniem pani Buchanan.

Anna wyglądała na całkiem zadowoloną z siebie.

- Przejdźmy w takim razie do salonu - podjęła pani Buchanan, starając się odzyskać swą gwałtownie zachwianą pozycję. - Myślałam o tapecie w kolorze morskiej zieleni, białej boazerii i szarych dywanach. Oczywiście trzeba będzie zerzeć te stare dębowe boazerie i usunąć stiuki.

Anna aż sapnęła z oburzenia.

- Po moim trupie... mniejsza z tym. Nie pozwól jej tknąć stiuków, które kładł mój ojciec, Dean. I dodam tylko, że matka kochała dębinę!

- Nie będziemy ruszać stiuków i boazerii - oznajmił z rezygnacją. - Trzeba je będzie starannie odnowić i uzupełnić ubytki.

Pani Buchanan miała już najwyraźniej dosyć nieustannych ingerencji w swoje kompetencje.

- Może w takim razie powie mi pan, jak pan sobie wyobraża resztę wystroju?

Dean spojrział na Annę z zabójczą ironią.

- Jestem pewny, że zaraz będę miał coś do zaproponowania.

- Myślisz, że to wymaga wiele czasu? Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

- Teraz?

- Nie, Dean, oczywiście, że nie musisz podejmować decyzji w tej chwili - oświadczyła Mae, zanim Anna zdążyła zabrać powtórnie głos. - Ale nie możemy z tym za długo zwlekać.

- Przepraszam, Mae, co mówiłaś?

- Widzę, że jesteś naprawdę zmęczony. - Ciotka popatrzyła na niego z niepokojem. - Może powinniśmy na razie umówić się na inny termin. Myślę, że pani Buchanan ma już jakieś wyobrażenie o twoich upodobaniach. Kiedy znów się spotkamy, będzie mogła przedstawić jakieś propozycje bliższe twoim gustom.

- A na co ona jest ci właściwie potrzebna? - zaciekawiała się Anna. - To żadna sztuka dobrać farby i tapety. Każdy to potrafi. A jeśli chodzi ci o to, żeby przywrócić wnętrzą ich pierwotny wygląd, to mogę ci dokładnie opowiedzieć, jak to wszystko urządziła moja matka.

Starając się nie zwracać uwagi na pomocne rady gościa z zaświatów, Dean raczej pośpiesznie niż uprzejmie pożegnał panią Buchanan.

- Co się z tobą dzieje, chłopcze? - spytała Mae Harper zaniepokojonym głosem, kiedy zamknęli drzwi. - Okropnie potraktowałeś panią Buchanan. Nie zdziwiłabym się, gdyby do nas nie wróciła.

- Niewielka strata - wtrąciła Anna. - Kim ona właściwie jest, że tak się szarogęsi w moim zajazdzie?

Dean oniemiał na chwilę.

- Czy mogę ci przypomnieć, że to jest mój zajazd?

Ciotce Mae zaczęła się trząść broda.

- Dobrze sobie z tego zdaję sprawę, Dean. Próbowałam tylko...

Dean poczuł, że ogarnia go furia. Miarka się przebrała. Objął ciotkę i spiorunował Annę spojrzeniem sponad pulchnego ramienia Mae.

- Przepraszam, ciociu Mae. Naprawdę mi przykro. Nie chciałem cię urazić. Rzeczywiście jestem dziś w wyjątkowo złej formie. Źle spałem w nocy i stąd to wszystko.

W ciotce natychmiast obudziły się opiekuńcze uczucia.

- Ale nie jesteś chory, mój chłopcze, powiedz? - Położyła mu dłoń na czole. - Wydaje mi się, że możesz mieć gorączkę. Powinieneś chyba wezwać lekarza.

Wstyd i wyrzuty sumienia sięgnęły zenitu. Dean przytulił ciotkę do piersi.

- Nie potrzeba mi lekarza, ciociu - zapewnił ją. - Pójdę do siebie i zdrzemnę się trochę. Jestem pewny, że to mi dobrze zrobi.

- Słusznie - pochwaliła go Anna. - Czekam na ciebie na górze.

I zniknęła.

Dean spędził jeszcze chwilę z ciotką, przystał na propozycję ugotowania mu rosołu i zgodził się połknąć na wszelki wypadek aspirynę. Kiedy już załagodził sytuację, ruszył zdecydowanym krokiem do swego pokoju. Miał zamiar poważnie się rozmówić z pięknym, lecz nieznośnym gościem z zaświatów.

Anna najspokojniej w świecie siedziała sobie na krawędzi łóżka. W najmniejszym stopniu nie przejęła się furia Deana. Przy Ianie zdążyła już przywyknąć, że mężczyźni wpadają w złość z byle powodu. Niech no teraz spróbuje jej wmawiać, że nie istnieje!

- Myślałam, że ta kobieta już nigdy sobie nie pójdzie.

Dean parę razy odetchnął głęboko, zanim otworzył usta.

W końcu przemówił tonem spokojnym, lecz nie znoszącym sprzeciwu.

- Nigdy więcej nie waż mi się tak zachowywać.

Spojrzała na niego z ukosa.

- A co mi zrobisz, jeśli cię nie posłucham? - spytała ironicznie.

Zawahał się. Ponieważ oboje wiedzieli, że nic nie może jej zrobić, postanowił zmienić temat.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Anna uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Chciałam się dowiedzieć, czy ustaliłeś już coś na mój i Iana temat.

Dean znowu zrobił wściekłą minę i Annie zrobiło się przykro. Kiedy się uśmiechał, jego twarz robiła się piękna i ciepła. Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie tego ciepła.

- Nie dalej jak wczoraj poprosiłaś mnie, żebym się tym zajął. Czy myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty niż śledztwo w sprawie wydarzeń sprzed lat? I że z dnia na dzień będę coś wiedział?

- To naprawdę było dopiero wczoraj? - W głosie Anny słyhać było zdziwienie. - Przepraszam cię, ale nie zdawałam sobie sprawy. Sądziłam, że upłynęło więcej czasu.

- A... a co się właściwie z tobą dzieje, kiedy znikasz? - spytał zaciekawiony. - Kręcisz się tu gdzieś obok nas?

Anna zmarszczyła nos. Nie lubiła myśleć o sobie, że jest duchem, i właściwie wcale się tak nie czuła.

- Nie zawsze. Owszem, czasem się, jak to mówisz, kręcimy. Ale na ogół jesteśmy zupełnie gdzie indziej. Tam jest szaro, cicho i dziwnie. Nie ma nikogo prócz nas. Ian mówi, że to poczekalnia. Zawsze wiedzieliśmy, że to nie jest ostateczne miejsce naszego pobytu. Myślę, że opuścimy je, a przy okazji

przestaniemy bywać tutaj, gdy tylko przywrócisz nam dobre imię i udowodnisz światu, że nie byliśmy złoczyńcami.

- Czy Ian jest tu teraz z tobą? - spytał i rozejrzał się podejrzliwie po pokoju.

- Nie. Czeka na mnie w... poczekalni.

Odkąd pojawił się Dean, Anna odkryła ku swemu zaskoczeniu, że jest jej znacznie łatwiej niż kiedyś przybyć do zajazdu. A teraz, po raz pierwszy, zjawiła się sama.

Wy tłumaczyła bratu, że w jego obecności trudniej jej się skupić, a poza tym, dorzuciła ze śmiechem, nie sądzi chyba, że musi jeszcze pilnować jej cnoty. No bo co może wydarzyć się między duchem i żywym człowiekiem?

Ian przyznał jej rację.

- Jak długo możesz tu zostać?

- Nie wiem - przyznała. - Różnie z tym bywa.

Dean podszedł do łóżka i usiadł obok Anny.

- Anno - wyznał lekko ochrypłym głosem. - Jesteś naprawdę piękna.

Umilkł zaskoczony. Nie miał pojęcia, czemu jej to powiedział.

Anna poczuła ciepło, o którego istnieniu już zapomniała. Uśmiechnęła się inaczej niż dotąd.

- Dziękuję ci, Dean. Dawno o tym nie słyszałam.

Uderzyła ją nagle absurdalność sytuacji. Rozmawiała z przystojnym mężczyzną, który na dodatek mógłby być jej wnukiem. I to z żywym mężczyzną.

Z jego komplementów nigdy nic nie wyniknie. Wszystko, co może dla niej zrobić, to uwolnić ją i Iana od trwania w oczekiwaniu.

- Nie udało ci się niczego dowiedzieć? - spytała z żalem.

- Nie - odparł, ale gdy ujrzał jej rozczarowaną minę, dodał zaraz: - Rozmawiałem z kimś, kto obiecał mi pomoc.

Ucieszyło ją to.

- To cudowna wiadomość, Dean. Kiedy będziesz coś wiedział?

- Nie popędzaj mnie, dobrze? Mam teraz kupę roboty. A poza tym niczego ci nie przyrzekałem.

- Wiem, masz własne życie.

Na wzmiankę o życiu zrobił niewyraźną minę.

- Przepraszam cię.

- Nic nie szkodzi. Cieszę się, że odnawiasz zajazd. Było nam naprawdę przykro patrzeć na to, co się tu ostatnio działo. Tylko proszę cię, w żadnym wypadku nie pozwól zedrzyć naszych boazerii.

- Zgoda.

Sama poczuła, że jej głos słabnie. Wiedziała, że to oznacza powrót do szarej poczekalni.

- Co się stało?

- Muszę wracać. Proszę cię, zadbaj o nasz dom.

Wyglądał na zaskoczonego. Spodziewał się raczej prośby o przyśpieszenie śledztwa.

- Zadbam - obiecał. - Teraz jest także moim domem.

Miło było spotkać kogoś, kto kochał to miejsce tak jak jej matka, ona i Ian.

Nie miała pojęcia, czemu akurat Dean może ją widzieć i słyszeć. Może dlatego, że polubił to miejsce.

- Dziękuję - szepnęła. - Jesteś...

Resztę zdania pochłonęła szara mgła.

Znowu tkwiła w pustce i beczasie. Ian wyraźnie ucieszył się z jej powrotu. Łatwo jej było domyślić się, że doskwierała mu samotność.

- Jak poszło? - zapytał.

Chwyciła go za rękę i zaczęła opowiadać wszystko po

kolei. Pomięła tylko chwilę, w której Dean powiedział jej, że jest piękna.

To jedno wspomnienie chciała zachować wyłącznie dla siebie.

W miejscu, gdzie siedziała, nie było żadnego śladu na pościeli. Dean położył dłoń na kołdrze. Była zimna. Przez długą chwilę wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą. Myślał o młodej kobiecie, której błyszczące oczy i czarujący uśmiech kazały mu marzyć, że wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Rozdział

5

Zycie jest wieczne, a miłość nieśmiertelna; śmierć jest tylko horyzontem, a horyzont niczym innym, jak tylko ograniczeniem dla zasięgu naszego wzroku.

Rossiter Worthington Raymond

To Mae przekonała Deana, żeby w niedzielne popołudnie wybrał się na uroczyste otwarcie biblioteki. Właściwie nie miał ochoty, ale zgodził się ze względu na ciotkę.

Okazało się, że zgodnie z przewidywaniami Mae zeszło się całe miasteczko. Nie wiedział, czy ludzie przyszli z nudów, czy może bali się urazić Peavych. Dean ujrzał wiele znajomych i jeszcze więcej nieznanomych twarzy. Odrębną grupę tworzyli fundatorzy biblioteki wraz z innymi znaczniejszymi rodzinami Destiny.

Margaret Peavy Vandover była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał - władcza i majestatyczna. Jej prawdziwie królewskiemu wejściu towarzyszyło widoczne ożywienie. Deana zaciekawiło, czy mieszkańcy Destiny rzeczywiście się jej boją, a jeśli tak, to dlaczego.

Burmistrz poznał ich ze sobą, Margaret Peavy wielkodusznie pominęła milczeniem krzykliwą czerwień żakietu Mae i ostentacyjnie wielkie kolczyki i indiański naszyjnik, kontra-

stojące ostro z rudymi włosami ciotki. Sama ubrana była w elegancką czarną suknię, a na szyi miała tylko sznur pereł. Choć musiała być starsza od Mae o ładne kilka lat, nie było tego po niej widać. Patrząc na nią, trudno było nie podziwiać skuteczności liftingu i kremów przeciw zmarszczkom.

Bratanek Margaret, Roy Peavy, wystąpił w niezbyt stosownym do okoliczności mundurze policyjnym. Był tęgim mężczyzną o pospolitej twarzy, około pięćdziesiątki. Dean podejrzewał, że nosił mundur, by dodać sobie autorytetu.

Najbardziej rzucającym się w oczy Peavym był brat Roya, senator Gaylon. Stał na uboczu w otoczeniu miejscowych znakomitości. Mae już na pierwszy rzut oka uznała go za mistrza w sztuce rozdzielania uśmiechów i krzepkiego ściskania ręki. Dean musiał przyznać jej rację.

- Ciekawa gromadka, co?

Dean odwrócił się i serdecznie przywitał z Winterem.

- Zbierasz materiały?

- Oczywiście. Będzie z tego wielki artykuł na pierwszą stronę: „Otwarcie biblioteki imienia świętego Charlesa Peavy'ego”.

Dean zachichotał. Powitalna mowa Margaret w pełni usprawiedliwiała ironię Wintera. Zebrani nie usłyszeli niczego poza peanami na cześć jej ojca. Psychiatra miałby tu idealny materiał do badań zachowań obsesyjnych.

- Mam dla ciebie wycinki, o których rozmawialiśmy ostatnio. Jutro ci je podrzucę.

- Świetnie. Zarezerwuj sobie trochę czasu, to zjemy razem kolację.

- Jeżeli tylko nie sprawi wam to za wiele kłopotu. Szczerze mówiąc, mam już dosyć stołowania się w barach.

- Będzie nam bardzo miło. Mae wreszcie popisz się swoimi talentami kulinarnymi. Zrobisz jej prawdziwą przyje-

mność. Tylko się nie przestrasz, bo u nas ciągle panuje bałagan.

- A jak posuwają się prace renowacyjne?

- W lipcu otwieramy.

- Niezłe tempo. Nie dziwię się, że chcesz dowiedzieć się czegoś o duchach. Goście na pewno będą o to pytać.

- Duchy? - Korpulentny mężczyzna w tabaczkowym garniturze spoglądał na nich ciekawie brązowymi oczami. - Czy widział pan już duchy?

- Ciekawi mnie historia „Cameron Inn”. Jestem nowym właścicielem zajazdu, nazywam się Dean Gates.

Mężczyzna entuzjastycznie uściśnął mu rękę.

- R.J. Cooley - przedstawił się. - Czy ubezpieczyłeś się już, Dean? Jeżeli nie, tym lepiej dla ciebie. Zapraszam do mego biura przy głównej ulicy, naprzeciwko restauracji.

Dean poczuł sympatię do swego nowego rozmówcy.

- Niech zgadnę... Pracujesz w ubezpieczeniach!

Cooley roześmiał się pogodnie.

- Jasne. Przepraszam, ale to odruch. Sam rozumiesz, mam pięcioro dzieciaków na głowie. Najmłodszy chce zostać olimpijczykiem. Czy masz pojęcie, ile kosztują lekcje akrobatyki? Nie wspominając już o kostiumie, przyrządach do ćwiczeń w domu i tak dalej, i tak dalej.

Winter odkaszlnął.

- Lepiej opowiedz Deanowi o duchach - wtrącił.

- Mój dziadek, Jeffrey Parker, był zaręczony z Anną Cameron.

Dean poczuł, że ściska mu się żołądek. Widocznie kawa wcale nie była taka słaba, jak mu się wydawało.

- Zaręczony?

Cooley skinął głową.

- Zaręczyli się w dniu jej dwudziestych piątych urodzin.

Wieczorem tego samego dnia podczas przyjęcia z okazji zaręczyn i urodzin bliźniąt doszło do strzelaniny, podczas której narzeczona zginęła. Dziadek, jak łatwo wywnioskować z mojej obecności, ożenił się później z inną kobietą, ale chyba do końca życia nie przeboleał swej pierwszej miłości. Kiedy o niej mówił, miał zawsze coś takiego w oczach...

Skurcz żołądka gwałtownie się nasilił.

- Czy opowiadał o wydarzeniach tamtego wieczoru? - spytał Dean, starając się nie zdradzać zainteresowania.

- Tylko raz. Pojechaliśmy wtedy we dwóch na ryby nad jezioro Ouachita. To było na kilka miesięcy przed śmiercią dziadka. Miałem wtedy piętnaście lat i pewna dziewczyna złamała mi właśnie serce. Dziadek chciał mnie pocieszyć. Mówił, że na pewno znajdę jeszcze kogoś, kogo pokocham, ale dodał też, że nigdy nie zapomina się pierwszej miłości. - Cooley ściszył głos. - Odniosłem wrażenie, że coś musiało między nimi być... wiesz, o co mi chodzi. Dziadek był zawsze bardzo przywiązany do babci, ale tamto to zupełnie inna historia. Czasem myślę, że to jedyna prawdziwa przygoda w nudnym jak sto diabłów życiu poczciwego dziadka Jeffreya.

Dean miał wrażenie, że żołądek zmienia mu się w twardą grudę. Z trudem zmusił się do uśmiechu.

- Babci pewnie trudno było rywalizować z duchem - rzucił.

- Daj spokój żartom. Przy niej nigdy nie można było wymienić jej imienia. Chyba przyjaźniły się, kiedy jeszcze chodziły do szkoły. Potem babcia Wanda mówiła, że bardzo pomyliła się co do charakteru Anny.

- Więc wierzyła, że bliźnięta Cameron parały się nielegalnym handlem alkoholem i kogoś zabiły?

- Wszyscy byli o tym przekonani. Stanley Tagert mówił,

że miały krew na rękach. Wiesz, o co chodzi. Wszyscy go tu szanowali. Zginął w rok po tamtych wydarzeniach, podczas wypadku na polowaniu. Upuścił strzelbę, która wypaliła mu prosto w twarz. Byli z nim wtedy Gaylon i Charles Peavy. Nie widzieli samego wypadku, znaleźli Stanleya martwego. Dziadek mówił, że Gaylon nigdy nie przyszedł po tym do siebie.

- Opowiadałeś, że twój dziadek nie wierzył w te wszystkie plotki o Annie - wtrącił Winter.

- Uważał, że jego Anna była tylko przypadkowym świadkiem. Pech chciał, że znalazła się nie tam, gdzie trzeba i nie wtedy, kiedy trzeba. Inna sprawa, mówił, że dla swojego brata zrobiłaby wszystko. Idealizowała go. Dziadek przyznał się kiedyś, że zawsze bał się trochę Iana Camerona. Twierdził, że miał coś niebezpiecznego w oczach.

- Więc uważał Iana Camerona za przestępcę - zauważył Dean.

Cooley wzruszył ramionami.

- Mówił, że nie zdziwiłby się, gdyby tak było. Ale na swoją Annę nie dał złego słowa powiedzieć. Uważał ją za ideał bez skazy.

Dean zaczął mieć dość tego, że ktoś nazywał Annę „swoją”, jakby była czyjąś własnością. W jego odczuciu nie mogła należeć do nikogo prócz siebie samej.

- Babcia też już pewnie zmarła? - zagadnął Cooleya.

- Parę lat temu, niedługo po śmierci dziadka.

- A czy żyje jeszcze ktoś, kto znałby bliźnięta Cameron?

- Nie znam nikogo takiego.

Cooley zauważył znajomego, więc pożegnał się i odszedł. Na odchodnym jeszcze raz zachęcił Deana, aby wstąpił do jego biura, choćby po to, by mieć porównanie z innymi firmami.

Następną osobą, która do nich podeszła, była Bobbie Vandover, żona burmistrza. U swego boku miała Sharyn Burton.

- Co tak tu stoicie, panowie? Macie strasznie poważne miny, kiedy wszyscy wokół bawią się w najlepsze. Obaj znacie Sharyn, prawda?

- Oczywiście - odparł Dean. - Jak się masz, Sharyn?

Szeroko uśmiechnięta Sharyn chwyciła go pod rękę i zaczęła zdawać mu znacznie bardziej szczegółową relację ze swego samopoczucia, niż mógłby sobie tego życzyć. Winter uśmiechnął się domyślnie i porzucił Deana na łaskę losu.

Przez resztę wieczoru Dean starał się nie wracać myślami do bliźniąt Cameron, a zwłaszcza do piękniejszego z nich. I tak, prawdę mówiąc, dowiedział się już więcej, niżby chciał.

Gdy uroczystość dobiegła końca, zabrał ciotkę na kolację, a później do kina. Chciał zatrzeć niemiłe wrażenie poprzedniego dnia i sprawić Mae przyjemność. Wszystko wskazywało na to, że osiągnął cel.

Było już po północy, kiedy pożegnał ją całusem w policzek i wrócił do swojej sypialni. Nie był zaskoczony, gdy wkrótce pojawiła się Anna.

- Gdzie byłeś przez cały wieczór? - spytała niecierpliwie, gdy tylko wyłoniła się w kącie pokoju.

- To - oświadczył, rozpinając guziki przy koszuli - nie twój interes.

Zdjął koszulę i rzucił ją na krzesło. Z tego, co usłyszał, wynikało, że nie po raz pierwszy widziała mężczyznę bez ubrania. Anna miała niezbyt pewną minę.

- Czy coś się stało?

- Nie.

Usiadł na brzegu łóżka i ściągnął buty.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Tak... Nie.

Przygłodził włosy. W głowie miał zupełny chaos. Wiedział jednak tylko tyle, że jego stosunek do Anny Cameron staje się z dnia na dzień bardziej skomplikowany i że im dłużej się z nią spotyka, tym wyraźniej widzi, jaka jest piękna. Jakaś część jego serca nie chciała pogodzić się z myślą, że dzieli ich nieprzekraczalna bariera.

Stała przed nim ze złożonymi na piersiach rękami.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Bo jestem zmęczony.

Odetchnął głęboko. Dobrze pamiętał, o co go prosiła.

- Byłem na otwarciu nowej biblioteki publicznej. Była tam Margaret Peavy Vandover, wnuczka twego ojczyma, i wnuki wielu innych znanych ci ludzi.

Anna szeroko otworzyła oczy.

- Córka Charlesa?

Skinął głową.

- Pamiętam, jak się urodziła. Charles i jego żona prowadzili wtedy zajazd. Potem sprzedali go jakiemuś dziwnemu małżeństwu o nazwisku Harvey.

- Więc byłaś tu w zajęzdzie od...?

- Od chwili śmierci? Mówiłam ci już. Czasem tu, czasem gdzie indziej.

- A czy możesz opuścić zajazd? Pojechać do miasta? Na przykład samochodem?

- Nie. Ian kiedyś próbował. Okazało się, że kiedy dotrzemy do granic naszej posiadłości, natychmiast wracamy do poczekalni.

Był zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad tym.

- Dowiedziałeś się czegoś podczas tej uroczystości? Czegoś na nasz temat.

- Bardzo niewiele. Spokałem człowieka, który nazywa się R.J. Cooley. To wnuk Jeffreya Parkera.

Patrzył na nią wyczekująco.

Zamrugała niespokojnie i na jej twarzy ukazało się coś, co wzięwszy pod uwagę jej bladość, można by nazwać rumieńcem.

- To Jeffrey ma wnuka?

Pokiwał głową.

- Cooley wspomniał, że jego babka miała na imię Wanda.

- Wanda? Wanda Nisbet? To Jeffrey ożenił się z Wandą?

- Nie znam jej panieńskiego nazwiska, ale jak zrozumiałem z relacji Cooleya, byliście przyjaciółkami.

Prychnęła.

- Przyjaciółkami? Nie nazwałabym jej tak. Rywalizowałyśmy ze sobą, odkąd zaczęłyśmy chodzić do szkoły. Wanda zawsze chciała być lepsza ode mnie. Próbowwała mi odbić każdego chłopaka, z jakim się spotykałam. Jestem przekonana, że zawsze kochała Iana, który nawet nie zauważał jej istnienia.

- Musiała jakoś przeboleć jego śmierć. Prawie pięćdziesiąt lat była żoną Jeffreya i mieli czworo dzieci.

Anna rozpogodziła się.

- Wiedziała, że Jeffrey będzie dobrym ojcem.

- Może poprawi ci to nastrój, bo dowiedziałem się także, że on nigdy nie pogodził się z twoim odejściem. Przed śmiercią powiedział wnukowi, że nigdy nie zapomina się pierwszej miłości.

- Jakie to miłe.

- I nigdy nie wierzył w to, co opowiadali o tobie w miasteczku. Uważał, że byłaś tylko przypadkową ofiarą.

- Cieszę się, że to słyszę. Jak to dobrze, że znalazł się choć jeden człowiek, który nie dał wiary tym wszystkim kłamstwom.

- No...

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie sądził chyba, że Ian popełnił jakieś przestępstwo.

Dean popatrzył w sufit.

Anna tupnęła nogą. Fakt, że nie spowodowało to żadnego dźwięku, nie odebrał jej gestowi siły wyrazu.

- Jak mógł uwierzyć w coś takiego! Powiedz Jefreyowi, że więcej po nim oczekiwałam.

- On nie żyje, Anno. I to od dawna.

- Och. - Przygryzła wargę. - No tak, oczywiście. Nikt już nie żyje, prawda?

- Jeśli się dobrze orientuję, nikt. To już siedemdziesiąt pięć lat. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

- I niczego więcej się dziś nie dowiedziałeś? Czy nie usłyszałeś o kimś, kto byłby zdania, że Ian i ja byliśmy niewinnymi ofiarami morderstwa, a prawdziwy winowajca nie został nigdy zdemaskowany?

- Mark Winter, wydawca lokalnej gazety, powiedział mi, że po mieście krążyły jakieś pogłoski na ten temat, ale na ogół wszyscy uwierzyli w oficjalną wersję wydarzeń. Oficer policji, który był świadkiem waszej śmierci, twierdził, że przyłapał was na konszachtach z jakimś miejscowym kryminalistą.

- Słyszałam to już z ust tej tlenionej blondynki, która była tu kiedyś wieczorem. I słyszałam inne wersje tej samej opowieści. To wszystko kłamstwa niewarte funta kłaków, Ian nie spotykał się z Buckiem Felcherem ani nie strzelał do Stanleya Tagerta. Wyszliśmy razem do ogrodu i wiem dobrze, że nie miał przy sobie broni.

- Z tego, co mówisz, wynika, że Tagert kłamał. Że sam był współnikiem przestępców, a z was uczynił kozły ofiarne.

- Tak właśnie było. To Stanley i Buck spotkali się pota-

jemnie w stróżówce. Był z nimi jeszcze ktoś. To ten trzeci mężczyzna nas zastrzelił.

- Buck także zginaj od kuli - powiedział Dean.

- Kiedy usłyszałam trzeci strzał, traciłam już świadomość - rozważała głośno Anna. - To wtedy musieli zastrzelić Bucka. Może był ich współnikiem. A może nie chcieli, żeby pozostał przy życiu żaden świadek zbrodni.

- Kim był ten trzeci mężczyzna? Ten, który do was strzelał?

- Nie mam pojęcia! Gdybym wiedziała, już dawno bym ci powiedziała. Ktoś nas zastrzelił, a Stanley Tagert złożył fałszywe zeznanie, żeby go chronić.

Dean pokręcił głową.

- Trudno mi uwierzyć, że Tagert mógł to wszystko zmyślić tak na poczekaniu. Musieli przecież być jacyś świadkowie. Zajazd był pełen ludzi, którzy zbiegli się na odgłos wystrzałów. Na pewno od razu wypytywali go, co się stało.

- Nie wiem - odparła krótko. - Nie było mnie przy tym. Kiedy po raz pierwszy wróciliśmy do zajazdu, było już po wszystkim. Śledztwo zostało zamknięte i wszyscy zdawali się wierzyć w oficjalną wersję wydarzeń. Wtedy postanowiliśmy sami odkryć prawdę i oczyścić się w oczach ludzi. I to ty możesz nam w tym pomóc, Dean. Wiem, że możesz.

Potańczał czoło. Zaczynał podejrzewać, że wpakował się w niezłą kabałę.

- Dlaczego właściwie myślisz, że mogę wam pomóc?

- Zastanawiałam się już nad tym - przyznała. - Ian też mnie o to pytał. Wiem tylko tyle, że nasze ścieżki nie skrzyżowały się bez powodu. Musi być jakaś przyczyna, dla której od początku mnie widziałeś i dla której teraz mnie słyszysz. Nikomu innemu się to nie udało. To nie może być przypadek.

- Nie dałbym za to głowy - westchnął Dean. - Nawet jeśli

znajdę dowody na waszą niewinność, co nie jest wcale takie pewne, bo w końcu to są stare dzieje, kto mi uwierzy? I kogo to jeszcze obchodzi po tylu latach?

- Iana i mnie. Nawet nie wiesz, jak bardzo nas to obchodzi. Po cóż innego mielibyśmy tu tkwić przez ten cały czas, jak nie po to, żeby w końcu wyjaśnić tę sprawę?

- A gdzie jest Buck? Zginął przecież razem z wami. Czy on tu nigdy nie wraca?

- Zastanawialiśmy się już nad tym. Ian uważa, że skoro Buck jest winny zarzucanych mu przestępstw, to nie ma na co czekać. I tak nic mu to nie pomoże.

Brzmiało to logicznie.

- Opowiedzcie mi wszystko, co pamiętacie z wydarzeń tego wieczoru. Może w ten sposób wpadniemy na jakiś trop.

- Ian był w ogrodzie. Wyszedł z zajazdu, wściekły z powodu plotek, jakie o nim rozpowiadano. Wybiegłam za nim. Chciałam go uspokoić i nakłonić do powrotu...

Jej relacja była jasna i rzeczowa. Dopiero gdy doszła do śmierci brata, głos jej się załamał.

- I to wszystko, co wiem - zakończyła swoje opowiadanie.

- Nie zauważyłaś niczego, co pozwoliłoby zidentyfikować tego trzeciego mężczyznę? Nie pamiętasz jego sylwetki? Choćby głosu?

Pokręciła głową.

- W nieskończoność roztrząsamy wszystko, co zdołaliśmy zauważyć, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków. Nie wiemy, kto to był, choć oboje mamy swoich podejrzanych.

- Wasz ojczym?

Anna patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszył ramionami.

- To się wydaje logiczne. Gdybyście żyli, tej właśnie nocy przestałby być zarządcą zajazdu. Po waszej śmierci stał się jego właścicielem.

- Tak właśnie mówi Ian. Zawsze był zdania, że Gaylon maczał w tym palce.

- A jego syn, Charles?

- Nie miał żadnego powodu, żeby nas nienawidzić. Nigdy nie interesował się zajazdem. Najchętniej zabawiał się z przyjaciółmi. Nie przepadał za łanem, ale też nigdy nie byli wrogami. Od śmierci matki Ian właściwie z nikim nie żył dobrze. Bolało go, że umarła i to tak młodo. - Anna posmutniała.

- Nawet po śmierci nie możemy z nią być.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział bezradnie Dean.

- Pomóż nam dowieść, że jesteśmy niewinni, to może znów się z nią spotkamy.

Chwilami jej nienawidził za to, że wywierała na niego presję.

- Spróbuję.

Poklepała go po ramieniu.

- Wiem, że to zrobisz. Oboje doceniamy twoje starania. Nie musisz przecież tego robić. Jesteś naprawdę wyjątkowym człowiekiem, Dean.

Jej dotknięcie zrobiło na nim wielkie wrażenie. Ciągłe jeszcze zadziwiało go to, że mogą się w ten sposób kontaktować, pomimo dzielącej ich tajemniczej, niewidzialnej bariery.

Bardzo silnie odczuwał otaczającą ich ciszę i spokój. Byli sami w sypialni, tylko on i ta piękna, intrygująca kobieta. Zdawała mu się tak bardzo rzeczywistą, tak niezwykle pociągającą. .. Od dawna już nikt nie wywarł na nim równie silnego wrażenia.

Spojrzała na swoją dłoń, która ciągle leżała na jego ramieniu. Miała zakłopotaną minę.

- Dziwnie się czuję. Niby cię dotykam, a cały czas wydaje mi się, że coś nas dzieli. Tak jakbyś był ubrany.

- Ja się czuję podobnie-przyznał.

Spojrzała mu w oczy.

- Chciałabym móc cię naprawdę dotknąć - mruknęła cicho, jakby do siebie.

Dean pytał sam siebie, czy to możliwe, żeby w jej głosie słychać było pożądanie. To samo pożądanie, które on odczuwał wobec niej.

Nie mógł oderwać spojrzenia od jej ust. Ciekawiło go, jak to jest - pocałować ducha.

- Czy twój brat jeszcze tu jest?

- Nie,.. Okazało się, że łatwiej mi porozumieć się z tobą, kiedy jesteśmy sami. Nie wiem, czemu tak się dzieje, Ian czeka, aż wrócę, i opowiem mu, co od ciebie usłyszałam.

- Za każdym razem jesteś ze mną trochę dłużej.

- Tak, to także staje się coraz łatwiejsze.

- Czy możesz mnie widzieć, kiedy ja nie widzę ciebie?

- Czasem - przyznała. - Pojawienie się przed tobą ciągle wymaga ode mnie pewnego wysiłku. Ale tego też nie umiem wyjaśnić.

Dean wcale nie był pewny, czy mu na tym zależy.

Anna powoli uniosła dłoń i dotknęła czubkami palców twarzy Deana. To było dziwne, ale okazało się, że wcale nie nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie.

- Muszę już iść -przerwała milczenie.

- Ale wrócisz. - To nie było pytanie.

Wolał nie myśleć, jak by się czuł, gdyby nie wróciła.

- Biedny Dean - uśmiechnęła się smutno. - Nie miałeś pojęcia, co cię czeka, kiedy kupowałeś zajazd, prawda?

Odpowiedział jej równie smętnym uśmiechem.

- Nie, nie miałem.

- Pewnie żałujesz, że mnie spotkałeś?
- Nie - odpowiedział cicho. - Nie żałuję.

Anna przesunęła czubkami palców po jego wargach.

- To dobrze - szepnęła.

Znikła.

Odetchnął głęboko. Dotknął swoich ust. Miał wrażenie, że ktoś go pocałował.

W pokoju było cicho.

Nie zdejmując spodni, położył się na wznak i pograżył w marzeniach o tym, co i tak żadnym sposobem nie mogło się wydarzyć.

Za długo żył sam. Tylko tak umiał sobie wytłumaczyć pogłębiającą się z dnia na dzień obsesję na punkcie pięknej, ciemnookiej zjawy.

Rozdział 6

*Chciałbym oderwać się od Ziemi,
A potem wrócić na nią i zacząć od nowa...
Ziemia jest właściwym miejscem dla miłości*

Robert Frost

Następnego dnia Dean od rana pracował w ogrodzie. Zaczaj od usuwania uschniętych gałęzi tarasujących ścieżki i alejki. Szybko zgromadził spory stos, który zamierzał spalić. Choć było chłodno, plecy miał zlane potem. Od dawna już nie uprawiał żadnych ćwiczeń i niewprawne mięśnie szybko dały o sobie znać.

- Przepraszam...

Kobięcy głos podziałał na niego jak impuls elektryczny. Odwrócił się i z trudem zapanował nad rozczarowaniem, jakiego doznał na widok drobnej, mniej więcej trzydziestoletniej blondynki. Obok stała dziesięcioletnia na oko dziewczynka i spoglądała na niego nieśmiało.

- Czy pan Dean Gates? - zaczęła blondynka.

- Tak, to ja. Czym mogę pani służyć?

- Jestem Cara McAlister. A to moja córka, Casey. Pani Harper powiedziała mi, że znajdziemy pana w ogrodzie.

Nie odzywał się, czekając, aż kobieta przejdzie do rzeczy.

Wydawała się zdenerwowana. Nieustannie rozglądała się wokół, jakby za każdym krzakiem czy drzewem mogło się czaić niebezpieczeństwo. Dean miał nadzieję, że wizyta nieznajomej nie ma jakiegoś związku z duchami. Po dłuższej chwili kobieta zebrała się wreszcie na odwagę.

- Szukam pracy - zaczęła. - Słyszałam, że ma pan zamiar otworzyć wkrótce zajazd. Teraz mogłabym pomóc przy pracach renowacyjnych, mam pewne doświadczenie w urządzeniu wnętrz. Umiem ciężko pracować i chętnie zajmę się wszystkim, co będzie do zrobienia - malowaniem, gotowaniem, sprzątaniami. W zamian oczekuję tylko miejsca do spania i możliwości wykarmienia siebie i córki.

Dean był tak zaskoczony, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie prace renowacyjne wykonywali robotnicy z wynajętych przez niego firm. Urządzeniem wnętrz zajmowała się, cokolwiek sądziłaby na temat jej uzdolnień Anna, pani Buchanan. Jedyne pokoje nadające się do zamieszkania zajmował on sam i ciotka Mae. Dwie pozostałe sypialnie nie były jeszcze nawet umeblowane. Otworzył usta, by uprzejmie odmówić, kiedy stanęła przed nim Anna.

- Przyjmij ją, Dean.

- Obawiam się... - zaczął.

- Nie możesz jej tak zostawić. Spójrz tylko, jaka jest smutna i zmęczona. A w dodatku ta dziewczynka! One potrzebują twojej pomocy.

- Pani McAlister - zaczął od nowa, zdecydowany zignorować opinię gościa z zaświatów. Pomimo widocznego zmęczenia, kobieta dumnie uniosła głowę.

- Próbowaliśmy znaleźć jakieś zajęcie w mieście, ale nikt nas tam nie potrzebował. Kasjerka w barze poradziła nam, żebyśmy udaliśmy się do pana.

- Ona nie ma dokąd pójść, Dean - wtrąciła się Anna.

- Czuję, że to dobra kobieta. Trzeba jej pomóc, Ian mógłby ci powiedzieć, gdybyś tylko go potrafił usłyszeć, że przecucia mnie nigdy nie mylą.

- Nawet nie mam dla nich pokoju - mruknął zirytowany, że wdając się w rozmowę z Anną, znowu robi z siebie wariata.

- Sam dopiero co wprowadziłem się do zajazdu. Jest jeszcze stanowczo za wcześnie na przyjmowanie pracowników.

- Niewiele nam trzeba. Możemy mieszkać razem i spać choćby na podłodze w śpiworach. Zobaczysz pan, że będziemy umiały się panu odwdziaczyć.

- Nie odmawiaj im, Dean - nalegała Anna.

Miał wrażenie, że wpadł w pułapkę. To jakiś obłęd, pomyślał. Nie potrzebował pokojówki ani kucharki. A zajazd, w którym we wszystkich niemal pomieszczeniach pracowali robotnicy, nie nadawał się na mieszkanie dla dziecka. Już miał odmówić, nie zważając na naleganie Anny, gdy napotkał spojrzenie nieznajomej.

Cara McAlister nie patrzyła na niego błagalnym wzrokiem, zapewne była na to zbyt dumna, ale była tego bliska. W jej oczach mógł wyczytać rozpacz i desperację.

- Naprawdę potrafię ciężko pracować - powiedziała.

- To od kiedy zaczniemy? - spytał zrezygnowany.

Oczy kobiety natychmiast pojaśniały.

- Wszystkie nasze rzeczy są w samochodzie. Możemy wprowadzić się choćby zaraz.

- Biedactwa - rozczuliła się Anna. - Nie mają nawet domu.

Dean rzucił Annie gniewne spojrzenie, po czym przeniósł wzrok na stojącą przed nim kobietę - swego pierwszego pracownika.

- Na początek trzeba znaleźć dla pani jakieś meble i wnieść je do którejś z wolnych sypialni. Na górze stoją stare

łóżka i komody. Na razie będzie pani musiała się zadowolić tym, co jest. Potem poszukamy czegoś lepszego. Moja ciotka zajmuje się gotowaniem, a ostatnio zaczęła sprzątać pokoje, w których zakończone zostały prace renowacyjne. Proszę jej w tym pomóc. Później porozmawiamy o pani wynagrodzeniu.

Cara obdarzyła go nieśmiałym, pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Dziękuję. Przekona się pan, że będzie pan z nas zadowolony.

Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że faktycznie tak będzie. Wskazał ruchem głowy na dziewczynkę.

- Proszę zadbać, żeby mała trzymała się z dala od pomieszczeń, w których trwają prace. W takich warunkach nietrudno o wypadek.

- Casey nie będzie nikomu wchodzić w drogę - obiecała Cara.

Dziewczynka kiwnęła głową. Dean był ciekaw, czy zawsze jest taka cicha i potulna. Zastanawiał się, przed czym ta szczególna dwójka ucieka, bo co do tego, że tak właśnie jest, nie miał najmniejszych wątpliwości. Musiały przeżyć jakiś dramat rodzinny. Być może były ofiarami przemocy męża Cary, czy może tylko ojca Casey. Westchnął na myśl, ile komplikacji ściągnął na siebie, odkąd postanowił zacząć zwyczajne, proste życie na prowincji.

Spojrzał na zegarek. Już po dwunastej. Gotów był pójść o zakład, że Cara i Casey nie jadły lunchu, a nie dałyby głowy za to, że były po śniadaniu. Nie miał natomiast żadnych wątpliwości co do tego, że ciotka Mae już jest w kuchni i szykuje im coś do jedzenia.

- Najlepiej będzie, jak na początek pójdziecie do kuchni i zjecie coś gorącego - zdecydował. - Odniosę narzędzia i dołączę do was.

Cara kiwnęła głową, wzięła córkę za rękę i ruszyła w kierunku zajazdu. Po paru krokach zatrzymała się i spojrzała za siebie.

- Dziękuję, panie Gates.

Skinał jej głowę. Miał wrażenie, że widzi w jej oczach łzy.

- Nie ma o czym mówić - odparł, starając się, by zabrzmiało to uprzejmie i rzeczowo. - Idźcie coś zjeść.

- Jesteś naprawdę wspaniałym człowiekiem - odezwała się Anna z aprobatą, gdy tylko zostali sami. - Wiedziałam to od chwili, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam.

- Miejmy nadzieję, że z tych twoich przeczuć nie wynikną jakieś kłopoty - burknął. - Niech to wszystko diabli wezmą. Co ja mam z nimi zrobić?

- Pokojówka zawsze się przyda w zajazdzie. U nas były co najmniej trzy.

- Teraz mamy inne czasy, a zajazd nie jest jeszcze nawet otwarty. I nie otworzymy go wcześniej niż za kilka miesięcy.

- Wobec tego będzie sprzątać i gotować dla was, a wy będziecie mogli zająć się remontem. Nic ci nie mówiłam, ale martwiło mnie, że twoja ciotka musi wszystko robić sama. Czy wiesz, że wczoraj omal nie spadła z drabiny?

- Nie, nie miałem pojęcia.

Postanowił porozmawiać poważnie z Mae. Nie może pchać się na drabinę ze swoim chorym kolaniem. Jedyne problem polegał na tym, jak zacząć rozmowę na ten temat, skoro ciotka wie, że nie mógł jej widzieć.

Przy okazji zdał sobie sprawę, że obecność Anny stała się dla niego czymś najzupełniej naturalnym. Nie dostrzegał już nic dziwnego w tym, że wyłaniała się przed nim ni stąd, ni zowąd. I stanowczo za często nie mógł się tego doczekać.

- Lubię twoją ciotkę. Wydaje mi się bardzo miła.

- Bo jest bardzo miła. Wychowywała mnie i moją siostrę,

kiedy rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Byliśmy wtedy jeszcze dziećmi.

- Masz siostrę? Bliźniaczkę?

Pokręcił głową.

- Jest ode mnie o osiem lat młodsza. Była tu ze mną, kiedy zastanawiałem się, czy kupić zajazd.

- Szkoda, że jej nie widziałam. Czy blisko ze sobą żyjecie?

- Dość blisko.

Uśmiechnęła się.

- To miło. Ian i ja zawsze byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym się z nim rozstać.

- A wracając do tej kobiety, do której zatrudnienia mnie zmusiłaś...

Anna zachichotała.

- Do niczego cię nie zmusiłam. Jak mogłabym to zrobić?

Popatrzył na nią wymownie.

- Już ty masz swoje sposoby. Skąd możesz wiedzieć, że to dobry pomysł? A jak okaże się złodziejką, pijaczką albo leniem?

- Nie jest ani złodziejką, ani pijaczką, ani leniem. Jest miłą kobietą, która znalazła się w trudnej sytuacji.

- Czy wśród twoich nadprzyrodzonych zdolności znajduje się umiejętność czytania w myślach?

- Ależ skąd. Ja po prostu...

- Mam przeczucia - dokończył za nią.

- No właśnie.

Pokręcił głową.

Anna wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. Dean poczuł dławienie w gardle. Była tak piękna, kiedy się śmiała. Nagle spoważniała. Nie miał pojęcia, co takiego zobaczyła w jego wzroku, lecz zachęciło ją to, by zrobić krok w jego kierunku.

- Dean?

- Dean? - Ścieżką od strony domu maszerowała ciotka Mae. - Lunch gotowy. Co ty tu jeszcze robisz? Na co tak patrzysz?

Niechętnie oderwał spojrzenie od Anny.

- Przepraszam, ciociu. Zastanawiałem się, co mam tu jeszcze do zrobienia.

- Już zrobiłeś dostatecznie dużo, by zasłużyć sobie na lunch - oznajmiła Mae z aprobatą, po czym podeszła bliżej i uśmiechnęła się chytrze. - Wiedziałam, że ją przyjmiesz. Jak tylko zobaczyłam ją z tym biedactwem i usłyszałam, że szuka pracy, to wiedziałam, że jej tak nie zostawisz.

- Musiałem upaść na głowę - mruknął poirytowany. - Po co mi teraz pokojówka? A do tego jeszcze to dziecko. Co my tu z nim zrobimy?

- Zajmiemy się nimi obiema. One potrzebują pomocy, Dean. Ta dziewczynka wygląda tak jak Bailey, gdy przyjechałaście do mnie po śmierci rodziców. Jest tak samo smutna i zagubiona. To musi być bardzo wrażliwe dziecko.

Dean uświadomił sobie z rezygnacją, że ciotka uznała już te dwie zbłąkane istoty za członków rodziny.

A on sądził, że czeka go zwykłe, nieskomplikowane życie w małym miasteczku!

Kiedy Cara usłyszała, że będą mieli gościa na kolacji, natychmiast zaproponowała, że zajmie się wszystkim.

- Nie musisz zaczynać pracy już od dziś - zaproponowała ciotka Mae. - Najpierw rozpakuj swoje rzeczy.

Po lunchu Dean wyszukał dwa łóżka z kompletem i pasującą do nich komodę. Z pomocą robotników zniósł meble do pustej sypialni na parterze, dokąd Cara przeniosła w tym czasie z wysłużonego samochodu swój skąpy bagaż.

Kiedy jej się bliżej przyjrzał, musiał przyznać, że pomimo wszystkich wysiłków wyglądała żałośnie. Nie ulegało wątpliwości, że już od dłuższego czasu musiało jej brakować snu.

- Ciotka Mae ma rację - odezwał się, kiedy ustawili meble. - Nie ma potrzeby, żebyś zaczynała pracę od zaraz. Może raczej zjadłybyście z nami kolację jako nasi goście?

Cara pokręciła głową i Dean uświadomił sobie, że jeszcze nieraz ujrzy dumnie wysunięty podbródek i uparte spojrzenie.

- Potrafię na siebie zarobić - oznajmiła stanowczo. - I lubię gotować. Państwo zjedzą kolację ze swoim gościem, a my z Casey będziemy jadły w kuchni.

Choć oboje z ciotką Mae starali się ją namówić, ich wysiłki spełzły na niczym. Im bardziej nalegali, tym bardziej stanowczo Cara obstawała przy swoim.

Winter przyszedł punktualnie i zaraz po powitaniu wręczył Deanowi grubą kopertę.

- Są tu kserokopie wszystkiego, co znalazłem - oznajmił. - Nie jest tego dużo, ale przynajmniej będziesz miał od czego zacząć.

- Dziękuję ci, Mark. Przejrzę to w spokojnej chwili przed snem.

- Nie ma za co. - Winter odwrócił się do Mae. - Bardzo mi miło, że zadała sobie pani trud przyrządzenia kolacji także dla mnie, pani Harper. Od wieków nie jadłem domowego posiłku. Nie mogłem się już doczekać.

Ciotka poklepała go macierzyńskim gestem po ramieniu.

- Miło nam, że wpadłeś, Mark. I mów mi po imieniu, chłopcze. A kolacja nie stanowiła dla mnie najmniejszego kłopotu, bo wszystkim zajęła się kobieta, którą Dean zatrudnił właśnie do prowadzenia gospodarstwa.

- Już zatrudniliście gospodynię? - zdziwił się Winter.

Dean wzruszył ramionami.

- Sama do nas trafiła i prosiła, żebyśmy przyjęli ją do pracy. Moja... lepsza strona opowiedziała się za nią, więc zrobiłem, jak mi kazała.

Anna, która stała w głębi holu, zaśmiała się. Dean spojrział na nią srogo, ale jej radosna mina sprawiła mu w głębi serca wielką przyjemność. Zaciekawilo go, od jak dawna im towarzyszy, ale postanowił, że za nic w świecie nie da się tego wieczoru wciągnąć w rozmowę, podczas której wszyscy dookoła będą patrzyli na niego jak na wariata.

- To ktoś z miasta? - zainteresował się Winter.

- Nie, powiedziała, że nie jest z tych stron. Szukała pracy w Destiny, ale niczego nie mogła znaleźć, aż w końcu ktoś odesłał ją do nas.

- Znaleźć pracę w Destiny to faktycznie niełatwa sprawa. Jeśli oczywiście nie jest się wiernym poplecznikiem Peavych.

W jadalni Dean od razu zauważył, że stół nakryto ze znajomością rzeczy. Na koronkowym obrusie pyszniła się porcelana i srebrne sztucce Mae. Pośrodku stał kryształowy wazon ze świeżymi kwiatami. Dean docenił to tym bardziej, że mieszkając we dwójkę z ciotką, jadali przez ostatnie kilka tygodni z papierowych talerzy i używali plastikowych sztućców.

Mina Wintera zdradzała, że i na nim nakryty do kolacji stół zrobił wrażenie..

- Naprawdę tu u was miło! - wykrzyknął z entuzjazmem.
- Jeżeli tak ma wszystko wyglądać, to... - urwał i patrzył jak oniemiały.

Dean dopiero po chwili zrozumiał, co się stało. Cara, słysząc ich głosy, pojawiła się na progu kuchni. Nie ulegało wątpliwości, że to jej obecność odebrała Winterowi mowę. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. On sam mógłby zaniemówić na widok jej delikatnych rysów twarzy i złocis-

tych loków. Mógłby, gdyby wszystkie jego myśli nie krążyły wokół kruczowłosej piękności z zaświatów.

- No i czy ona nie jest słodka? - odezwała się z satysfakcją Anna. - Popatrz tylko na swojego gościa. Wygląda, jakby ktoś zdzielił go kijem przez głowę.

Dean nie dał się wciągnąć w rozmowę.

- Cara McAlister, to Mark Winter, właściciel i wydawca lokalnej gazety.

Cara, która powitała ich uprzejmym uśmiechem, spoważniała nagle. Jej twarz wyrażała teraz zmieszanie i odrazę.

- Jest pan dziennikarzem? - spytała nieprzyjaźnie.

Winter uśmiechnął się z przymusem.

- Niestety. Ktoś musi zajmować się także tą brudną robotą. Nie odpowiedziała na jego uśmiech.

- Kolacja gotowa - oznajmiła oficjalnym tonem, po czym odwróciła się i zniknęła w kuchni.

- Mój Boże - westchnęła ciotka Mae. - Ta dziewczyna najwyraźniej nie przepada za dziennikarzami.

- Nie żartuj sobie - mruknął Dean, choć nie ulegało wątpliwości, że starsza pani ma rację.

- Czy powiedziałem coś niewłaściwego? - odezwał się niepewnie Winter.

Dean wzruszył ramionami i podszedł do stołu.

- Siadajcie - zaprosił resztę, pomijając milczeniem pytanie Wintera.

Pomógł ciotce zająć miejsce i zasiadł za stołem.

- No a ja? - zaczepnym tonem odezwała się Anna. - Czy nie masz zamiaru posadzić mnie razem z gośćmi?

To dopiero pomysł, pomyślał zirytowany. Już widział wielki nagłówek na pierwszej stronie „Dziennika Destyny”: Nie-widzialny gość nowego właściciela „Cameron Inn”, albo jeszcze lepiej: Kolacja z duchami w „Cameron Inn”. Trudno było

sobie wyobrazić lepszy sposób na ściągnięcie do zajazdu wariatów i spirytystów.

- Mniejsza z tym - roześmiała się Anna. - Widzę, że wolisz udawać, że w ogóle mnie tu nie ma.

Nie miała racji. Gdyby tylko było to możliwe, Dean z przyjemnością poprosiłby ją o zajęcie honorowego miejsca.

- Czy pani McAlister zje z nami kolację? - zagadnął Mark, błędząc wzrokiem w okolicy kuchennych drzwi.

- Zapraszaliśmy ją, ale woli zjeść w kuchni, ze swoją córką - wyjaśniła Mae. - Myślę, że są zmęczone po podróży.

- Z córką? - powtórzył Winter.

Ciotka kiwnęła głową.

- Cara jest samotną matką. Jej córeczka Casey ma dziesięć lat i jest równie śliczna jak mama.

Winter zamyślił się nad czymś.

- Myślisz, że lubi dzieci? - zapytała Anna.

Dean wzruszył nieznacznie ramionami, tak by żadna z siedzących przy stole osób tego nie zauważyła. Anna najwyraźniej czytała za życia zbyt wiele romansów. Czy nie starcza jej zamieszania, jakie sama wzbudziła w jego sercu? Jeśli liczy na to, że z jego pomocą skojarzy ze sobą jeszcze Marka i Carę, to...

Jego rozważania przerwało wejście Cary. Mark zerwał się z miejsca, by jej pomóc. Podziękowała mu chłodno, nie patrząc w oczy.

Dean zaryzykował ironiczną minę pod adresem Anny. Nie trzeba było wytrawnej znajomości duszy ludzkiej, by zorientować się, że Mark nie wzbudził życzliwości Cary.

Anna odpowiedziała mu tajemniczym uśmiechem.

Podczas kolacji toczyła się żywa rozmowa, choć dało się zauważyć, że uwagę Marka zaprzętały zamknięte drzwi do kuchni.

Nie on jeden miał kłopoty. Rozpraszcany przez komentarze Anny, Dean z trudem prowadził rozmowę. W dodatku Anna nieustannie krążyła po pokoju, więc chcąc ją widzieć, musiał bez przerwy zmieniać pozycję. Miał ochotę poprosić, by wreszcie usiadła gdzieś spokojnie, lecz nie mógł tego zrobić przy reszcie gości.

Winter, który opowiadał o zmianach, jakie zamierzał wprowadzić do gazety, wkrótce pograżył się w zawiłościach techniki komputerowej.

- Czy ty rozumiesz, o czym on właściwie mówi? - zagadnęła go Anna, dla której wszystko to musiało brzmieć jak chińszczyzna. Trudno było się temu dziwić. Nawet Mae, która w końcu żyła w tym samym świecie co Dean i Mark, miała wyraźne trudności z nadażaniem za tokiem ich rozmowy.

Skinał lekko głową. Po chwili Winter przeszedł do polityki międzynarodowej, co już bardziej przypadło do gustu ciotce, z przejściem śledzącej wiadomości telewizyjnej. Pomysł okazał się szczęśliwy. Mae i Mark ochoczo ruszyli we wspólną podróż dookoła świata to odkrywając, że mają wspólne zapamiętania, to dyskutując z ożywieniem kwestie sporne. Dean dorzucał od czasu do czasu parę słów, jego uwagę pochłaniała jednak przede wszystkim Anna, która z widocznym przejściem reagowała na wszystko, co słyszała.

- Mój Boże - odezwała się, kręcąc głową - wydaje się, że świat bardzo się zmienił.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - zauważył ostrożnie, pochylając się nad talerzem.

- Chciałabym poznać lepiej ten nowy świat.

Nie zareagował. Nawet gdyby mógł, nie wiedziałby, co ma jej odpowiedzieć.

Po kolacji przenieśli się do saloniku. I tym razem Cara grzecznie odrzuciła zaproszenie. Wymówiła się zmęczeniem,

lecz kiedy ciotka Mae zaproponowała jej pomoc przy sprzątnięciu, zaprotestowała. Na nic się to zresztą nie przydało, bo Mae po prostu przeprosiła gości i ruszyła za nią do kuchni. Dean zauważył, że podczas całej rozmowy Cara starannie unikała wzroku Marka.

- Opowiedz mi coś więcej o swoich nowych współmieszkanekach - poprosił Winter, gdy znaleźli się sami w saloniku.
- Powiadasz, że Cara tak ni stąd, ni zowąd pojawiła się u was w poszukiwaniu pracy?

Dean skinął głową.

- Tak właśnie było. Nie pokazała żadnych referencji, nic o sobie nie powiedziała. Po prostu stanęła przede mną z dzieckiem u boku i miną, jakby cały świat się jej zawalił.

- Muszą przed czymś uciekać - mruknął Winter.

- Podejrzewam, że przed mężem - zasugerował Dean.

- Najprawdopodobniej - przyznał Winter.

- Właściwie to nie moja sprawa. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nie zjawi się tu w pogoni za nimi jakiś ponury typ z zamiarem egzekwowania swoich praw.

Winter spochmurniał.

- Gdyby tak było, daj mi znać. Przekonamy go, że kobieta też ma prawo wyboru własnej drogi.

Dean mruknął coś nieparlamentarnego i pociągnął łyk kawy.

- Jest bardzo przejęty jej losem - skomentowała zachowanie Wintera Anna, która z uwagą obserwowała twarz gościa.

- Jak sądzisz, czy Cara jest mężatką?

Dean wzruszył ramionami, żeby dać jej do zrozumienia, iż nie ma pojęcia, jaki jest stan cywilny Cary McAlister, a następnie wdał się w rozmowę z Winterem. Był wprawdzie zdania, że Anna powinna zrozumieć, iż nie może poświęcić jej więcej uwagi, aby jednak nie wystawiać jej cierpliwości na próbę, postanowił podjąć temat, który by ją przy nich zatrzymał.

- Jeszcze raz ci dziękuję za materiały, które ze sobą przywiozłeś. Czy jesteś pewny, że nie dają żadnych podstaw do przypuszczeń, iż oficjalna wersja wydarzeń mijała się z rzeczywistością?

Tak jak się spodziewał, Anna zrobiła zaciekawioną minę.

Winter pokręcił głową.

- Nie udało mi się wiele ustalić - przyznał. - Rozmawiałem z kilkoma osobami, które mogłyby coś wiedzieć, przejrzałem stare gazety, próbowałem odnaleźć jakieś dokumenty.

- I co?

- Nic istotnego z tego nie wynikło. Moi rozmówcy powtarzali z nieznacznymi różnicami tę samą historię, z artykułów można się było dowiedzieć zaskakująco mało jak na taką głośną sprawę. A jeśli chodzi o oficjalne dokumenty, to wszystko wskazuje na to, że się nie zachowały.

Dean zmarszczył brwi.

- Przecież w policyjnych archiwach musiało się coś ostać.

- Jeśli się dobrze orientuję, nie ma w nich niczego. Budynek, w którym mieściło się archiwum, został zniszczony w latach pięćdziesiątych przez tornado.

- A artykuły w prasie?

- Artykuły wyglądały tak, jakby ludzie, którzy je pisali, nie mieli pojęcia o podstawowych zasadach dziennikarskiego rzemiosła albo wszyscy czerpali z jednej oficjalnej wersji. Z tego, co znalazłem, wynika tyle, że Ian i Anna Cameronowie, obywatele Destiny, zginęli podczas strzelaniny, gdy oficer policji Stanley Tagert usiłował ich aresztować pod zarzutem nielegalnego handlu alkoholem i innych przestępstw. Ojczym bliźniąt i narzeczony Anny byli zbyt wstrząśnięci tragicznymi wydarzeniami, by udzielać wywiadów. Przyjaciele zastrzelonych także nie mieli nic do powiedzenia. Za to

znaleźli się jacyś sąsiedzi, którzy od dawna wiedzieli o przestępczych powiązaniach Iana Camerona.

- To kłamstwa! - krzyknęła Anna. - Podłe kłamstwa!

- Niemożliwe, żeby to było wszystko - mruknął Dean.

- Musiał być ktoś, kto znał prawdziwy przebieg wydarzeń.

- Stanley Tagert - podpowiedziała Anna. - I ktoś, kto zastrzelił Iana, Bucka i mnie.

- Stanley Tagert zginął w wypadku na polowaniu, mniej więcej w rok potem. Od tej pory pozostał tylko ten trzeci - wyjaśnił jej Dean, który zupełnie zapomniał, że nie powinien tego robić przy Winterze. - To jego musimy odnaleźć, choć prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak się za to zabrać.

- Jaki trzeci? - Winter wytrzeszczył oczy i spojrzał na pusty fotel, do którego zwracał się Dean. - O kim mówisz?

Dean nie miał pojęcia, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

- Mam powody podejrzewać, że naprawdę to właśnie Tagert współpracował z przestępcami, a bliźnięta Cameron zginęły, bo zobaczyły coś, czego nie powinny były widzieć.

Mark zrobił sceptyczną minę.

- Czemu tak myślisz? Skąd wiesz w ogóle cokolwiek na ten temat? Przecież mieszkasz tu dopiero od niedawna.

Dean gorączkowo szukał jakiegoś wytłumaczenia. Spojrzał na Annę, ale ona akurat teraz, kiedy byłby jej wdzięczny za każdą wskazówkę, jak na złość nie miała mu niczego do powiedzenia.

- Znalazłeś coś w zajeździe, tak? Co to było? Dziennik? List? No powiedzże, nie rób z tego tajemnicy!

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć domysłom Wintera, ale w ten sposób tylko pogorszyłby sprawę.

- Tak, znalazłem coś. Na razie nie mogę ci o tym nic więcej powiedzieć. Muszę najpierw sam mieć więcej dowodów.

- Dowodów na co?
- Dowodów na to, że u źródeł fortuny Peavych leży morderstwo i nielegalny handel alkoholem w latach prohibicji.
- Wielki Boże - jęknął Winter. - Wsadzisz rękę w gniazdo os. Nie masz pojęcia, jaka drażliwa jest Margaret Peavy Vandover, jeśli chodzi o honor rodziny. Nie mówiąc już o senatorze, burmistrzu i komendancie policji. Ci ludzie trzymają Destiny w garści. Jeżeli ich rozjątrzysz, to nie będziesz miał tu czego szukać.
- Zdaję sobie sprawę. I właśnie dlatego potrzebuję więcej dowodów na poparcie podejrzeń.
- Nawet jeśli je znajdziesz, po co wydobywać je na światło dzienne? Nie obawiasz się, że zamiast uczynić zadość sprawiedliwości, skrzywdzisz raczej niewinnych ludzi? Co oni mogą poradzić na to, co się stało, zanim jeszcze w ogóle przyszli na świat? Wiem, że takie wątpliwości mogą brzmieć dziwnie w ustach dziennikarza, ale po co rozdmuchiwać skandal, skoro już dawno nie ma nikogo, kto byłby bezpośrednio zainteresowany prawdą?

Anna zatrzęsała się ze złości.

Dean z trudem zapanował nad chęcią, by wziąć ją za rękę.

- Chcesz powiedzieć, że bliźnięta Cameron powinny nosić na sobie ciężar zbrodni, której nie popełniły? Tylko dlatego, żeby nie urazić dumy rodzinnej Peavych?

Mark zawahał się. Potem wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że z biegiem lat stałem się konformistą. A poza tym wiem, co to znaczy zniszczyć czyjąś dobrą reputację. Zwłaszcza gdy chodzi o ludzi zaangażowanych w politykę. Sam skompromitowałem kiedyś paru polityków. Ujawniłem, że pewien prokurator stanowy, cieszący się opinią przykładowego męża i ojca rodziny, miał kochankę, którą oczywiście utrzymywał z pieniędzy podatników. W rezultacie opuściła

go żona, a jego kariera skończyła się raz na zawsze. - Mark schował twarz w dłonie. Po chwili opuścił ręce i mówił dalej: - Prawdziwe nieszczęście polegało na tym, że ten facet wcale nie był złym człowiekiem. Bardzo dobrze wypełniał swoje obowiązki publiczne. Znał się na pracy, był nieprzekupny. Zawsze go podziwiałem. Dotąd go podziwiam. I wiem, że jedyną jego winą było to, że ożenił się nie z tą kobietą, z którą powinien.

- Przez siedemdziesiąt pięć lat Ian i Anna Cameronowie byli uważani za zbrodniarzy. Stali się bohaterami czarnej legendy. Upiorami, o których ludzie opowiadają sobie z dreszczem lęku. Czy nie sądzisz, że, choćby pośmiertnie, należy im się sprawiedliwość?

- I ty chcesz przywrócić im dobre imię?

Dean czuł na sobie uważne spojrzenie Anny.

- Czemu nie?

- O co ci chodzi? Chcesz zapewnić spokój ich biednym duszom?

Dean z wysiłkiem odpowiedział na uśmiech Wintera.

- Tak to wygląda.

- Jesteś pewny, że nie widziałeś tu ich duchów?

- W każdym razie nie słyszałem, żeby podzwaniały łańcuchami, w które zakuto je za grzechy.

Winter westchnął.

- Powiem ci coś, Dean. Jeżeli znajdziesz dowody niewinności Iana i Anny Cameronów, to możesz na mnie liczyć. Opublikuję je w gazecie niezależnie od tego, co zrobi potem rodzina Peavych. Ale będziesz mi musiał przedstawić coś więcej niż tylko swoje domysły czy doniesienia z zaświatów.

Anna spojrzała na Wintera bez cienia uśmiechu na twarzy.

- To wcale nie było śmieszne.

- Postaram się znaleźć coś bardziej namacalnego - obiecał Dean. - Uwierz mi, Mark, że ja też nie traktuję tego lekko. Nie chodzi mi o to, żeby narobić zamieszania czy skrzywdzić niewinnych ludzi. Chcę znać prawdę o miejscu, z którym związałem swoje życie.

- To całkiem zrozumiała motywacja.

Do saloniku weszła Mae. Zmienili temat. Kiedy Dean spojrział na fotel, był już pusty. Przez resztę wieczoru nie dawało mu spokoju pytanie, czy Anna docenia jego starania.

Rozdział 7

Wszystko, co widzimy i czego się domyślamy, to tylko sen we śnie.

Edgar Allan Poe

W ciągu następnego tygodnia Anna ani razu nie pojawiła się w zajeździe. Dean zastanawiał się, czy nie zasiedziała się za długo podczas wizyty Wintera. Może tak ją to wyczerpało, myślał, że aby wrócić, musiała przez dłuższy czas zbierać siły. Czasem przychodziło mu do głowy, że już nigdy jej nie zobaczy. Obawa przed ostatecznym rozstaniem spędzała mu sen z powiek.

W dzień było lepiej. Od rana zajmował się doglądaniem prac renowacyjnych i studiowaniem materiałów dostarczonych przez Marka. Ustalił chronologię wydarzeń w zajeździe po śmierci bliźniąt. Ich ojczym Gaylon prowadził zajazd do 1939 roku, w którym umarł. Potem „Cameron Inn” przeszedł w ręce jego syna Charlesa. Po jedenastu latach Charles sprzedał zajazd Jonasowi Harveyowi, który w ciągu czterech lat wpakował się w poważne tarapaty finansowe. W 1954 roku kupiła zajazd grupa artystów, którzy urządzili w nim sobie pracownię. Po pięciu latach ugrupowanie rozpadło się i budynek stał pusty do 1961 roku, kiedy jeden z artystów, powodo-

wany tęsknotą za latami młodości, ponownie w nim zamieszkał.

W 1974 roku artysta zmarł i dom przez dwa lata był pusty. Dwusetna rocznica powstania Stanów Zjednoczonych stała się okazją do powtórnego otwarcia zajazdu, którego właścicielem zostało tym razem jedno z towarzystw miłośników historii. W sezonie wyścigów konnych przyjeżdżało nawet sporo gości, ale przez resztę roku zajazd świecił pustkami i w końcu po raz kolejny go zamknięto.

Następni właściciele nie odnieśli nawet takich skromnych sukcesów. Przez ostatnie sześć lat, dopóki nie zainteresował się nim Dean, zajazd był kompletnie opuszczony.

Po ustaleniu chronologii przystąpił do lektury artykułów dotyczących tragicznej śmierci rodzeństwa Cameron. Tak jak mówił Mark, nie było w nich nic ciekawego. Wydarzenia z czternastego lutego 1921 roku nie wywarły większego wrażenia na ludziach im współczesnych. Uwagę czytelników przyciągały w tym czasie dramatyczne wypadki międzynarodowe i gwałtowna śmierć trojga domniemanych handlarzy alkoholem nie wzbudziła zainteresowania dziennikarzy.

Po lekturze materiałów otrzymanych od Wintera Dean zaczął rozmawiać z mieszkańcami Destiny. Każdy, kto tylko miał coś do powiedzenia, mógł liczyć na jego uwagę. Odkrył, że nie jest odosobniony w swoich podejrzaniach co do roli, jaką w tragicznych wydarzeniach odegrał Gaylon Peavy, lecz nikt nie naprowadził go na jakiś konkretny ślad. Wszystkie dociekania pozostawały w sferze spekulacji i domysłów. Ciągle nie miał od czego zacząć.

Jeśli nawet podczas śledztwa rozpatrywano jakieś inne scenariusze wydarzeń niż przedstawiony przez Tagerta, to nie pozostał po nich żaden ślad. Niektórzy z jego starszych rozmówców przyznali, że sierżant Tagert nie cieszył się w mia-

steczku dobrą opinią, lecz nikt nie podejrzewał, by mógł posunąć się do oszustwa.

Pewną pociechę stanowiło dla Deana to, że poznał wiele nowych szczegółów dotyczących historii zajazdu i jego mieszkańców.

Dni płynęły mu szybko, za to noce dłużyły się niemiłosiernie. Budził się co jakiś czas i rozglądał po pokoju, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawiła się Anna. I zawsze spotykało go rozczarowanie.

- Ale z ciebie idiota, Gates - mamrotał pod nosem w śródowe popołudnie, kiedy naprawiając pergolę, uświadomił sobie, że odczuwane przez niego zmęczenie bierze się przede wszystkim z chronicznego niewyspania.

- Znów do siebie mówisz, Dean? - zagadnęła go ciotka Mae.

Zaśmiał się pod nosem.

- Tak. Tym razem tak.

- Powinieneś tego unikać. Ludzie mogą sobie wyobrazić, że coś jest z tobą nie w porządku. Może nawet już tak myślą.

Przyjrzał się ciotce. Widać było, że zamartwia się o niego.

- Jestem po prostu zmęczony, Mae.

- Mam wrażenie, że to coś więcej.

Uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem.

- Wszystko w porządku, Mae. Naprawdę. A co tam słychać w zajazdzie?

- Stolarze robią trochę hałasu. Biedna Casey podskakuje, ilekroć ktoś głośniejsz stuknie młotkiem. Musi być bardzo wystraszona.

Dean zdążył już zauważyć, że dla ciotki Mae Casey stała się kolejnym przybrany dzieckiem, tak jak kiedyś on i Bailey. Za życzliwość i serce dziewczynka odpłacała starszej pani

bezbgranicznym uwielbieniem. Niemal na drugi dzień po przyjeździe, zachęcona przez Mae, zaczęła nazywać ją ciocią.

* W stosunku do niego zachowywała się inaczej. Była zawsze niezwykle grzeczna, ale choć starał się być dla niej jak najmiłszy, jego obecność wyraźnie ją onieśmielała. Chociaż ją zachęcał, nigdy nie zwracała się do niego po imieniu. Wobec własnej matki była tak uważna i troskliwa, że czasem nie było jasne, kto się kim właściwie opiekuje.

- A jak Cara? - spytał. - Ciągłe zajęta?

Ciotka westchnęła.

- Niestety. Nie jestem w stanie jej powstrzymać. Robi wszystko, co można by uznać za jej zadanie, i mnóstwo rzeczy, które wcale do niej nie należą. Ciągłe powtarza, że nie może być dla nas ciężarem, że musi zarabiać na swoje utrzymanie. Sam to zresztą słyszałeś.

- Nie opowiedziała ci nic o sobie?

- Nie. Zresztą nie należałam bo myślę, że nie było jej w życiu lekko i musi nabrać do nas więcej zaufania, żeby coś o tym powiedzieć.

- Mark już dwa razy dzwonił, żeby o nią spytać.

- Zupełnie go oczarowała wtedy wieczorem, ale wydaje się, że ona ma mężczyzn powyżej uszu.

- Mam nadzieję, że już nie pojawi się na tym progu żadna zbłąkana dusza, bo jak tak dalej pójdzie, to zajazd będzie pełen ludzi jeszcze na grubo przed otwarciem.

- Dodaj jeszcze bliźnięta Cameron.

Młotek wypadł mu z ręki, kiedy to usłyszał. Trafiony w palce u nogi, Dean podskoczył i zaklął.

- Bliźnięta Cameron?

Czy to możliwe, żeby Anna nawiązała teraz kontakt z kim innym? Więc jej już więcej nie zobaczy?

Mae wybuchnęła śmiechem.

- Nasze bliźnięta Cameron. Wracają w każdej rozmowie, jaką prowadzę w miasteczku. Wszyscy się o nie dopytują. To niby bujda, ale ludzie naprawdę się tym przejmują. Nie każde miasteczko ma własne duchy, żeby straszyć niegrzeczne dzieci.

Dean wolał nie myśleć, jak zareagowałyby na takie słowa Anna. Mimo woli rozejrzał się dookoła.

Nie było po niej śladu.

Westchnął i wrócił do pracy.

Zegar na nocnym stoliku wskazywał 2:51. Dean przebudził się właśnie ze snu, którego wolałby nie śnić. Teraz, po obudzeniu, nie chciał rozpamiętywać szczegółów. Wystarczyło mu, że pamiętał, co robił w tym śnie. .. I z kim.

W zajeździe panowała głucha cisza. Odruchowo spojrzął w kąt, w którym kiedyś pojawiła się Anna. Tym razem naprawdę stało tam tylko krzesło z zawieszoną na oparciu koszulą.

Był sam. Od bardzo dawna nie odczuwał swojej samotności równie dotkliwie.

Przewrócił się na drugi bok.

Od dawna sypiał sam. Gloria przeniosła się do oddzielnej sypialni na długo przed rozwodem. Nie było mu łatwo pozbić się po rozpadzie małżeństwa. Choć przestał wierzyć w romantyczną miłość od pierwszego wejrzenia do grobowej deski, nie nawiązywał przypadkowych znajomości. Nadmiar energii wolał skierować w budowanie od podstaw nowego życia.

Nie wierzył w romantyczną miłość? Chwilami nie był już tego pewny. Jeszcze parę tygodni temu nie uznawał duchów.

Zapalił lampkę. Wiedział, że szybko nie zaśnie. Sięgnął po leżącą na nocnym stoliku książkę, lecz jego dłoń natrafiła na fotografię w starej ramce.

Spod szkła patrzyła na niego z uśmiechem, który zdążył już tak dobrze poznać, Anna Cameron. Poczuł znajome ukłucie w sercu.

Dean pożyczył zdjęcie od ciotki Mae pod pretekstem, że przyda mu się do odtworzenia pewnych szczegółów elewacji. Było mu wstyd, że okłamał Mae. Poza pierwszym razem, kiedy jeszcze nie zorientował się, kim są stojący przed zajazdem ludzie, nigdy więcej nawet nie spojrzął na budynek. Jego uwagę przyciągała wyłącznie ona.

Anna.

- Niech to diabli wezmą. Co się z tobą dzieje? - mruknął i wpatrzył się w oczy kobiety na zdjęciu, jakby oczekiwał, że mu odpowie.

Jednak żaden dźwięk nie zakłócił ciszy nocy.

Kolejne dwa dni minęły bez odwiedzin Anny. Pojawiali się za to inni goście. Najpierw wpadł Mark Winter. Pretekstem były kopie jakichś dokumentów dotyczących historii zajazdu, ale prawdziwym powodem Cara McAlister. Potraktowała jednak Marka tak samo jak za pierwszym razem - uprzejmie, lecz chłodno.

Winter wkrótce się pożegnał. Dean nie zatrzymywał go, żeby nie przedłużać niezręcznej sytuacji. Miał tylko nadzieję, że kłopoty sercowe Marka nie wpłyną na ich przyjaźń. Następnego dnia odwiedził ich burmistrz z żoną, Wizyta była, jak oznajmił na wstępie, wyrazem życzliwości władz miasta dla energii i przedsiębiorczości Deana, stanowiącej wzór godny naśladowania dla innych mieszkańców Destiny. Po tym pompatycznym, jak zwykle, wstępie pani Vandover zasiadła z ciotką Mae przy herbacie i oddały się kobiecym pogaduszkom, a mężczyźni ruszyli na obchód zajazdu i reszty posiadłości.

- Świetnie wam idzie - ocenił burmistrz prace renowacyj-

ne, kiedy po obejrzeniu budynku wyszli do ogrodu. - Robota posuwa się szybciej, niż można by oczekiwać.

- Mieliśmy dotąd sporo szczęścia - zgodził się Dean. - Trafiliśmy na bardzo porządnych wykonawców, no i pogoda dopisała.

- Rzeczywiście, zima jest w tym roku wyjątkowo łagodna. Mówią za to, że latem będą straszne upały. Niech się pan na to zawczasu nastawi, Gates. Dla przybysza z północy to może być przykre zaskoczenie.

- W dzieciństwie jeździłem na wakacje do dziadków w okolicy Atlanty. Znam już tę gorącą i duszną pogodę, więc myślę, że dam sobie radę.

- Kiedy byłem mały i zajazd należał do mego dziadka, wszyscy w okolicy uważali ten ogród za najpiękniejsze miejsce w okolicy.

Wskazał dłonią na splątany gąszcz, pełen martwych gałęzi i uschniętych liści.

- Najbardziej chyba ludzie podziwiali te krzewy róż. Sądziła je druga żona mego dziadka, Amelia. Potem zajazd przechodził z rąk do rąk i zabrakło kogoś, kto by o nie zadbał, a szkoda.

- Mam zamiar zatrudnić na wiosnę architekta zieleni, żeby zajął się tym wszystkim. Nie wiem, czy uda się nam dorównać temu, co zrobiła pańska babka, ale będziemy się starali.

W trakcie rozmowy zaszli w głąb ogrodu. Burmistrz Vando-
ver wskazał w kierunku stojącej w oddali stróżówki.

- Lepiej będzie uprzątnąć tę ruinę przed otwarciem zajazdu. Może się zawalić jakiemuś ciekawskiemu dziecku na głowę i będzie pan miał kłopoty.

- Myślałem o tym - odparł Dean, z trudem zachowując cierpliwość. - Mam zamiar wyburzyć wszystkie te zrujnowane budynki gospodarcze, ale chyba zacznę właśnie od tego.

Vandover spojrział na niego spod oka.

- Słyszał pan już pewnie o tej słynnej strzelaninie, która miała tu miejsce?

- Tak.

- Są ludzie, którzy mówią, że należałoby zachować ten domek na pamiątkę, ale się z nimi nie zgadzam. Im prędzej zapomnimy o tej nieprzyjemnej historii, tym lepiej. Od siedemdziesięciu pięciu lat tylko niepotrzebnie przynosi wstyd naszej rodzinie.

- Naprawdę? - spytał niedbałym tonem Dean. - A dlaczego?

- No wie pan, mój dziadek był ojczymem bliźniąt. Choć nie łączyło nas z nimi oczywiście żadne pokrewieństwo, to jednak nieprzyjemna jest myśl, że miało się coś wspólnego z ludźmi tego pokroju. A rodzeństwo Cameron parało się handlem alkoholem. No i miało na sumieniu morderstwo.

- Na handlu alkoholem w tamtych czasach wyrosła niejedna szanowana dziś fortuna - odparł Dean obojętnym tonem. - Na handlu alkoholem i morderstwach, które udało się jakoś zatuszować.

Vandover spojrział na niego podejrzliwie i mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

- A co stało się z pieniędzmi?

- Jakimi pieniędzmi?

- Skoro Ian Cameron parał się tak zyskownym zajęciem, musiał pewnie zgromadzić sporo pieniędzy. Czy nikt nie znalazł zamurowanej w piwnicy albo zakopanej w ogrodzie skrzyni pełnej pieniędzy?

Vandover zmarszczył brwi z wyrazem niezadowolenia.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Myśli pan, że natrafi pan na nią, okopując róże?

- Nigdy nic nie wiadomo.

Burmistrz pokręcił głową.

- Na pańskim miejscu dałbym spokój takim rojeniom. Najlepiej byłoby, gdyby zapomniał pan w ogóle o bliźniętach Cameron, zmienił nazwę zajazdu i tchnął w to miejsce nowego ducha.

To ostatnie łatwiej powiedzieć niż zrobić, pomyślał Dean, gdy wracali do zajazdu. Nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek, kto napotkał ducha Anny Cameron, mógł o nim zapomnieć.

Czasem, gdy leżał nocą, nie mogąc zmrużyć oka, przychodziło mu do głowy, że to wszystko było tylko snem, że wyśnił Annę, ich spotkania i rozmowy. Bo czemu przestał ją widywać? Jeśli nauczyła się przychodzić do niego, to czemu nie wracała, by spytać, czy się czegoś dowiedział?

A może wracała, lecz z jakichś niepojętych dla niego powodów trzymała się poza zasięgiem jego wzroku? Czasem zaczynał myśleć, że naprawdę zwariuje od tych pytań. W dodatku pragnął kobiety, której nigdy nie powinien zapragnąć. To też było zupełnie szalone.

A jednak raz po raz zadawał sobie pytanie, co się z nią mogło stać.

Kolejnego dnia po południu wpadła do nich z wizytą Sharyn Burton, tym razem z ciastem bananowym. Z jej miny od razu można było wyczytać, że słyszała już o nowej pokojówce.

- Czy ty ją w ogóle znałeś wcześniej? - spytała sztucznie niedbałym tonem.

Dean pokręcił głową. Niecierpliwiał się.

- Nie.

Ktoś zadzwonił do Mae i zostali w saloniku sami. Dean źle znosił to ich sam na sam, wyczuwając, że Sharyn czeka na objawy zainteresowania z jego strony. Zastanawiał się nad

jakaś uprzejmą wymówką, która pozwoliłaby mu wrócić do swoich zajęć.

- Dean, co byś powiedział na wspólną kolację u mnie?

Zmieszał się. Nie zaskoczyła go, ale poczuł się niezręcznie.

- Dziękuję, Sharyn, ale obawiam się, że na razie to niemożliwe. Mam mnóstwo pracy i jestem potwornie zmęczony.

Sharyn nie ukrywała rozczarowania.

- Mam nadzieję, że moja propozycja nie wprawia cię w zakłopotanie.

- Ależ skąd. Ja tylko...

- Ciągłe jeszcze zdręczasz się swoim rozwodem?

- No właśnie - przytaknął z ulgą, czując dla niej wdzięczność, że sama podpowiedziała mu wymówkę. - To było tak niedawno.

Westchnęła.

- Ja też tak się na początku czułam. Niektórzy mówią, że najlepiej nie rozdrapywać starych ran, ale ludzie przecież różnie reagują na takie rzeczy.

- Tak... masz rację. Mnie to jeszcze za bardzo boli.

Dean czuł się obrzydliwym kłamcą, ale zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób może się uwolnić od Sharyn.

Uśmiechnęła się do niego, jakby chciała go pocieszyć.

- Pamiętaj, że gdyby poprawił ci się nastrój...

- Dzięki, Sharyn.

Wkrótce poszła. Zamknął za nią drzwi i odetchnął z ulgą. Sharyn ma pecha, pomyślał. Że też musiał spodobać jej się mężczyzna, który akurat nie pragnie towarzystwa ani bliskości żadnej kobiety. Ale zaraz uświadomił sobie, że prawdziwego pecha miał on sam. Pożądał kobiety, która być może nawet, jak mu się kiedyś przez krótką chwilę zdawało, odwzajemniała jego pragnienia, lecz nigdy nie będzie mogła ich spełnić.

Tego wieczoru nie śpieszył się do łóżka. Nie miał ochoty za wcześnie rozpoczynać kolejnej bezsennej nocy i liczyć godzin w oczekiwaniu na wizytę, która nie nastąpi.

Wszyscy rozeszli się do swoich sypialni. Dean zasiadł przed telewizorem i oglądał filmy sprzed lat. Coraz bardziej znudzony schematyczną fabułą, zgasił w końcu telewizor i poszedł do kuchni z nadzieją, że być może łatwiej zaśnie, jeśli napije się mleka.

W kuchni siedziała kobieta w białej sukni. Anna? Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, lecz złudzenie trwało tylko sekundę.

Głowę kobiety otaczały złociste loki.

- Caro! Co ty tu robisz o tej porze? - zagadnął, starając się ukryć rozczarowanie.

Odwrociła się gwałtownie i przycisnęła dłoń do piersi.

- O Boże! Ale mnie nastraszyłeś!

- Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że jesteś w kuchni. Czy coś stało?

- Wszystko w porządku. Nie mogłam zasnąć, więc chciałam wypić szklankę mleka.

Uśmiechnął się.

- To zabawne - wyjaśnił, widząc jej zaskoczoną minę.
- Przyszedłem tu w tym samym celu.

- Wobec tego naleję dwie szklanki.

- Dziękuję. - Podszedł do kredensu. - Nic tak nie pasuje do mleka jak kruche ciasteczka.

Cara uśmiechnęła się niepewnie.

- Może jedno.

Dean zaczerpnął z puszkii garść ciastek. Cara była stanowczo zbyt szczupła. Bez obaw mogła pozwolić sobie na tych parę kalorii.

Położył przed nią trzy ciastka i zajął miejsce po drugiej

stronie kuchennego stołu. Nie wiedział, co powiedzieć. Po raz pierwszy byli sami.

- Jak się u nas czuje Casey? - spytał w końcu, uznawszy, że rozmowa o jej córce będzie najszcześniejszym tematem.

- Bardzo dobrze. - Tak jak się spodziewał, Cara zrobiła pogodniejszą minę. - Przepada za twoją ciotką.

- Jak wszystkie dzieci. Ciocia Mae sama ma w sobie coś z dziecka.

- Po południu pomaga Casey przy odrabianiu lekcji. Kiedy się dowiedziałam, że była nauczycielką, wcale się nie zdziwiłam. To chyba po prostu do niej pasuje.

Dean wiedział, że ciotka Mae przejmuje się edukacją Casey, bo któregoś dnia sama mu o tym powiedziała. Robiła to tym chętniej, że dziewczynka uczyła się korespondencyjnie i miała pewne zaległości. Przy okazji zrozumieli, czemu mała jest taka nieśmiała. Prawdopodobnie przed przybyciem do Destiny nie miała żadnych kontaktów z rówieśnikami.

- Nie myślałaś o tym, żeby posłać Casey do szkoły w Destiny? To podobno dobra szkoła.

- Tak. Martwi mnie, że nie ma żadnych koleżanek. To dlatego, że przez ostatni rok przenosiłyśmy się z miejsca na miejsce. Wydawało mi się, że zamiast zmieniać jej szkoły, lepiej sama zajmę się jej nauką.

- Teraz masz już dom i pracę. Możecie tu zostać tak długo, jak tylko zechcecie. Jeśli oczywiście wszyscy nie zostaniemy bez domu, bo zajazd splajtuje.

Po raz pierwszy od rozmowy w ogrodzie popatrzyła mu prosto w oczy.

- Myślę, że nie - powiedziała cicho. - Coś mi mówi, że masz szczęście i udaje ci się wszystko, czego naprawdę chcesz.

- W każdym razie będę się starał.

Cara dokończyła mleko. Zjadła tylko dwa ciastka, trzecie przesunęła na jego stronę stołu.

- Pójdę już do łóżka. Może wybiorę się jutro do szkoły.

- Jeśli tylko będziesz chciała, to ciotka Mae na pewno bardzo chętnie pójdzie z tobą.

- Byłoby mi miło.

Podniosła się od stołu. Kiedy już stała w drzwiach, odwróciła się jeszcze do niego.

- Dean?

- Tak? - mruknął, gryząc ciastko.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Uśmiechnął się.

- Dobranoc, Caro.

Kiwnęła głową i wyszła. Dean jeszcze przez chwilę siedział przy stole. Zastanawiał się, co, czy raczej kto sprawił, że oczy Cary pełne były lęku. Budziły chęć, by się nią zaopiekować.

Nie było w tym nic romantycznego. Od lat żywił takie uczucia w stosunku do Bailey. Miał wrażenie, że i teraz, choć nie łączyły go z Cara żadne więzi rodzinne, jest dla niej po prostu starszym bratem.

Co nastęrczało znacznie mniej problemów niż romantyczna miłość.

Wziął jeszcze ciepły prysznic. Starał się sięgnąć po wszystkie możliwe sposoby, poza łykaniem pigułek nasennych, żeby spokojnie zasnąć.

Zapomniał piżamy, więc kiedy wyszedł spod prysznica, owinał się w pasie ręcznikiem. Gdy wrócił do pokoju, rozwiesił ręcznik na oparciu krzesła i wyjął z komody spodnie od piżamy.

Właśnie je wciągał, gdy coś chłodnego dotknęło jego pra-

wego biodra, tuż poniżej miejsca, w którym kończyły się ślady zeszłorocznej opalenizny.

- To znamię ma naprawdę niezwykły kształt - usłyszał melodyjny głos. - Można by je nawet nazwać znamieniem walentynkowym.

Pośpiesznie wciągnął spodnie od piżamy i odwrócił się. Przed sobą miał Annę Cameron, która w dodatku nie zdradzała najmniejszego zakłopotania jego strojem.

- Cześć, Dean.

Oparł się o komodę. Serce waliło mu jak młotem. Zrozumiał, że aż do tej chwili nie wiedział naprawdę, jak bardzo pragnął ją znowu zobaczyć. Uświadomił też sobie, jak bardzo się bał, że Anna nie wróci.

Dopiero teraz zaczął pojmować, w jaką kabałę się wpa-
kował.

Rozdział

8

Czymże jest życie, którego nie opromienia miłość?

Johann Christoph Friedrich von Schiller

- Kiedy my się właściwie ostatnio widzieliśmy? - Na widok jego wychudzonej twarzy Anna natychmiast spoważniała.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Przed dwoma tygodniami.

- Ach, tak.

- Czasem myślałem, że już nigdy nie wrócisz.

- Zmartwiłoby cię to?

Popatrzył jej w oczy. Wiedział, że nie powinien tego mówić. A jednak usłyszał swój głos.

- Tak.

Uśmiechnęła się smutno i spuściła wzrok.

- Byłam tam gdzie zwykle. W poczekalni. Próbowałam wrócić, ale nie udało mi się. Nie wiem czemu. Dopiero dzisiaj. Byłam tu już, ale tylko przez chwilę.

- Naprawdę?

Ciekawiło go, od jak dawna go obserwowała. Czy widziała go pod prysznicem?

- Widziałam cię z tą kobietą, od której kupiłeś zajazd.

Zapraszała cię do siebie. Za moich czasów kobiety nie były takie bezpośrednio.

- Nie? - Trudno mu było posądzać ją o nieśmiałość.

Roześmiała się miękko.

- No, może nie wszystkie. - Spojrzała mu w oczy. - Czemu jej odmówiłeś?

- Bo mnie nie interesuje.

- Ciągłe jeszcze kochasz swoją byłą żonę?

- Nie, to była tylko wymówka.

Odwrociła się od niego i podeszła do okna, jakby ogarnął ją niepokój.

- Teraz byłeś w kuchni z tą nową pokojówką.

- Ty też tam byłaś?

Odwrociła ku niemu głowę.

- Nie chciałam cię szpiegować - zapewniła go, jakby wy-
czuła, że na myśl o jej niewidzialnej obecności w kuchni zro-
biło mu się nieprzyjemnie. - Czekałam na moment, kiedy
będziesz sam, żeby móc z tobą porozmawiać. Ale wydałeś mi
się tak zajęty, że postanowiłam ci nie przeszkadzać.

- Taka tam pogawędka dwojga ludzi, którzy nie mogą
zasnąć - zbagatelizował i nagle uświadomił sobie, że się przed
nią tłumaczy.

To było zaskakujące odkrycie. W końcu to nie jej sprawa,
z kim i kiedy rozmawia. Nawet jeśli to właśnie ona była jedy-
ną kobietą, która go naprawdę interesowała.

- Ona wydaje się... bardzo miła.

- Cara rzeczywiście jest bardzo miła.

Znów do niego podeszła. Stała tak blisko, że gdyby wy-
ciągnął ręce, mógłby ją objąć.

- I ładna. A ty...

- Cara tu pracuje, Anno. To wszystko.

Westchnęła strapiona.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska. W końcu to ja cię namówiłam, żebyś przyjął ją do pracy.

- Dobrze zrobiłaś. Cara potrzebowała pomocy. I świetnie się spisuje. Jeżeli zostanie w zajeździe, będzie nam znacznie łatwiej.

Przesunęła palcami po jego policzku. Dean znał już to uczucie, przyjemne i jednocześnie trochę niesamowite.

- Nie powinnam cię wypytywać o kobiety. Wydajesz mi się bardzo samotny, Dean. To niedobrze, że nikogo nie masz.

- Ja... - urwał, żeby nie poznała po brzmieniu jego głosu, jak bardzo poruszyło go to dotknięcie. - Ja wcale nie jestem samotny - zapewnił ją. - Mam ciotkę i siostrę. Poznałem właśnie nowych przyjaciół. I ciebie.

Miał wrażenie, że przestała go słuchać. Jej dłonie zsunęły się po jego szyi na ramiona, a potem niżej, na piersi. Jakby ktoś gładził go zimnym i zarazem miękkim jedwabiem.

- Jesteś taki silny - szepnęła. - Masz piękne mięśnie i taką opaloną skórę. Nie jesteś taki miękki i blady jak...

- Jak twój narzeczony?

Na policzkach Anny pojawiło się coś na kształt rumieńca.

- Kochałaś go?

- Bardzo lubiłam.

- I to ci wystarczało?

- Tak. Zawsze bałam się wielkiej, namiętnej miłości, takiej jak miłość moich rodziców. Wydawało mi się, że może strawić człowieka do szpiku kości, że nie ma przed nią schronienia. Nie chciałam oddać się komuś aż do tego stopnia.

Poczuł to dziwne uczucie, które ogarnia nas, gdy w cudzych słowach odnajdujemy własne emocje i refleksje.

- Wiem, o co ci chodzi. Sam tak to czułem.

- Nie kochałeś swojej żony?

- Bardzo lubiłem - odpowiedział jej własnymi słowami.

Na twarz Anny powrócił smutny uśmiech.

- Ale to było za mało, prawda?

- Za mało.

Nie zdejmując dłoni z piersi Deana, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Czy myślisz, że będziesz kogoś kiedyś naprawdę kochał?

- Nie...

Przekrzywiła głowę i czekała, aż skończy.

- Nie wierzę w taką miłość - powiedział wreszcie jednym tchem, jakby chciał to już mieć za sobą.

- Tak jak nie wierzyłeś w duchy?

- Tak - przyznał niechętnie. - Ostatnio coraz częściej muszę odwoływać swoje opinie.

- Moja matka na pewno wierzyła w taką miłość. Opowiedziała nam kiedyś, że gdy się urodziliśmy, odmówiła nad nami walentynkowe zaklęcie. Chodziło o to, żebyśmy nie opuścili Ziemi, dopóki nie pokochamy najgłębszą miłością kogoś, kto odwzajemni nasze uczucia. Żebyśmy przeżyli to samo, co ona przeżyła przy naszym ojcu. Jak widać, jej życzenie się nie spełniło. Teraz już jest za późno. Musimy przywrócić dobre imię, a potem... Sama nie wiem, dokąd się potem udamy.

Oczy Anny pociemniały od smutku lub może żalu za czymś bezpowrotnie utraconym.

- Jesteś pewna, że tak właśnie będzie?

- Tylko takie wytłumaczenie naszej obecności tu, w zajeździe, ma jakiś sens.

- Mówiąc tak, sprawiasz, że mam coraz mniejszą ochotę wam pomagać.

- Dlaczego?

Bardzo powoli unióśł dłonie i położył je na zimnych jak marmur policzkach Anny.

- Jeżeli przywrócenie wam dobrego imienia ma znaczyć,

że więcej cię nie zobaczę, to wolałbym chyba, żebyście już do końca świata cieszyli się złą sławą.

- To dziwne, ale miło mi, że tak mówisz.

- Co gorsza to jest prawda. Zupełnie mną owładnęłaś, Anno. Nawet kiedy cię nie widzę, nie mogę się od ciebie uwolnić.

Nakryła jego dłonie swoimi. Przez długą chwilę stali bez ruchu. Dean powoli pochylił głowę. Jego usta zbliżyły się do ust Anny.

- Nie! - szepnęła. - Nie możemy...

- Wiem - odszepnął, ale przysunął wargi bliżej, tak blisko, że poczuł chłód bijący od jej warg. - Wiem, Anno, ale...

Nawet mu się nie wrywała. Po prostu nagle znalazła się w drugim końcu pokoju.

- Wiesz już coś? - spytała drżącym głosem.

- Nie. Jeszcze nie, ale przez cały czas szukam. Wypytywałem ludzi, czytałem w starych gazetach artykuły na wasz temat, naprawdę próbuję coś znaleźć. Tylko że poruszam się po omacku, bo tak naprawdę to nie wiem, co to ma być.

- Wierzę ci, Dean.

- Jutro będę rozmawiał z tutejszym komendantem policji. Jest wnukiem Charlesa Peavy'ego. No i mam nadzieję, że w końcu uda mi się porozmawiać z jego córką Margaret, choć nie sądzę, żeby zechciała mi pomóc.

- Cieszę się, że o tym myślisz. Chciałabym...

- Czego byś chciała?

- Chciałabym móc z tobą tam pójść.

- Ja też bym tego chciał.

- Teraz muszę już wracać.

W pierwszej chwili miał zamiar porwać ją w ramiona, tak jakby w ten sposób mógł zatrzymać ją przy sobie. Ale to

byłoby dla nich obojga jeszcze gorsze. Zaciśnął pięści w bezsilnej złości.

- Wrócisz?

- Tak.

Miał wrażenie, że Anna nie jest pewna tego, co mówi. Tego wieczoru wydała mu się bardziej smutna niż zwykle.

Zanim zadał jej pytanie, czemu tak jest, zniknęła.

Tej nocy nie zasnął aż do rana. Pragnienie, które czuł, było bardziej dolegliwe niż wszystko, czego doświadczył w życiu. Jak głód. I jak ból.

Czasem wracała do niego jeszcze gorzka myśl, że zachowuje się jak ostatni głupiec, marząc o niemożliwym i nierealnym.

- Jesteś dziś taka nieswoja. - Ian przerwał ciszę. - W ogóle się nie odzywasz. Co cię martwi?

Anna rzeczywiście nieustannie gryzła się myślą o tym, co wydarzyło się podczas ostatniego spotkania z Deanem. Chciał ją pocałować. I co gorsza, ona też tego chciała. Pragnęła go pocałować bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Może nawet bardziej niż poznać całą prawdę o swojej śmierci i opuścić wreszcie spowijającą ich głuchą, szarą mgłę.

Zapanowała nad sobą resztkami przytomności, w ostatniej chwili. Dean był żywy i ciepły, oddychał, jego serce biło równym rytmem. Miał przed sobą życie. Ona miała je za sobą. Nigdy nie poczuła tego tak wyraźnie jak tej nocy.

Może pomyliła się, sądząc, że pojawił się, by ich wyzwolić? Może miał spotęgować cierpienia, jakie spadły na nią za grzechy? Każdy przecież jakoś grzeszy w życiu, nawet jeśli o tym nie wie. Kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do wniosku, że egzystencja, jaką dotychczas wiedli z łanem, nie była wcale taka zła. Może trochę nudna... Ale dopiero teraz

poznała prawdziwe pragnienie życia i rozpacz śmierci. Czasem przypominał jej się Jeffrey. Nie mogła zrozumieć, że gotowa była wyjść za niego. Owszem, był miły i lubiła go. Ale odkąd spotkała Deana, wiedziała, że to za mało.

Czy nie to właśnie powtarzał zawsze jej brat?

Czemu pokochała naprawdę dopiero wtedy, gdy nie ma żadnych szans, by swoją miłość spełnić? Czemu mężczyznę, który nigdy nie będzie jej?

Może ta spóźniona lekcja była karą za grzech, jakim jest życie bez miłości?

- Anno? - odezwał się powtórnie Ian. - Anno, co mogę dla ciebie zrobić?

- Bądź ze mną. To wystarczy.

Jakie to szczęście, że ma choć jego. Samotne trwanie w tej bezgranicznej, milczącej, niepojętej szarości byłoby nie do zniesienia.

- Bardzo mi miło, że zechciała pani poświęcić mi swój czas, pani Vandover - zaczął Dean.

- To dla mnie przyjemność, panie Gates. Jak rozumiem, chce pan dowiedzieć się czegoś więcej o pierwotnym wyglądzie wnętrza zajazdu? Muszę się od razu przyznać, że słabo je pamiętam. Ojciec sprzedał zajazd, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Dean z trudem zapanował nad sobą. Nim Charles sprzedał zajazd w 1950 roku, Margaret zdążyła już urodzić własne dziecko, a jej syn, burmistrz Charles Peavy Vandover nie dalej jak przed kilku dniami wspominał przy nim róże, które widywał w dzieciństwie w ogrodzie dziadka! Ale spieranie się z Margaret Vandover nie miało sensu.

- Liczyłem na to, że pamięta pani jakieś szczegóły dotyczące ogrodu. Bardzo zdziaczał w ciągu ostatnich lat i trudno

będzie przywrócić mu dawny wygląd. Czy pamięta pani, jakie odmiany róż sadziła w nim pani babka?

- Żona mego dziadka, chciał pan chyba powiedzieć - uważała królewskim tonem. - Mój ojciec urodził się z pierwszego małżeństwa dziadka. Babcia zmarła, gdy mój ojciec był mały. W parę lat później dziadek ożenił się po raz drugi.

- No tak, oczywiście.

- Niezależnie od tego, moja matka bardzo kochała ogród różany. Spędzała w nim mnóstwo czasu. Pamiętam, że rosły tam róże damasceńskie i francuskie, róże kosmate i delikatne pnące róże rzadkiej odmiany zwane „antycznymi”. Sama posadziłam te ostatnie w naszym obecnym ogrodzie, choć znacznie trudniej je utrzymać niż te nowe odmiany, tak bardzo rozpowszechnione. Chętnie zrobię dla pana wykaz, ale będę musiała nad nim jeszcze trochę pomyśleć.

- Będzie mi bardzo miło. Dziękuję pani.

Margaret łaskawie skinęła głową.

- Czy chce pan wiedzieć coś jeszcze?

Na to właśnie czekał. Miał już za sobą rozmowę z komendantem policji. Dowiedział się tylko tyle, że w archiwum nie zachowały się akta z 1921 roku. Usłyszał także, że nikt nie kwestionował zeznań złożonych przez Stanleya Tagerta w sprawie wydarzeń tamtej lutowej nocy. Sugestię Deana, że jego pradziadek mógł mieć w nich jakiś udział, komendant Peavy stanowczo odrzucił. Poradził mu, żeby zostawił przeszłość w spokoju, i niewiele brakowało, by wręcz wyprosił Deana ze swego gabinetu. Choć spotkanie trudno było uznać za zachętę do dalszych rozmów z przedstawicielami rodziny Peavych, Dean postanowił spróbować szczęścia z Margaret.

- Sporo się nasłuchiwałem o duchach w zajeździe. Zdaje się, że całe miasto o nich mówi.

Margaret skrzywiła się z dezaprobatą.

- Znów te bzdury? Że też dorośli ludzie nie znajdą sobie ciekawszego tematu do rozmowy.

- Ta historia brzmi całkiem interesująco. Oczywiście, jeśli ktoś wierzy w takie rzeczy.

- Ja nie wierzę - oświadczyła oschłym tonem Margaret.

- Ja też nie - zapewnił Dean. - Trudno oczekiwać, żeby dorośli, rozsądnie myślący człowiek wierzył w istnienie duchów szukających po śmierci prawdy i sprawiedliwości.

- No właśnie. Choć muszę przyznać, że nie rozumiem, co ma wspólnego poszukiwanie prawdy i sprawiedliwości z bliźniętami Cameron.

Dean zrobił zaskoczona minę.

- Trafiłem w Destiny na ludzi, którzy mówili mi, że Ian i Anna Cameronowie byli niewinni, a zamordowano ich dlatego, że za dużo wiedzieli o cudzych przestępstwach. Teraz mają błąkać się po ziemi do czasu, aż prawda wyjdzie na jaw i spadnie z nich odium nie zasłużonej hańby.

- Co to za bzdury! Przecież wszyscy wiedzą, że było inaczej. Ktoś pana nabiera, panie Gates. Przybrane dzieci mego dziadka z pewnością były zbrodniarzami, co, niestety, po dziś dzień kładzie się cieniem na dobrym imieniu naszej rodziny.

- Pani dziadek miał sporo szczęścia, bo nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że bliźnięta zginęły w wyjątkowo dla niego szczęśliwym momencie. Jak rozumiem, cieszył się tak nieskazitelną opinią, że nikt w mieście nie wiązał jego osoby z tym tragicznym wydarzeniem?

- W szczęśliwym momencie? - powtórzyła Margaret.

- Gdyby Ian i Anna przeżyli tę noc, staliby się pełnoprawnymi właścicielami zajazdu - przypomniał jej Dean takim tonem, jakby się usprawiedliwiał. - Dziś taki zbieg okoliczności na pewno wzbudziłyby podejrzenia. Jak się domyślam, w tamtych czasach sprawy wyglądały inaczej.

- Ponad wszelką wątpliwość. Wtedy ludziom nie przyszłoby do głowy kwestionowanie zeznań cieszącego się powszechnym szacunkiem funkcjonariusza prawa czy rzucanie absurdalnych oskarżeń na wybitnego przedstawiciela własnej społeczności. Jeśli ktokolwiek wygadywał w pańskiej obecności, panie Gates, tego rodzaju oszczerstwa, to proszę mi powiedzieć, kto to był. Chętnie z tym kimś porozmawiam o rzekomych zbrodniach moich przodków.

- Proszę mi wybaczyć, pani Vandover. Nie słyszałem, by ktokolwiek mówił coś złego o pani przodkach. To raczej ja sam zbyt często czytam przed snem powieści sensacyjne. I potem zawsze szukam dziury w całym.

- Powinien pan znaleźć sobie bardziej budującą lekturę, panie Gates - oznajmiła Margaret oschłym tonem. - Osobiście radziłabym panu Pismo Święte.

- Zapamiętam sobie pani radę. Dziękuję.

Spojrzenie Margaret było jeszcze bardziej lodowate od jej głosu. Dean przestał się dziwić, że ludzie w miasteczku się jej boją. Było w niej coś tak złowieszczonego, że nawet on, choć nie miał żadnych racjonalnych podstaw do obaw, czuł się nieswojo.

- Mój ogrodnik sporządzi listę odmian róż dla pana. Mój sekretarz prześle ją panu pocztą - poinformowała go zwięźle.

Sugestia była czytelna. Dean podniósł się z fotela.

- Dziękuję pani za uprzejmość i herbatę, pani Vandover. Mam nadzieję, że uda mi się przywrócić zajazd i ogród do stanu, w jakim znajdowały się za życia pani ojca.

Nie wyglądała na udobruchaną.

Jadąc do domu, pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo będzie miał przeciw sobie cały klan Peavych. A tymczasem ani o krok nie zbliżył się do prawdy o wydarzeniach z czternastego lutego 1921 roku.

Będzie musiał powiedzieć Annie tylko tyle, że robił co mógł, by się czegoś dowiedzieć. Ale w końcu był tylko właścicielem zajazdu, a nie prywatnym detektywem. Więc czego, do diabła, mogła po nim oczekiwać?

Tuż za miastem zapłacił mandat. Przekroczył dozwoloną szybkość zaledwie o pięć mil na godzinę, co jeszcze nigdy, jak pamiętał, nie pociągnęło za sobą reakcji policji. Tym razem stało się inaczej.

Tęgi olbrzym w policyjnym mundurze dogonił go na motocyklu. Kiedy go wyprzedzał, pochylił głowę.

- Rwiesz jak szatan z piekła rodem, Gates - ryknął prosto w okno samochodu Deana. - Nie lubimy tu facetów, którzy myślą, że mogą szaleć po mieście i rozjeżdżać nasze dzieci.

Dean oniemiał. Skąd ten facet może wiedzieć, jak się nazywa? Przecież policja...

Ale wystarczyła chwila namysłu i wszystko stało się jasne. Komendant Peavy dał mu właśnie pierwszą lekcję, że powinien się trzymać z dala od rodziny Peavych. Nie zamierzał zaogniać sytuacji. Spokojnie przyjął mandat, pożegnał się i ruszył dalej.

- Na twoim miejscu, Gates, byłbym na przyszłość ostrożniejszy - rzucił za nim policjant.

Dean nie odpowiedział. Peavy mogą myśleć, że go nastraszyli, było mu to obojętne. W rzeczywistości lekcja, którą otrzymał przed chwilą, stała się tylko zachętą do tego, by dowiedzieć się prawdy.

- Moje gratulacje, Dean. Rób tak dalej, a staniesz się godnym następcą bliźniąt Cameron. Peavy już rozpuścili po miasteczku wieści, że polujesz na bawiące się przy drodze dzieci.

- Wiem, że za mną nie przepadają, Mark. Ale sam powiedz, dlaczego moja docieklivość tak łatwo doprowadziła ich do furii? Pytałem tylko, czy nie sądzą, że rodzeństwo Cameron mogło nie być winne zarzutów, jakie mu się stawiało.

- A przy okazji sugerowałeś, że winnym może być Gaylon Peavy lub może nawet sam święty Charles - przypomniał mu Winter. - To nie było rozsądne, Dean. Mówiłem ci, że dla Margaret honor rodziny jest rzeczą świętą. Ona gotowa byłaby całować ziemię, po której stapał jej ojciec. I zdaje mi się, że nikt dotąd nie odważył się zakwestionować przy niej nieskazitelnosci jego charakteru.

- Gdyby tak było, nie reagowałyby tak nerwowo na moje pytania.

- Rzeczywiście faktem jest, że w ciągu kwadransa zdołałeś doprowadzić ją do furii.

- Może rzeczywiście nie zachowałem się dyplomatycznie, ale przecież jestem właścicielem zajazdu, a nie dyplomata.

- Jaki będzie twój następny krok? Czy masz zamiar wybrać się na konferencję prasową senatora Peavy'ego i poprosić go, żeby złożył publiczne oświadczenie w sprawie domniemyanych ciemnych sprawek swych przodków?

Dean westchnął.

- Oczywiście, że nie. Choć chętnie bym z nim porozmawiał. Jeżeli gdziekolwiek zachowały się jakieś akta dotyczące nielegalnego handlu alkoholem, to pewnie mógłby ułatwić mi dostęp do nich.

- Uwierz mi, Dean. Senator Peavy jest ostatnim człowiekiem, który pomoże ci skompromitować swoją rodzinę w imię prawdy. No, może przedostatnim, bo ostatnim jest Margaret. Każdy skandal, nawet jeśli dotyczy wydarzeń sprzed siedemdziesięciu pięciu lat, może być zabójczy dla

polityka i Peavy dobrze o tym wie. A dlaczego właściwie jest to dla ciebie takie ważne?

Dean westchnął.

- Gdybym mógł, to naprawdę chętnie bym ci to wyjaśnił, Mark.

- Zdajesz sobie sprawę, że to dziwne, gdy ktoś nagle próbuje wrócić do wydarzeń sprzed tylu lat?

- Wiem.

- I nie masz niczego więcej do powiedzenia na ten temat?

- Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę ci niczego więcej powiedzieć.

- Ale dasz mi znać, jeśli się czegoś dowiesz?

- Tak, Mark. Będziesz pierwszym człowiekiem, któremu o tym powiem.

- Chyba dziękuję - zażartował na pożegnanie Winter.

Dean odłożył słuchawkę i rozejrzał się po pustym holu.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona - rzucił w powietrze, na wypadek gdyby była gdzieś przy nim Anna. - Za twoją sprawą moje akcje w tym mieście spadają na łeb na szyję. Ciekaw jestem, czym się to skończy.

Odwrócił się. W drzwiach jadalni stała Cara McAlister i dziwnie na niego patrzyła.

- Hm... mówiłem do siebie - wyjaśnił zakłopotany, unikając jej wzroku.

Natychmiast przytaknęła, ale minę miała niepewną.

- Chciałam spytać, czy zjesz na kolację sznycle wieprzowe.

- Bardzo chętnie. Przepraszam cię, ale muszę już iść do ogrodu.

- Zawołam cię, kiedy kolacja będzie gotowa.

- Dziękuję.

Idąc przez ogród, zastanawiał się, jaką minę będzie miała Anna, kiedy zobaczy pielęgniarzy prowadzących go w kafta-

nie bezpieczeństwa do karetki pogotowia. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie było to wcale nieprawdopodobne.

Anna obserwowała Deana, kiedy wychodził z holu. Patrzyła na niego już od dłuższego czasu, ale nie spróbowała się z nim skontaktować. Widać było po nim, że jest zmęczony. Wiedziała, ile ma pracy w zajeździe, a z jego rozmowy z Winterem mogła się zorientować, jak bardzo skomplikował sobie życie, aby jej pomóc. I nie chciał od niej niczego w zamian.

Czy można się dziwić, że go za to pokochała?

Pewnie żałował, że ją w ogóle spotkał. Któregoś dnia jej to w końcu powie. Co powinna wtedy zrobić? Wiedziała, że wtedy po prostu odejdzie, choć nie będzie to wcale łatwe. Ale nie miała prawa narażać go na kłopoty, na zmęczenie, na konflikt z otoczeniem, w którym chciał spędzić resztę życia.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że serce, które przestało bić, może jeszcze tak cierpieć.

Jej serce przesywał ból, ilekroć musiała od niego odejść. Wołała nie myśleć o tym, jak będzie się czuła w chwili ostatecznego rozstania.

Rozdział 9

Nie śmierć, lecz miłość.

Emily Dickinson

Przez następne dwa dni Dean zajmował się osobą Stanleya Tagerta. Wizerunek, jaki wyłaniał się z uzyskanych informacji, nie budził sympatii. Sierżant Tagert nie był lubiany i ludzie zarzucali mu nadużywanie władzy. Po jego śmierci tylko jedno z jego trojga dzieci pozostało w okolicach Destiny.

Dean odszukał wnuka Tagerta, który był właścicielem małego sklepiku w mieścinie położonej o niecałe dziesięć mil od Destiny. Przedstawił się jako nowy właściciel „Cameron Inn” i dodał, że interesuje go historia zajazdu.

- Jak słyszałem, pański dziadek był tym policjantem, który usiłował aresztować bliźnięta Cameron.

Arnold Tagert kiwnął łysiejącą głową.

- Tak. Babcia nam o tym opowiadała. Mówiła, że z dziadka był prawdziwy bohater, ale że zapłacił za to życiem.

- Co takiego miała na myśli?

Choć stali na zapleczu sklepu, z dala od nielicznych klientów, Arnold rozejrzał się dookoła, jakby się bał, że ktoś go usłyszy.

- Babcia nigdy nie wierzyła w tę historyjkę Peavych, że

strzelba sama wypaliła, bo dziadek ją upuścił. Jej zdaniem, to Gaylon Peavy go zastrzelił.

Dean nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Z zemsty. Chociaż Gaylon zeznał w sądzie, że bliźniaki Cameron strzelały pierwsze, to nigdy nie darował dziadkowi, że je zastrzelił.

Dean zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał.

- Ale przecież Gaylon nigdy nie żył z nimi za dobrze?

- Dobrze czy źle, tu, u nas, rodzina to rodzina - oznajmił sentencjonalnie Arnold. - Ludzie mówią, że Gaylon obiecał matce bliźniaków, że będzie się nimi opiekował, i nie mógł sobie darować, że pozwolił, żeby zeszyły na złą drogę.

- Trudno w to uwierzyć - mruknął Dean.

- Jak było, tak było. Tak czy siak, policja uwinęła się ze śledztwem w parę dni. Babcia nigdy potem nie gadała z żadnym Peavym. Powtarzała, że prawda jeszcze kiedyś wyjdzie na jaw.

Dean znów był w kropce.

- Czy zna pan kogoś, kto mógłby wiedzieć coś więcej o tym wszystkim? Kogoś, kto znałby Gaylona Peavy'ego?

Tagert podrapał się w głowę.

- Nikogo. Chyba że Bill Watson.

- Bill Watson? Nigdy o nim nie słyszałem.

- To był zawsze wielki samotnik. Z nikim nie gadał. Jego matka pracowała w zajeździe i Bill się tam wychował. Gdy podrósł, wyjechali do Hot Springs, ale później Bill wrócił do Destiny i pracował dla Peavych. Na końcu oddali go do domu starców. Nie wiem na pewno, ale może tam jeszcze żyje.

- Myśli pan, że mógłby pamiętać bliźniaki? I tę noc, kiedy zginęły?

Tagert kiwnął głową.

- Myślę, że tak. Chociaż po prawdzie, nigdy o tym nie mówił. Ale z nim to w ogóle była dziwna sprawa.

- Dlaczego?

- No, wie pan. Bill za bardzo się u nich nie narobił. Czasem trochę popracował, to w zajeździe, to w ogrodzie, ale niewiele, a tymczasem Peavy dawali mu pensję, a potem płacili za ten dom starców. Wie pan, oni są skąpi. Nie żałują pieniędzy tylko wtedy, kiedy wiedzą, że wszyscy będą gadać o tym, jacy to są szlachetni.

Dean pokiwał głową. Coraz bardziej intrygował go tajemniczy Bill Watson. Czy jako dziecko zobaczył coś, co mogło wywołać skandal? I czy klan Peavych do końca życia płacił mu za milczenie?

- Wie pan, gdzie znajduje się ten dom starców?

- Nie bardzo, ale pewnie gdzieś w Little Rock.

Dean pożegnał się z Tagertem i na odjeźdźnym zaproponował mu, żeby po otwarciu zajazdu wpadł kiedyś z żoną i zjadł kolację na koszt firmy. Jego rozmówca był zachwycony.

Zadzwoił do Wintera z telefonu komórkowego.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o Billu Watsonie? - spytał, gdy tylko Mark podniósł słuchawkę.

- Watson? Czy to nie był jakiś pomocnik u Peavych?

- Tak, to ten sam. Czemu mi o nim nie powiedziałaś?

- Zapomniałem. - przyznał się Winter.

- A szkoda. Czy wiesz o nim coś więcej?

- Niewiele. Ktoś wspomniał mi o nim, kiedy zbierałem materiały na temat śmierci młodych Cameronów. Ale Bill ma podobno taką sklerozę, że nie pamięta nawet, jak się nazywa, nie mówiąc już o bliźniętach Cameron. Pracował przez całe życie u Peavych, którzy w końcu oddali go do domu starców.

- Czy wiesz, gdzie to jest?

- Nie, nim zdążyłem się do tego zabrać, zaczęły się kłopoty, o których ci wspominałem. A potem po prostu o nim zapomniałem.

- Wobec tego pozostaje mi tylko dzwonić po kolei do wszystkich domów starców w tych stronach. Ktoś mi poradził, żebym zaczął od Little Rock.

- Myślisz, że to jest jakiś trop? A jeśli on naprawdę niczego nie pamięta?

- Uważam, że warto spróbować. Najwyżej stracę trochę czasu.

Dojeżdżając do zajazdu, zastanawiał się, kiedy ujrzy Annę, by zdać jej sprawę z postępów śledztwa. Z postępów śledztwa? No tak, to też. Ale tak naprawdę, chodziło mu o coś zupełnie innego. Po prostu nie mógł się jej doczekać i tyle.

- Wracasz z kolejnej tajemniczej wyprawy? - spytała z uśmiechem ciotka Mae, kiedy wszedł do środka.

- Chciałem poznać nowych sąsiadów.

Było mu głupio tak kłamać, ale wiedział, że Mae martwi się o niego, a przecież nie mógł powiedzieć jej prawdy. Gdyby usłyszała o Annie, dopiero byłaby przerażona stanem jego zdrowia.

- Szukałeś nowych przyjaciół czy nowych wrogów?

- Co masz na myśli?

- Słyszałam już o twoim zatargu z rodziną Peavych. Co się z tobą dzieje, Dean? Czemu wypytyujesz wszystkich wokół o śmierć bliźniaków Cameron?

- Sama mnie zachęcałaś, żebym poznał historię zajazdu. Obie z Bailey byłyście zdania, że powinienem być przygotowany na pytania dotyczące tutejszych duchów.

- Zgoda, Dean, ale wydaje mi się, że posuwasz się w swoich dociekaniach za daleko. Sprzedawczyni w supermarkecie powiedziała mi, że Margaret Vandover usłyszała od ciebie, że

jej dziadek zamordował bliźnięta. Margaret była wstrząśnięta i obrażona.

Obieg informacji w Destiny był zaskakująco sprawny. Deana zaciekawiło przede wszystkim to, że Margaret tak spokojnie rozpowszechniała jego podejrzenia. Czy przestało jej zależeć na dobrym imieniu rodziny? Czy może chciała uprzędzić jego możliwy atak?

- Dean? - Ciotka Mae podeszła bliżej i położyła mu dłoń na ramieniu. - Czy nie chciałbyś o tym ze mną porozmawiać? Czy nie mógłbyś mi wyjaśnić, co się z tobą dzieje? Jesteś niespokojny i roztargniony. Mówisz sam do siebie. Co cię dręczy, mój chłopcze? Czemu nie chcesz mi nic powiedzieć?

Poczuł się jak idiota. Objął ciotkę i mocno przytulił.

- Proszę cię, ciociu Mae, nie martw się o mnie. Wiesz, jak pochłania mnie wszystko, w co się zaangażuję. Kiedyś martwiłaś się, że za dużo pracuję, prawda? I nic się nie stało. Sama mówiłaś, że z zajazdem będzie tak samo. I miałas rację.

- Wiem, Dean. Wiem, że bardzo silnie angażujesz się w to, co robisz. I dlatego udaje ci się wszystko. Ale ta historia z duchami...

- To część historii zajazdu. I może najważniejsza. Kiedy ją poznam, z takim samym zapałem zajmę się czym innym. Może ogrodem? A może stworzę najlepszą restaurację w Arkansas?

- Mam nadzieję - odparła z powątpiewaniem w głosie.

- Dziś w każdym razie nie zamierzam się zajmować niczym prócz prac remontowych. Myślę, że pora już zacząć wyburzać te stare budynki w ogrodzie, bo jeszcze zawała się na kogoś.

- Nie chcesz tego chyba robić sam? Boję się, że w takim stanie ducha możesz zostać pierwszą ofiarą rozbiórki.

- Będę uważał. Pamiętasz zresztą, że od początku chcieliśmy jak najwięcej robić samodzielnie, żeby obniżyć koszty.

- Ale to nie znaczy, że kończą ci się pieniądze, Dean?
- Włożę w ten zajazd wszystko, co mam - przyznał. - Wystarczy na ukończenie remontu. A potem przez pierwszy rok będziemy się żywić ryżem i fasolą z puszek.
- Domyślam się, że przesadzasz. Na pewno wszystko dokładnie zaplanowałaś. Tylko martwi mnie, że nastawiasz przeciw sobie ludzi w okolicy. Spróbuj to zmienić.
- Postaram się, ciociu Mae - obiecał, choć wcale nie był pewny, czy mu się to uda.

Zaczął od niewielkiej szopy, w której przechowywano narzędzia ogrodnicze. Choć była w lepszym stanie niż stróżówka, to i tak nie było sensu jej remontować.

Cztery ściany nakrywał dwuspadowy dach. Przed wejściem stał ganek. Szyby w oknach i w małych okienkach na strychu od dawna już były powybijane. Dean zajrzał do środka. Strop, w połowie zawalony, ukazywał łaty w dachu, na których ułożono dachówki. W zachowanej części stropu znajdował się prostokątny otwór, do którego prowadziły strome schody. Ze ścian zwisały strzępy tapet, w kącie rozsypywał się piec. Prócz zardzewiałych narzędzi w szopie stały różne inne sprzęty, najwyraźniej od dawna nie używane. Część z nich musiała służyć do wykonywania w zajazdzie drobnych prac remontowych. Być może pamiętają jeszcze czasy, gdy gospodarzem zajazdu była matka Anny, pomyślał.

Zaczął od zdejmowania dachówek. Przez kilka godzin ani na chwilę nie przerywał pracy. Po plecach spływał mu pot. Kiedy skończył, poszedł do zajazdu, żeby napić się wody.

Ciotka Mae powiedziała mu, że był do niego telefon z firmy, która miała zająć się realizacją projektów wewnątrz, więc spędził jeszcze dobry kwadrans na ustalaniu kolejności prac wykończeniowych.

Potem wrócił do szopy. Rozejrzył się po wnętrzu. Nie umiałby powiedzieć, na czym to polegało, ale miał wrażenie, że zaszła tu jakaś zmiana. Przeniósł wzrok na podłogę w samą porę, by spostrzec włochatego, czarnego pająka, który wszedł mu na czubek buta. Tupnął nogą. Pająk spadł, popędził w popłochu przed siebie i zniknął pod stertą starych gazet. Deano wi przypomniła się siostra. Bailey nienawidziła pajaków i panicznie się ich bała. Uważała, że przynoszą pecha. Dean nigdy nie podzielał jej lęku, ale teraz nagle poczuł się nieswojo. Gdzieś na strychu zachichotała mysz. W panującej w starej szopie głuchej ciszy odgłos ten zabrzmiał nienaturalnie głośno. Takie przynajmniej Dean odniósł wrażenie. Nagle zmienił zamiar i postanowił wyjść na zewnątrz. Szopa może jeszcze zaczekać.

Usłyszał głośny trzask i ujrzał przed sobą Annę.

- Uciekaj!-krzyknęła przerażona.

Odruchowo odskoczył w bok, w stronę drzwi. W tym samym momencie coś ciężkiego runęło z hukiem na dół i spadło mu na ramię. Gdyby się nie usunął, uderzyłoby go prosto w głowę.

Kiedy minął szok wywołany potężnym uderzeniem, Dean stwierdził, że leży na podłodze przygnieciony czymś potwornie ciężkim.

- Dean, Dean, nic ci się nie stało? - wypytywała go roztrzęsionym głosem Anna. - Możesz się ruszyć?

Jęknął i spróbował się wysunąć spod przygniatającego go ciężaru. Poczuł rozdzierający ból, przeszywający mu ramię, kark i tył głowy.

- Nie mogę się spod tego wysunąć. To jest za ciężkie.

Głuchy ból w ramieniu łączył się z dziwnym odrętwieniem w pozostałej części ręki. Z najwyższym trudem poruszył palcami. Pod koszulą, po ramieniu i plecach, spływało mu coś lepkiego i ciepłego.

- Anno - wymamrotał z trudem - pomóż mi jakoś.
- Nie mogę - odparła, szlochając. - Próbowałam, ale nie potrafię tego chwycić.

Dean widział ją niewyraźnie, wzrok mu się mącił. Z najwyższym trudem formułował słowa.

- Czy możesz sprowadzić jakąś pomoc?
- Postaram się - obiecała. - Och, Dean, tak mi przykro. Opuścił głowę na podłogę.
- Sprowadź tu kogoś - poprosił resztką sił.

Zamknął oczy i przestał się bronić przed napierającą ze wsząd ciemnością.

Nie wiedział, jak długo trwało, nim znalazła się przy nim ciotka Mae.

- Dean! Wielki Boże, co tu się stało?! - Ciotka Mae klęczała przy nim i drżącymi rękami gładziła go po głowie. - Dean, czy możesz mówić?

- Nie mogę się podnieść - wymamrotał z wysiłkiem.

Mae poderwała się i podbiegła do drzwi.

- Caro! - krzyknęła. - Zadzwoń po pogotowie! A potem chodź tu szybko, musisz mi pomóc! Dean jest ranny!

Obecność ciotki przynosiła mu ulgę. Teraz łatwiej było mu walczyć o zachowanie przytomności.

- Co to jest? - spytał.

- Jakaś potwornie ciężka stara ława. Musiała być na strychu. No widzisz, jak nieostrożnie zabrałeś się do tej rozbiórki. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio ktoś tu wchodził. Cała ta rudera mogła ci się zawalić na głowę - biadoliła Mae.

Spróbowała odsunąć ławę, by móc go podnieść, ale bez skutku. Każde drgnienie przygniatającego go ciężaru wywoływało nową falę bólu.

- Tak mi przykro, kochanie. Może kiedy przyjdzie Cara,

damy sobie z nią radę we dwie. Boże kochany, Dean, ty krwawisz.

Zdawał sobie z tego sprawę. Miał tylko nadzieję, że krawędź ławy nie przecięła mu tętnicy.

Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby ława spadła mu na głowę. Gdyby nie Anna...

Uniósł głowę. Byli tylko we dwoje, on i ciotka Mae.

- Jak to się stało, że przyszałaś?

- Sama nie wiem. Po prostu nagle poczułam straszny lęk o ciebie. Całe szczęście, że go nie zlekceważyłam. Chwała Bogu, jest już Cara. Chodź tu, Caro, spróbujmy ściągnąć to z Deana.

Poczuł lęk, że nie zdołają uwolnić go od ciężaru, który coraz bardziej utrudniał mu oddychanie. Cara i ciotka Mae ujęły ławę z dwóch końców, dźwignęły ją jednocześnie i zrzuciły na ziemię.

Dean poczuł ulgę. Znow przestał się bronić przed ogarniającą go słabością. Zamknął oczy i na powrót pograżył się w ciemności.

Na szczęście nie miał żadnych złamań. Lekarz zaszył ranę, która biegła przez całe niemal przedramię, i umieścił owiniętą bandażem rękę na temblaku. Dean opuścił szpital w Destiny kuśtykając, wsparty na ramieniu ciotki Mae. To było kłopotliwe, ale biodro tak go bolało przy każdym kroku, że bez jej pomocy nie doszedłby do samochodu. Potem Cara i ciotka pomogły mu wsiąść.

Cara prowadziła, Casey siedziała obok matki, a Dean i Mae na tylnym siedzeniu.

- No widzisz - oświadczyła ciotka Mae, nie bez satysfakcji - sam słyszałeś, że to wygląda na cud. Może teraz wiesz kogoś, kto zna się na takich pracach.

- Z taką ręką nie mam innego wyjścia - przyznał.

Złożył głowę na oparciu siedzenia. Był okropnie osłabiony. Mimo środków przeciwbólowych czuł pulsujące gdzieś głęboko tętno bólu. Wolał nie myśleć o tym, co będzie się działo za kilka godzin, gdy działanie zastrzyków, które dostał w szpitalu, minie.

Ale nie tylko to go martwiło. Miał poważne podejrzenia, że jego wypadek wcale nie był wypadkiem. Kiedy zdejmował leżące na ułożonych wzdłuż dachu łątach dachówki, widział przez szpary, że strych jest pusty. Przypomniał sobie także, że gdy wrócił do szopy po przerwie, zauważył jakąś zmianę, choć nie mógł się zorientować, na czym polegała. Teraz wiedział, że z kąta szopy zniknęła oparta pionowo o ścianę ława, ta sama, która omal go nie zabiła. Nienaturalnie głośny chrobot na strychu nie był więc wcale sprawką myszy... Pozostawało tylko pytanie - czyją?

Po powrocie do domu Mae i Cara pomimo protestów Deana kazały mu iść prosto do łóżka. Kiedy jednak przyniosły mu obiad na tacy, odmówił. Nie mógł jeść. Wypił tylko filiżankę bulionu, oparł głowę na poduszce i zamknął oczy.

Ciotka wyszła z pokoju. Dean leżał, nie unosząc powiek, i czekał na Annę. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

Miał wyraziste, pełne niepokoju sny. Raz po raz wracały do niego wydarzenia sprzed kilku godzin. Pusta szopa, dziwne chrobotanie w głuchej ciszy, roztrzęsiony głos Anny, a wszystko to mieszało się z falami narastającego bólu. Czuł się uwięziony i bezradny, tak jak wtedy, gdy nie mógł wydostać się spod ławy.

Potem wróciła do niego we śnie Anna. Poczuł jej chłodne dłonie na policzkach. Czuł jej usta tuż przy swoich.

- Anno - szepnął do niej we śnie. - Anno.

- Dean - odszepnęła melodyjnym głosem, którego tak lubił słuchać.

Jej ręce przesuwały się po jego twarzy, szyi i ramionach. W pewnym momencie jego ramię przeszył ostry ból. Skrzywił się i jęknął.

- Leż spokojnie - mruknęła cicho. - Muszę zbadać, czy nic ci się nie stało.

- Nie mi nie jest - wymamrotał oszołomiony snem i lekami. - Tylko ramię mnie boli. To wszystko.

Pocałowała go tuż nad krawędzią bandaża. Potem w szyję. A jeszcze później w nagą pierś.

Każdy pocałunek przeszywał go dreszczem podniecenia.

Anna uniosła kołdrę. Jej wzrok, ręce i usta błędziły teraz po całym jego ciele. Każdy jej dotyk był dla Deana jak uzdrawiający zastrzyk.

- Pragnę cię, Anno - szepnął, nie panując nad ogarniającym go podnieceniem.

Bardzo lekko musnęła go dłonią poniżej pasa.

- Wiem - uśmiechnęła się lekko. - Tak bym chciała...

Chciał objąć ją i przytulić. Wyciągnął ręce i jęknął z bólu.

- Leż spokojnie. - Łagodnie odsunęła jego ręce i złożyła na prześcieradle. - Nie możesz nadwerężyć ręki.

Wstała. Dean nie wiedział, czy odwiedziła go we śnie, czy na jawie.

- Zostań - poprosił.

Nakryła jego usta czubkami palców.

- Nie mogę. Muszę już odejść.

- Nie... proszę cię.

- Śpij teraz - szepnęła. - Musisz się wyspać.

- Anno...

Znów coś musnęło jego wargi. Nie wiedział czemu, ale był przekonany, że go pocałowała.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zniknęła.

Z jękiem nakrył oczy zdrową ręką.

Wielki Boże, pomyślał, przecież ja ją kocham! Kocham ducha! Kto wie, może to właśnie taka miłość należała się komuś, kto nigdy nie wierzył w ich istnienie.

Rozdział

10

Los prawdziwej miłości nigdy nie jest prosty.

William Shakespeare

Następnego dnia po południu Dean siedział w saloniku na fotelu, pił herbatę i czytał gazetę. Nie było to wcale takie łatwe, bo i jedno, i drugie musiał trzymać w lewej ręce.

I tak zresztą nie mógł się skupić na lekturze. Jego uwagę zaprzętała wyłącznie Anna.

Czy naprawdę przyszła do niego ubiegłej nocy, czy tylko o niej śnił? Czy rzeczywiście go całowała, czy była to tylko halucynacja zrodzona ze snu i środków przeciwbólowych?

A przede wszystkim pytał samego siebie, czy naprawdę ją kocha, czy też padł ofiarą fascynacji i długiej samotności?

Podeszła do niego Casey z telefonem komórkowym w ręku.

- Telefon do pana, panie Gates - oznajmiła.

- Dziękuję, Casey.

Dziewczynka wyszła, a Dean podniósł aparat do ucha.

- Halo?

- Słyszałem, że stoczyłeś zaciętą walkę ze starą ławą i omal nie zostałeś pokonany przez nokaut.

- Można to tak nazwać - odpowiedział Dean z cierpkim uśmiechem. - Cześć, Mark.

- Atak na serio, powiedz, jak się czujesz? Od pewnej pani usłyszałem już nawet, że amputowali ci rękę. Ale Cara mówiła, że nie jest aż tak źle.

- Mówiła prawdę. Rozmawiałeś z Cara? Myślałem, że to Casey odebrała telefon.

- Bo rozmawialiśmy tylko przez chwilę. Powiedziała mi, że nie jesteś śmiertelnie ranny, i dała słuchawkę córce. Powiedz mi, tak przy okazji, co ta kobieta ma przeciwko mnie?

- Nie sądzę, żeby jej chodziło o ciebie osobiście. Myślę, że Cara ma w ogóle coś przeciw mężczyznom.

- Musi się po prostu przyzwyczaić do mnie i tyle - nie dał się zniechęcić Winter i by uniknąć repliki Deana, zmienił temat. - A co się właściwie stało? Bo wiem tylko, że spadła na ciebie jakaś ława i zraniła cię w rękę.

- Rozbierałem szopę na narzędzia i ze strychu rzeczywiście spadła stara ława, wielka i ciężka jak wszyscy diabli. Gdybym nie uskoczył w ostatniej chwili, mogłoby się to skończyć gorzej.

- A cóż na strychu szopy robiła stara ława?

- Sam chciałem wiedzieć. Zwłaszcza że pół godziny wcześniej stała jeszcze na dole.

Mark milczał przez dłuższą chwilę.

- Czy jesteś pewny tego, co mówisz? - zapytał w końcu.

- Całkowicie. Zacząłem od rozebrania dachu, przez kilka godzin miałem strych przed samym nosem i wiem, że był pusty.

- Ławę wciągnął na strych jakiś mężczyzna - odpowiedziała cicho Anna, która nagle pojawiła się obok Deana. - A potem zepchnął ją na ciebie.

- Kto to był? - spytał, poruszając samymi wargami, by Winter nie pomyślał, że zwariował pod wpływem wstrząsu.

- Nie znam go. Miał około trzydziestu lat. Nędznie ubra-

ny, długowłosey i brudny. Obserwował cię przez dłuższy czas, a kiedy poszedłeś do domu, zadał sobie wiele trudu, żeby wciągnąć ławę na górę. Potem czekał, aż wrócisz. No a kiedy... zepchnął ławę, zeskoczył ze strychu przez okienko. Nie wiem, co się z nim potem stało, bo myślałam tylko o tobie.

Poza jednym, krótkim momentem, mówiła bez chwili wahania, spokojnie i rzeczowo. Tylko oczy wyrażały emocje, jakie przeżywała, wracając myślami do opisywanej sceny.

- Dean? - W słuchawce rozległ się niespokojny głos Wintera. - Co...

- Jakiś facet - przerwał mu Dean. - To był zamach na moje życie, Mark.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Widziałem go i właśnie dlatego uskokczyłem.

- Przecież Cara powiedziała mi, że to był wypadek.

- Bo o niczym nie wiedziała. Jesteś pierwszym człowiekiem, któremu o tym mówię.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz, Dean? Trzeba było natychmiast wezwać policję. Komendant Peavy... Nie, to chyba niemożliwe...

Winter urwał. Dean dał mu czas na samodzielne wnioski.

- Tak, Mark. Zdaje się, że za wiele się dowiedziałem.

- Zaraz do ciebie przyjadę. Musimy o tym porozmawiać w cztery oczy.

- Czekam na ciebie. Opowiem ci wszystko, co wiem, choć jest tego niewiele. I w dalszym ciągu nie mam żadnych dowodów. Jeszcze nie.

- Będę za dwadzieścia minut.

Dean odłożył słuchawkę.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tym, co widziałaś - poprosił Annę. - Od początku do końca.

Powtórzyła mu to samo, co już słyszał.

- Wiedziałam, że on chce ci zrobić krzywdę. Chciałam cię ostrzec - zakończyła, wyłamując palce i nie patrząc mu w oczy. - Naprawdę chciałam. Ale... nie mogłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może byłam za bardzo zdenerwowana. Szczerze mówiąc, wpadłam w panikę - przyznała. - Och, Dean, tak niewiele brakowało, żeby cię zabił.

Głos jej się załamał. Dean z trudem podniósł się z fotela.

- Uratowałaś mi życie, Anno. Gdyby nie ty, dostałbym tą ławę prosto w głowę.

Patrzyła gdzieś w bok. Dean zastanawiał się, co Anna, czuje.

- Tak potwornie się o ciebie bałam - szepnęła. - Nic ci nie mogłam pomóc. A potem... moje dłonie przepływały przez tę ławę jak przez mgłę.

Wybuchnęła płaczem. Podeszedł do niej bliżej.

- Wszystko w porządku, Anno. Nic się nie stało. Ostrzegłaś mnie w porę i to jest najważniejsze. Nie wiem, jak mam ci za to dziękować.

- Nie dziękuj mi, Dean.

- Anno.

- Oboje wiemy, że ten napad miał miejsce tylko z naszego powodu.

- To możliwe - przyznał Dean. - Ale mogło być także inaczej.

- Chcę, żebyś dał temu spokój. I to natychmiast. Przestań wypytywać ludzi. Zajmij się... swoim życiem i raz na zawsze zapomnij o mnie.

Uniósł dłoń i pogłaskał ją po zimnym jak marmur policzku.

- Nie sądzisz chyba, że mógłbym to zrobić.

Nakryła jego dłoń własną.

- Nie masz wyboru. Nie chcę, żeby ci się coś stało, Dean. Nie mogłabym znieść myśli, że to moja wina.

- Nic mi się nie stanie.

- Już ci się stało - odparła i spojrzała wymownie na bandaż na jego ramieniu. - A następnym razem może być gorzej.

- Nie będzie żadnego następnego razu.

- Czemu tak myślisz?

- Będę ostrożny.

- Czy sądzisz, że my nie byliśmy ostrożni?

- Nie spodziewaliście się napaści - odparł. - A ja wiem, że może nastąpić. I następnym razem, jeśli oczywiście będzie jakiś następny raz, nie dam się podejść.

- Proszę cię, Dean.

- Nie ma o czym rozmawiać, Anno. Obiecałem przywrócić ci dobre imię i zrobię to.

Spojrzała na niego przez łzy.

- Więc tak ci zależy na tym, żeby się mnie pozbyć?

- Nie - odparł ochryplym nagle głosem. - Nie chcę się ciebie pozbyć. Chciałbym... chciałbym spędzić z tobą całe życie.

- Dean - szepnęła. - Wiesz, że to niemożliwe.

- Wiem. I co z tego?

- Nie chcę, żeby ci się coś stało - powtórzyła swoje wcześniejsze słowa.

- O mnie się nie martw. Pomyśl o tym pustym, szarym miejscu, którego oboje tak nienawidzicie. Pomyśl... pomyśl, że spotkasz wreszcie swą matkę.

Miał wrażenie, że Anna z trudem łapie oddech. Wolał się nie zastanawiać, jak to możliwe.

- Muszę już iść - powiedziała cicho.

- Wiem.

Wiedział, że jeszcze do niego wróci. Jeszcze choć parę razy. I tylko to się w tej chwili liczyło.

Spotkali się wzrokiem. Oczy Anny zdradziły, że myśli to samo co on.

W sekundę później był już sam.

Zaklął pod nosem.

- Dean? - W drzwiach pojawiła się ciotka Mae i patrzyła na niego pełnym miłości i troski spojrzeniem. - Boli cię, chłopcze?

- Tak - odpowiedział. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Muszę odnaleźć Billa Watsona - oznajmił spokojnym tonem Winterowi, kiedy już zrelacjonował mu wszystkie swoje podejrzenia co do okoliczności śmierci Iana i Anny oraz handlującego nielegalnie alkoholem Bucka Felchera. Potem opowiedział o rezultatach swojej wizyty u Arnolda Tagerta. Winter wysłuchał go uważnie, choć nie krył sceptycyzmu.

- To brzmi jak scenariusz kiepskiego filmu gangsterskiego - stwierdził, gdy Dean w końcu zamilkł.

- Zgoda. Ale życie też pisze takie scenariusze.

- I naprawdę myślisz, że Bill Watson zna jakieś fakty kompromitujące Peavych? I że zechce o nich mówić, jeśli jeszcze w ogóle cokolwiek pamięta?

- Uważam, że to bardzo prawdopodobne. Tylko to tłumaczy fakt, że przez całe życie go utrzymywali. Nie są filantropami.

- Wiesz, gdzie go znaleźć?

- Jeszcze nie. Ale się dowiem.

- Pojedziemy do niego razem - oświadczył Winter, a na widok zaskoczony miny Deana wskazał na bandaż. - Na razie nie możesz sam prowadzić samochodu. A poza tym znów może ci się coś przydarzyć, więc nie powinieneś być sam. Przyda ci się obrońca lub choćby świadek.

Dean pokrył wzruszenie uśmiechem.

- Dziękuję ci, Mark.

- Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy dasz sobie spokój, jeżeli Watson zaprzeczy twoim przypuszczeniom?

- A czy będę miał inne wyjście? - spytał, nie chcąc niczego deklarować. - Zdaje się, że tylko on może potwierdzić moje podejrzenia.

- A czy po rozmowie z Watsonem powiesz mi, po co w ogóle rozpętałeś tę całą aferę?

Dean potaknął skinieniem głowy.

Miał jeszcze czas, żeby coś wymyślić. Nie był pewien, czy ich przyjaźń zniósłaby tak ciężką próbę jak historia o duchach.

Dwa dni później, trzynastego lutego, jechali sportowym samochodem Wintera w kierunku Little Rock.

W ciągu tych dwóch dni Dean nie widział Anny. Podejrzał, że go unikała. Rozumiał ją, lecz nie było to dla niego żadną pociechą. Nie wiedział, jak zniesie jej odejście.

- Jesteś dziś wyjątkowo małomówny - zagadnął go Winter w pewnej chwili. - Boli cię ramię?

- Nie - odparł, odrywając wzrok od krajobrazu. - Zastanawiam się.

- Czy zdarzyło się ostatnio coś niepokojącego?

- Nie. Różni ludzie wpadali albo dzwonili, żeby spytać, jak się czuję. Ale jeśli ci chodzi o Peavych, to nie dali znaku życia. Jeżeli zamierzali mnie ostrzec, to uznali chyba, że osiągnęli cel.

Winter zmienił temat.

- Słyszałem, że Casey idzie w przyszłym tygodniu do szkoły.

- Cara ci mówiła?

- Nie. Spotkałem w kawiarni dyrektora szkoły. - Winter

westchnął. - Cara w ogóle się do mnie nie odzywa. Na mój widok odwraca się i idzie w przeciwną stronę.

- Daj jej trochę czasu, Mark.

Winter pokręcił głową.

- Możesz mnie wziąć za wariata, ale naprawdę nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się coś podobnego. Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, odebrało mi mowę. Od tej pory ani na chwilę nie przestałem o niej myśleć. Przeżyłeś kiedyś coś takiego?

Dean pomyślał o Annie.

- Uhm - mruknął. - Coś w tym rodzaju.

- Z twoją byłą żoną?

- Nie.

- To było później?

- Tak.

- I co? Wyszło coś z tego?

Dean parsknął ironicznie.

- Za bardzo się od siebie różnimy. To nie do przeskoczenia

- Nie chcę cię wypytywać o sprawy osobiste. Myślałem tylko, że będziesz mógł mi coś poradzić. Chodzi mi o to, że nigdy nie byłem zakochany. Tak się jakoś złożyło, a teraz nawet nie wiem, czy to... - Winter urwał i lekko się zaczerwienił. - Cholera, gadam jakbym miał szesnaście lat.

- Mówisz to, co mówi każdy zakochany mężczyzna. I uwierz mi, wiem, co czujesz.

Nawet jeśli Cara wydaje się Markowi nie do zdobycia, to przynajmniej jest żywa, pomyślał Dean z ironią. Nie poprawiło mu to jednak nastroju.

Bill Watson był dobrze po osiemdziesiątce i od trzech lat nie wstawał z łóżka. A jednak, jak się dowiedzieli na miejscu, zachował pełną jasność umysłu i cięty język.

- Kolejna informacja Peavych okazuje się kłamstwem - stwierdził Mark. - Niech to diabli, wszystko wskazuje na to, że oni rzeczywiście coś kręcą.

Dean tak długo dzwonił do kolejnych domów starców w środkowym Arkansas, aż wreszcie odnalazł Watsona. Przesłał na jego nazwisko faks, w którym napisał, że wraz z przyjacielem zbierają materiały dotyczące historii „Cameron Inn” i chcieliby na ten temat porozmawiać. Watson natychmiast wyraził zgodę, zażądał tylko, aby przyjechali do niego jak najszybciej.

- W jakim on jest stanie? - spytał Dean pielęgniarza, gdy stanęli przed drzwiami pokoju Watsona.

- Podobno ma przed sobą jakieś półtora miesiąca życia, może dwa - usłyszeli w odpowiedzi. - Ale prawdę mówiąc, słyszę to już od lat. Sam jestem ciekaw, jak długo jeszcze pociągnie ten stary zrzęda.

Watson leżał na wznak z głową wspartą na poduszce. Był tak wychudzony, że pod kołdrą trudno było dostrzec zarys ciała.

- To który z was kupił zajazd? - spytał na ich widok.

Dean usiadł na metalowym szpitalnym stołku.

- Ja. Nazywam się Dean Gates.

- Widziałeś duchy, synu?

- Ja...

- Bo ja tak. To było dwadzieścia lat temu w dniu świętego Walentego. Myślałem, że na miejscu dostanę zawału. Od tej pory już do niczego się nie nadawałem. Oddali mnie tu przed upływem roku.

Dean pochylił się nad starcem.

- Pan... pan je naprawdę widział? Oboje?

Zastanawiał się, czemu Anna nic mu o tym nie wspomniała Watson skinął głową.

- Sam nie wiem, czemu wyszedłem wtedy z zajazdu. Coś mnie ciągnęło do ogrodu. To było w nocy. Mniej więcej o tej samej porze, kiedy zginęły bliźniaki. Zaszedłem aż do stróżówki. Stały tam jak żywe.

Mark odchrząknął i spojrzał na Deana z miną, z której jasno wynikało, że informację o trzeźwym umyśle Watsona uważa za przesadnie optymistyczną.

Dean jednak wiedział swoje.

- Mówiły coś? - spytał, nie zwracając uwagi na zdumiony wzrok Marka.

- Nie miały okazji. Nigdy w życiu nie rwałem przed siebie tak jak wtedy. - Watson uśmiechnął się bezzębnymi ustami, ale ten uśmiech zaraz zniknął. - Nieważne. I tak wiedziałem, co miałyby mi do powiedzenia, gdyby mnie poznały.

- Co takiego?

Starzec popatrzył na niego nieobecny spojrzeniem.

- Żebym powiedział prawdę.

- Prawdę? - powtórzył Dean, czując, że serce wali mu jak młotem.

- Ty jesteś z gazety, synu? - Watson patrzył teraz na Marka.

- Tak.

- Masz ze sobą notes?

Winter skinął głową i sięgnął do kieszeni.

- Nigdzie się bez niego nie ruszam.

- To weź pióro. I pisz szybko. Pierwszy raz w życiu opowiem o wszystkim i nie chcę potem słyszeć za wielu pytań.

Mark spojrzał na Deana i wyjął z kieszeni długopis.

- Gd sześćdziesięciu lat szantażowałem Peavych. Przez cały ten czas traktowali mnie jak śmiecia. Tak jak Gaylon, pierwszy z tej rodziny, traktował mego ojca. Nie obchodziło mnie to, dopóki mi płacili. Teraz i tak jest mi wszystko jedno. Zostało mi niewiele czasu i chcę uregulować wszystkie długi.

Dean wolał nie ryzykować, że rozdrażni starca pytaniami. Kiwał potakująco głową i czekał w napięciu na jego słowa.

- Mama zaczęła pracować u Gaylona i Amelii Peavych, kiedy bliźniaki były jeszcze małymi berbeciami. Ja sam urodziłem się w kilkanaście lat później. Ojciec nas zostawił i mama musiała pracować na nas oboje, ale pani Amelia obiecała, że zawsze będziemy mogli mieszkać w zajazdzie. - Watson pograżył się we wspomnieniach. - To była prawdziwa dama. Tak mówiła mama, bo ja sam jej nie pamiętam.

- A bliźniaki? Pamięta je pan?

- Jasne. Mama nie przepadała za Gaylonem, ale bliźniaki traktowała jak własne dzieci, zwłaszcza po śmierci ich matki, Ian obiecał jej, że kiedy już przejmie zajazd z rąk Gaylona, to zawsze będzie dla niej miejsce w domu. Tak jak kiedyś jego matka, Ian był porywczy jak diabli, ale nie złamałby słowa. A mamę zawsze traktował z szacunkiem. Naprawdę umiał ją uszanować.

- A Anna? - nie mógł się powstrzymać Dean. - Jaka ona była?

Watson zrobił zdziwioną minę.

- Tak bardzo cię ona interesuje, synu? Była miła dla każdego. Wyrosła na piękną dziewczynę. Kochały się w niej wszystkie chłopaki w mieście. Ale bali się Iana, bo strzegł jej jak oka w głowie. Nigdy się z nią nie rozstawał, Ian nie był taki jak inne chłopaki. Był bardzo poważny i w głowie miał tylko zajazd i siostrę. Chciał nawet stworzyć całą sieć zajazdów.

- I po to były mu potrzebne pieniądze zarobione na handlu alkoholem? - spytał Mark.

Watson prychnął z niechęcią.

- Ian w życiu ani by nie kupił, ani by nie sprzedał jednej butelki wódki. Był z niego raptus, ale uczciwy.

- Miał pan dziesięć lat, gdy zginął. Skąd pan wie, jaki był?
- Mama go znała. Wiedziałyby, gdyby coś przeszkrobał.

A zresztą wiem, jak skończył. Wiem, że to nie było tak, jak mówił Tagert.

- Był pan świadkiem morderstwa? Wie pan, kto ich zabił? Dean nie umiał powstrzymać niecierpliwości.

- A jakże. Od początku wiedziałem.

- Czemu nikomu pan o tym nie powiedział?

- Bo straszył, że mnie zabije. Mnie i mamę. Miałem wtedy dziesięć lat, synu. Dzieciaka łatwo nastraszyć. Potem wylali mamę z pracy i wyjechaliśmy do Hot Springs. Ciężko nam było. Kiedy miałem piętnaście lat, poszedłem do pracy, żeby mamie było łatwiej.

- Kto to był? - zapytał Dean, kiedy starzec umilkł i pograżył się w myślach. - Gaylon Peavy?

- Nie Gaylon, tylko Charles. Charles handlował wódką. W nosie miał zajazd. Chciał w życiu tylko pieniędzy. Mieli spółkę - Charles, Buck Felcher i Stanley Tagert. Nieźle im szło. Ludzie bali się Tagerta.

- Jest pan pewny? - Mark wyglądał na zaskoczonego.

- A jakże, synu. Jasne, że jestem pewny. Od sześćdziesięciu lat mi za to płacą. Jak myślisz, płaciliby, gdyby tak nie było?

- Co się stało wtedy w nocy? - Dean bał się, że Mark w końcu rozżłości starca.

Watson spojrział na niego z wyraźną życzliwością, ale przedtem zgromił Wintera spojrzeniem.

- Byłem wtedy w ogrodzie. Łapałem jakieś robaki, jak to chłopak. W zajazdzie odbywało się przyjęcie. Urodziny bliźniaków. Mama cały dzień gotowała. Cieszyła się, że wreszcie zajazd będzie należał do nich. Byłem daleko od domu, koło stróżówki. Usłyszałem jakieś głosy i zakradłem się, żeby zobaczyć, co się dzieje. A tam naradzali się Charles, Felcher

i Tagert. Tagert radził, żeby sobie dać spokój, bo policja za nimi węszy. Mówił, że nie trzeba było zabijać tamtego oficera. Potem usłyszeli, że ktoś idzie w ich stronę. Na ścieżce od zajazdu zobaczyłem Iana i Annę. Nie wiedziałem, co zrobić. Chciałem ich ostrzec, ale bałem się ruszyć z krzaków. A potem to już była jedna chwila. Anna powiedziała coś do Tagerta, nie pamiętam co. I wtedy Charles z zimną krwią zastrzelił Iana.

Deana przeszedł dreszcz, kiedy wyobraził sobie tę scenę. Watson westchnął głęboko.

- Tagert zaczął wrzeszczeć na Charlesa, ale on strzelił do Anny, zanim ktokolwiek zdążył coś zrobić. Ja ze strachu nie mogłem się nawet ruszyć i uciec z tych krzaków. Potem Charles wygarnął do Bucka. Nie wiem nawet czemu. Może nie chciał mieć świadka, a może wolał się nie dzielić pieńędzmi.

- To... to niewiarygodne - odezwał się znad swego notesu Winter.

- To święta prawda. Każde słowo - odparł Watson.

- Podejrzewałem, że tak właśnie było - wtrącił się Dean.

- Wierzę w każde pana słowo, Bill.

Starzec skinął głową.

- Siedziałem jak trusia, bo się bałem, że mnie też zastrzeli. Zanim nadbiegli ludzie z zajazdu, Charles pouczył Tagerta, co ma mówić. Tagert był śmiertelnie przerażony, ale Charles powtarzał mu, że nie mają wyboru. Jak będą trzymać się razem, to nikt im nic nie robi. Policja będzie zadowolona, że znalazła morderców tego oficera, co go wcześniej zabili, a oni dadzą już sobie spokój z handlem wódką, żeby nie kusić licha. I schował się w krzaki, a potem, kiedy już było pełno ludzi, to i on się pojawił.

- Chce pan powiedzieć, że Charles zabił bliźnięta, żeby

móc je oskarżyć o morderstwo policjanta, a nie po to, żeby przejąć zajazd?

- Charles zawsze miał zajazd w nosie, ale nie chciał trafić za kratki. Wiedział, że wszyscy uwierzą w zeznania Tagerta. Poza tym bliźniaki przyłapały go na konszachtach z Buckiem i Tagerem. Ian był bystry i szybko wywachałyby ich sprawki. Policjanci w Destiny nie lubili Iana. Nie żeby zrobił coś złego. Po prostu był zbyt ostry i zasadniczy. A w dodatku Charles dał im pewnie w łapę. Komendant policji przeszedł zresztą w rok później na emeryturę, kiedy Charles zastrzelił Tagerta na polowaniu. Też twierdzili, że to był wypadek.

- A skąd Charles wiedział, że pan to wszystko widział?

- Pysnął w te same krzaki, w których siedziałem. Nie mógł mnie już zastrzelić, bo zbiegli się ludzie. Złapał mnie za gardło i kazał być cicho. Następnego dnia dopadł mnie jeszcze raz i pokazał nóż. Powiedział, że jak pisnę komuś choć słówko, to zabije i mnie, i mamę.

- Sukinsyn - mruknął Mark. - Grozić dziecku, że zabije mu matkę.

- Zrobiłem, jak chciałem. Nie pisałem słowa, nawet gdy jego ojciec wylał mamę z roboty.

- A kiedy zaczął pan szantażować Peavych? - Mark nie umiał ukryć dezaprobaty.

Watson roześmiał się śmiechem pełnym złości.

- Miałem dwadzieścia pięć lat. Mama zapracowywała się na śmierć, bo chciała, żebym chodził do szkoły. A ja przestałem chodzić do szkoły, żeby jej pomóc. Tylko że już było za późno. Charles Peavy był bogaczem i wszyscy mówili, że mądrze inwestował pieniądze. Pewnie, że mądrze. Pomyślałem sobie, że nie ma na świecie sprawiedliwości. Poszedłem do niego i przypomniałem, co jest mi winny. Obiecał, że do końca życia nie będę musiał palcem kiwnąć.

- Jak pan mógł pozwolić, żeby uszły mu na sucho te wszystkie morderstwa?

- Najpierw się bałem, a potem było mi już wszystko jedno. Poznałem życie. A zresztą, kto by mi uwierzył. Ale na wszelki wypadek postraszyłem go, że spisałem wszystko i zostawiłem ten opis u przyjaciela, żeby rozesłał go po gazetach, gdyby mi się coś stało. No i Charles nie był już taki chojrak jak za młodu. Wolał mi płacić niż próbować mnie zabić. Od tej pory byłem na utrzymaniu Peavych.

- Więc oni wszyscy wiedzieli, że Charles jest mordercą?

- spytał Winter z niedowierzaniem.

- Co to, to nie. Charles nagadał im bzdur, że mu wyświadczyłem przysługę, co zresztą było prawdą, i że honor rodziny każe się o mnie troszczyć. Tak im namącił tym gadaniem, że nigdy nie próbowali mnie spławić. Zresztą nie kosztował ich ten honor tak wiele. Jedyna osoba, która o wszystkim wiedziała, to jego córka Margaret.

- Margaret? - powtórzył Winter.

- Sam jej to powiedziałem - odparł Watson z dumą w głosie. - Pewnego dnia oznajmiła mi, że dosyć ma mojego nieróbstwa, no to jej wygarnąłem, jaki to ptaszek jest z jej tatusia. Od tej pory nie dała na mnie złego słowa powiedzieć. Za bardzo lubiła grać wielką damę. Nienawidzi mnie, ale płaci.

- I dopiero teraz pan chce, żeby wszyscy poznali prawdę?

- spytał Dean.

Watson zaśmiał się chrapliwie.

- A jakże. I chcę, synu, żebyś wydrukował wszystko, co powiedziałem. Słowo w słowo. Niech wszyscy wiedzą, skąd wzięły się pieniądze Peavych.

- Nie wiem, czy będę to mógł opublikować - przyznał ze strapioną miną Mark. - Brak nam dowodów, że to prawda.

- Masz mnie za idiotę, chłopcze? - Watson spojrzął na

niego z wyższością. - Weź tę Biblię ze stolika. Pod okładkę wkleiłem list Charlesa z jego podpisem. To można sprawdzić.

- Jak pan go zmusił, żeby napisał ten list?

Uśmiech, którym obdarzył ich Watson, trudno byłoby nazwać przyjemnym.

- Stałem nad nim z nożem. Jak on nade mną, kiedy byłem dzieckiem. Powiedziałem, że zabiję i jego, i jego synka Gaylona. Uwierzył mi. Jak widzicie nie zmarnowałem nauki, jakiej udzielił mi najbardziej szanowany człowiek w mieście.

Dean sięgnął po Biblię drżącymi rękami. Był wstrząśnięty.

- Masz z nimi na pieńku, co? - zagadnął go Watson. - Od tej pory będziesz miał spokój, synu. Możesz być tego pewny.

Dean nie wątpił, że stary ma rację. Będzie miał spokój. Ale nie to było najważniejsze. Znacznie ważniejsze była dla niego myśl, że przywróci dobre imię Iana i Anny.

- Idźcie już - zażądał Watson. - Jestem zmęczony. Wszystko, co jeszcze można by dodać, znajdziecie w liście. Weźcie go ze sobą. I Biblię też. I tak niewiele miałem z niej pożytku.

Dean i Mark spojrzeli po sobie bez słowa. Żaden z nich rzeczywiście nie miał już nic do dodania.

Rozdział

11

Tych, których miłość sięga poza ten świat, świat nie może rozłączyć.

William Penn

Drogę powrotną Dean spędził zatopiony w myślach. Na kolanach trzymał Biblię, która skrywała w sobie dowód niewinności Iana i Anny. Zadowolenie z rozwikłania tajemnicy sprzed lat mąciła jednak myśl o nieuchronnym rozstaniu z Anną.

Mark milczał zajęty rozpamiętywaniem okrutnej i gorzkiej historii, którą dopiero co usłyszeli. Odezwał się, dopiero gdy dojechali do Destiny.

- Widziałeś je, prawda? Mam na myśli duchy.
- Czemu pytasz?
- Czy nie możesz mi po prostu odpowiedzieć?

Dean wzruszył ramionami.

- Jeżeli obiecasz, że nikomu nie powiesz. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, czemu zaangażowałem się w tę sprawę. Poza tym dla mnie to jeszcze nie koniec.

-. To była Anna - domyślił się Mark, pozostawiając bez komentarza zastrzeżenie Deana.

- Tak - przyznał Dean.

- Niech to cholera! - Mark był wyraźnie poruszony. - Co tu się, do diabła, dzieje?

- Sam nie wiem.

Patrzył w okno, lecz gdyby go spytano, co widzi, nie umiałby odpowiedzieć. Myślami był przy Annie. Zastanawiał się, czemu wszystko potoczyło się właśnie tak. Dlaczego akurat na niego padł wybór? Właśnie on musiał pokochać kobietę, która nigdy nie będzie jego! I dlaczego tak bardzo obchodzi go ich rozstanie?

Mark zatrzymał się przed zajazdem, ale nie ruszył się zza kierownicy.

- Pojadę do domu, zrobię sobie drinka albo i dwa, a potem spokojnie się nad wszystkim zastanowię.

Dean nie zatrzymywał przyjaciela. Sam miał przed sobą ciężkie chwile i nawet myśl o radości Anny nie przynosiła mu ulgi.

- Wydrukujesz to?

- Gdy tylko opracuję materiał.

- Zostawię ci Biblię. List na pewno ci się przyda. Chyba trzeba będzie zacząć od zrobienia kopii i ekspertyzy grafologicznej. Ja zadzwonię dziś wieczorem do Margaret Vandover.

- Znam się na swojej robocie.

Dean wiedział, że za pozornie opryskliwą odpowiedzią Marka kryje się zmęczenie i przewidywanie kłopotów, które z pewnością ich nie ominą.

- Wiem. Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Będę cię informował na bieżąco o każdym kroku.

- Dzięki. I bądź ostrożny.

- To raczej ja powinienem był to powiedzieć.

Obaj wiedzieli, że czeka ich walka. Ostrzeżenie, jakiego udzieliła Deanowi Margaret, nie pozostawiało wątpliwości, że

będą mieli do czynienia z przeciwnikiem gotowym na wszystko.

Ale na razie najważniejsze było spotkanie z Anną.

Mae czekała na niego w świeżo odnowionym holu za kon- tuarem recepcyjnym, jakby spodziewała się gości.

- Więc wracasz z kolejnej tajemniczej wyprawy. Cieszę się, że przynajmniej Mark bierze w tym udział, bo wierzę w jego rozsądek.

- Opowiem o wszystkim wieczorem - obiecał.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła ciotka, swoim zwyczajem nie domagając się wyjaśnień. - Jak tam ramię?

- W porządku.

- Powinieneś odpocząć.

- Chętnie. Położę się.

Pocałował ją i ruszył do swojego pokoju. Wiedział, że ciotka martwi się o niego i miał wyrzuty sumienia, ale nie potrafił odwlekać dłużej spotkania z Anną. Wyobrażał sobie, jaką radość sprawi jej, mówiąc o planowanym przez Marka artykule. Nareszcie oboje z łanem znajdą spokój. Szkoda tylko, że on sam nie potrafił się cieszyć.

Czekało ich jeszcze ostatnie spotkanie. Ostatnie spojrzenie w oczy. Ostatnie dotknięcie, może pocałunek. Czy będzie umiał odmówić sobie tej gorzkiej przyjemności, jaką będzie zapewnienie Anny, że nigdy jej nie zapomni? I że zawsze będzie ją kochał?

Pokój był pusty.

- Anno? - spytał, licząc na to, że może stoi niewidzialna gdzieś obok niego. - Znalazłem dowody waszej niewinności. I wiem już, kto was zamordował.

Przez długą chwilę trwał w napięciu, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Rozejrzał się wokoło.

W kącie, tam gdzie ujrzał ją kiedyś nocą, stało krzesło. Na oparciu wisiała, jak wtedy, biała koszula. Przeniósł spojrzenie na łóżko, na którym całowała go, choć może mu się to tylko śniło.

W jakiś szczególny sposób wyczuł, że jest sam. Kiedy ją zobaczy, jeżeli w ogóle to kiedyś nastąpi?

Usiadł na brzegu łóżka i spuścił głowę.

- Anno - szepnęła błagalnie - nie opuszczaj mnie w taki sposób.

Kiedy stanął wieczorem na progu wspaniałego domu w ogrodzie, nie był wcale pewny, czy Margaret będzie chciała z nim rozmawiać. Jego obawy okazały się nieuzasadnione. Małomówny służący zaprowadził go prosto do salonu.

Margaret oczekiwała go w towarzystwie burmistrza i komendanta policji.

- A gdzie pan senator? - spytał chłodno.

- Gaylon jest w domu w Little Rock - odparła równie chłodno Margaret. - Nie widzę powodu, żeby go w to mieszać.

- Czekala pani na mnie?

- Tak. Po południu zadzwonił do mnie Bill Watson. Był w świetnym humorze i opowiedział mi o pańskiej wizycie.

- Czy ktoś mógłby mi wreszcie powiedzieć, co tu się właściwie dzieje? - spytał zbolalym głosem burmistrz Charles Vandover. - O czym rozmawiał pan ze starym Billem, Gates? O co chodzi w tej całej aferze, którą usiłuje pan rozpętać? Czego pan chce od mojej rodziny?

- Nie mam nic przeciwko pańskiej rodzinie. Albo raczej nie miałem, dopóki ktoś nie spróbował mnie zabić, zrzucając mi na głowę starą ławę.

Komendant Peavy zerwał się na równe nogi.

- O czym pan, do diabła, mówi, Gates? Czy chce pan oskarżać nas o spowodowanie wypadku, którego przyczyną była pańska własna nieostrożność?

- Nie byłem nieostrożny. To był zamach na moje życie. I dodam, że nie myli się pan. Tak, szukam tu winnego. - Przeniósł wzrok na Margaret. - Co oni wiedzą?

Wydała mu się w tej chwili równie stara i zmęczona jak Bill Watson, choć wiedział, że jest o dwadzieścia lat młodsza.

- Nic. Tylko ja znam prawdę.

- Więc to pani...?

- To miało być tylko ostrzeżenie - odparła bezbarwnym tonem. - Uprzedzałam, żeby zostawił pan moją rodzinę w spokoju.

- Kto to był?

- Syn naszego dawnego pracownika. Ten chłopak ma niejedno na sumieniu i nie interesuje go specjalnie, za co bierze pieniądze, byleby starczyło na jego ulubione używki. Już nie pierwszy raz wyświadczył mi przysługę.

Teraz i Charles wstał z fotela.

- Mamo?

- Usiądź, Charles. Ty też, Roy. To nie potrwa długo. - Zmierzyła Deana zmęczonym wzrokiem. - Ile pan chce za milczenie?

- Więc pani sądzi, że przyszedłem tu po pieniądze?

Wzruszyła ramionami.

- A po co innego miałyby pan przychodzić? Nie ma pan żadnych osobistych powodów, żeby nam szkodzić. Wywahał pan smród sprzed trzech ćwierci wieku i uznał pan, że można na nim zarobić, idąc za przykładem Watsona. Wiem o panu co nieco, Gates, na przykład to, że włożył pan wszystkie oszczęd-

ności w remont tej starej rudery. Łatwo zgadnąć, że chce pan podreperować swe finanse.

- O czym ty mówisz, mamó? Co ma tu do rzeczy Bill Watson?

- Obawiam się, chłopcy, że musicie w końcu poznać bliżej historię własnej rodziny. Wtedy zrozumiecie, czemu do końca życia będziecie utrzymywać tego człowieka.

Dean milczał. Czekał na to, co usłyszy.

- Mój ojciec zastrzelił Iana i Annę Cameronów oraz Bu-cka Felchera - oświadczyła Margaret spokojnie. - W rok później zastrzelił skorumpowanego policjanta Stanleya Tager-ta, który pomógł mu ukryć prawdę o tym pierwszym morderstwie. Zbił majątek na handlu alkoholem w latach prohibicji. Potem wycofał się z tego i został szanowanym obywatelem. Tylko Bill Watson znał prawdę, więc kazał sobie płacić za milczenie. Po śmierci ojca obowiązek utrzymywania Watsona spadł na mnie.

Charles i Roy siedzieli w kompletnym osłupieniu.

- Czy nic nie obchodzi pani to, że dwoje ludzi zamordowanych przez pani ojca do dzisiaj wini się za jego sprawki?

- Nigdy ich nie znałam - oświadczyła Margaret z bezwstydną szczerością. - A swego ojca kochałam. Jak mogłam pozwolić, by spadła na niego hańba uczynków, które wydarzyły się na długo, nim przyszłam na świat? Po Cameronach nie został nikt, kto musiałby się za nich wstydić. Ujawnianie prawdy nie miało sensu.

- Czy kłopoty, jakie spadły na Marka Wintera, gdy zaczął zbierać materiały dotyczące tragedii, to także pani zasługa?

- Nie widziałam żadnego powodu, by sprzyjać komuś, kto zamierzał opublikować książkę rzucającą jak najgorsze światło na całą naszą społeczność.

Margaret w zdumiewający sposób potrafiła uzasadnić każdy swój krok. W tej chwili występowała już nie tylko w obronie rodziny, ale wręcz całego miasta.

- Nie musicie się o nic martwić - oznajmiła stojącym u jej boku mężczyznom. - Zapłacę panom Gatesowi i Winterowi. Zapracowali sobie na to.

- Nie - odparł z zimnym uśmiechem Dean. - Nie zapłaci pani. Albo inaczej mówiąc, nie kupi nas pani. Przyszedłem tu, żeby poinformować, iż w „Dzienniku Destiny” ukaże się wkrótce artykuł przedstawiający wszystkie szczegóły tych tragicznych wydarzeń. Dodam także, że na poparcie relacji Watsona mamy własnoręcznie napisany list pani ojca.

Margaret zbladła.

- Artykuł?

- Tak.

- Ale... ale po co? Czy zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza dla mojej rodziny?

Dean wzruszył ramionami. Ostry ból przypomniawszy mu, z kim ma do czynienia.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdyby ujawniła pani całą prawdę już przed laty. Nikt nie obarczałby pani rodziny odpowiedzialnością za czyny dziadka czy ojca. Inna sprawa, że wtedy trudno byłoby nazwać jego imieniem bibliotekę. Myślę zresztą, że i teraz trzeba będzie zmienić jej nazwę.

- Jeśli pan spełni swoją groźbę, to drogo pan za to zapłaci, Gates!

- No cóż, chyba jednak spróbuję.

Margaret zastanawiała się przez chwilę. Potem twardym głosem oznajmiła swemu siostrzeńcowi:

- Roy, jeśli pan Gates wniesie przeciwko mnie oskarżenie, poprowadzisz śledztwo równie wzorowo, jak spełniałeś wszystkie dotychczasowe obowiązki. Nikt nie będzie mógł

czynić ci zarzutów z powodu występków twego dziadka czy niepoprawnego zachowania despotycznej starej ciotki. Pokażesz wszystkim, że jesteś nienagannym funkcjonariuszem prawa.

- Ależ, ciociu.

- Nie mam zamiaru wnosić oskarżeń przeciw pani - wtrącił Dean. - Nie mam zamiaru prowadzić przeciw pani wojny. Destiny jest teraz także moim domem. Poza tym mam sporo roboty w zajeździe.

Margaret rozpromieniła się.

- Czy to znaczy...-zaczęła wręcz przyjaźnie.

- Mark przygotowuje właśnie artykuł na podstawie relacji Watsona i listu pani ojca - przerwał jej. - Chcę, żeby wszyscy poznali prawdę o losie bliźniąt Cameron.

- Tylko proszę mi nie mówić, że robi pan to dla spokoju ich dusz - odezwała się zjadliwym tonem Margaret.

- Jestem właścicielem „Cameron Inn” - oświadczył spokojnie. -I zależy mi na dobrym imieniu tego miejsca.

- I tylko na tym? - Charles nie krył swego sceptycyzmu.

- Nie widzę powodu, by dodawać cokolwiek więcej.

Margaret popatrzyła mu w oczy.

- Charles - zakomenderowała - odprowadź pana Gatesa do drzwi. I bądź uprzejmy. Jako burmistrz Destiny musisz dbać o ludzi reprezentujących tu świat biznesu.

- Nie rozumiem, po co pan to wszystko wygrzebał, Gates - gderał burmistrz już na progu. - Nie wynika z tego nic prócz wstydu dla naszej rodziny.

- Jak słusznie zauważyła pańska matka, nie ma powodu, by wstydził się pan za dziadka. On natomiast był mordercą i powinien zapłacić za swoje zbrodnie.

- A moja matka? - spytał bezradnie Charles.

- Obaj dobrze wiemy, że powinienem wnieść oskarzenie

przeciw niej. Nie zrobię tego, jeśli oczywiście nie będzie mi sprawiać dalszych kłopotów.

- Zadbamy o to. Aha, Gates, i niech mi pan prześle rachunki za opiekę medyczną. Nie sądzę, żebym miał pana kiedykolwiek polubić, ale wdzięczny jestem za wyrozumiałość wobec matki.

Znów miał nadzieję, że po powrocie zastanie Annę, i znów jej nie było.

Po kolacji zasiadł w salonie z Mae i Cara i opowiedział im całą historię. Skończył tuż przed północą. Pomiął oczywiście rolę Anny, powiedział tylko, że oficjalna wersja wydarzeń od początku budziła jego podejrzenia.

- To niesamowite, Dean - skomentowała jego opowieść ciotka Mae. - Rozwikłałeś zagadkę kryminalną sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. Zdemaskowałeś mordercę. Dotąd znałam takie historie wyłącznie z książek.

- To wcale nie było takie nadzwyczajne, Mae, tylko wymagało trochę cierpliwości.

- Ryzykowałeś życie - wtrąciła Cara. - Nie mogę się nadziwić, że darowałeś tej starej jędzy. Powinna trafić do więzienia, ona i wynajęty przez nią zbir. Dlaczego ja...

- O co chodzi, Caro? - spytał Dean, gdy Cara nagle urwała.

- Mam nadzieję, że nie chciałbyś powołać mnie na świadka, Dean - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Bardzo ci jestem wdzięczna za to, że się nami zaopiekowałeś, naprawdę. I bardzo ci współczuję z powodu tej napaści, ale ja... ja po prostu nie mogłabym stanąć przed sądem.

Intrygowało go, co Cara przed nimi właściwie ukrywa. Czego się boi? Miał tylko nadzieję, że kiedyś zaufa im na tyle, by powiedzieć prawdę o sobie. Może będą umieli jej pomóc?

Na razie czuł się jednak zbyt wyczerpany, by przejmować się cudzymi kłopotami. Może jednak kiedyś zajmie się tym Mark?

- Nie zamierzam pozywać cię na świadka, bo nie wniosę oskarżenia. Dla mnie cała ta historia to już przeszłość.

Przeszłość. Czy rzeczywiście tak jest? Czy wszystko już się skończyło? Czy spełnił swoje zadanie i uwolnił dusze Iana i Anny? Więc już nigdy jej nie zobaczy?

- A co z tym zdjęciem, które znaleźliśmy na strychu? Mówiłeś o nim Markowi? Powinno ukazać się razem z artykułem.

- Nie! - odpowiedział ostrzej, niż zamierzał.

Nie mógł znieść myśli o ludziach gapiących się na Annę. Prócz zdjęcia nic mu po niej nie zostało i nie chciał z nikim się nim dzielić.

- Nie zamierzam ujawniać tego zdjęcia, ciociu - powiedział łagodnie. - Z pewnych powodów wolę tego nie robić.

- Jak chcesz, kochanie - mruknęła ciotka.

Uwagi Deana nie uszło porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymieniły obie kobiety. Wiedział, że martwią się o niego, i miał wyrzuty sumienia.

- Przejdę się trochę - powiedział. - Dzisiejszy dzień był dla mnie ciężki i spacer dobrze mi robi.

Ku jego uldze ani ciotka Mae, ani Cara nie zaproponowały mu swego towarzystwa. Musiały wyczuć, że potrzebuje samotności.

Co zresztą wcale nie było prawdą. Dean nie chciał być sam. Chciał być z Anną.

Powoli szedł przez ogród. Uświadomił sobie, że jest czternastego lutego, dzień świętego Walentego i setne urodziny Anny. Na tę myśl przeszedł go dreszcz.

Noc była zimna, ale Dean nie zwracał na to uwagi. Większe wrażenie robiła na nim panująca wokół cisza.

Doszedł do miejsca, gdzie jeszcze niedawno stała szopa na narzędzia. Właśnie została rozebrana i na ziemi leżał jeszcze stos belek i desek. Wróciło wspomnienie wydarzeń, które się w tym miejscu rozegrały, ostrzeżenie Anny, jej krzyk i rozpacz, z jaką patrzyła, kiedy okazało się, że nie może mu pomóc. Ruszył dalej, w kierunku starej stróżówki. Przypominał sobie ich pierwsze spotkanie. Stróżówki też już nie było.

Wszystko odchodziło w przeszłość. Dean zaczynał godzić się z myślą, że już nigdy nie zobaczy Anny. Stał w miejscu, gdzie zginęła, i myślał o tym, że nie powinien się dziwić, bo tak naprawdę należała do przeszłości, już kiedy spotkali się po raz pierwszy. Zacisnął powieki.

- Anno? - szepnął ochryple w pustkę. - O Boże, Anno. Tak strasznie mi ciebie brakuje.

- Dean?

W pierwszej chwili sądził, że to tylko złudzenie, gra udrepczonej pamięci i rozgorączkowanej wyobraźni.

- Dean?

Otworzył oczy. Stała na ścieżce, tuż przed nim. Jej biała suknia lśniła w blasku księżyca.

- Anno! - zawołał i wyciągnął dłoń. - Anno!

Ujęła go za rękę. Znowu pojawiło się to niesamowite uczucie, które zawsze towarzyszyło jej dotknięciu.

- Myślałem, że już nigdy nie wrócisz.

- Wiemy, jak wiele dla nas zrobiłeś, Dean - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. - Nie odeszlibyśmy bez pożegnania z tobą.

Podążył wzrokiem za spojrzeniem, jakie rzuciła w bok.

- Jesteście razem?

- Tak. Szkoda, że nigdy go nie zobaczysz. Dziękuję ci za nas oboje. I... żegnaj.

Nie mógł wydobyć głosu. Nie potrafił tak się z nią rozstać.

Odruchowo zacisnął palce, choć wiedział, że i tak nie zatrzyma jej przy sobie.

- Ja... - nie mógł dokończyć.

Wolną ręką Anna pogłaskała go po twarzy. Miał wrażenie, że zna ten gest od wieków.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem, Dean - szepnęła, patrząc na niego błyszczącymi oczami. - Nie wierzę, żeby ktokolwiek inny zrobił dla nas to, co ty. Nie wiem, jak moglibyśmy wyrazić ci swoją wdzięczność.

- Ja tylko pytałem tak długo, aż ktoś w końcu odpowiedział. Teraz wreszcie wszyscy będą znać prawdę o tobie.

- I o Ianie - przypomniała mu

Spojrzał w pustkę obok niej i przypomniał sobie ciemnowłosego mężczyznę o zdecydowanych, silnych rysach, które zapamiętał ze zdjęcia.

- I o Ianie-powtórzył.

- Wiem, że będziesz tu dobrym gospodarzem - powiedziała. - Czuję to.

Znów było mu trudno wydobyć głos z gardła.

- Anno...

- Zaraz będziemy musieli odejść. Nie powinniśmy przeciągać rozstania. To sprawi nam tylko więcej bólu.

Nie puszczał jej ręki.

- Czy wiesz, dokąd teraz odejdziecie?

- Nie - szepnęła - ale dzięki tobie odzyskaliśmy swoje dobre imię. Teraz nasze miejsce jest już gdzie indziej.

- Nie mam pojęcia, jak zniosę twoje odejście - powiedział, z trudem ukrywając wzruszenie. - Wszystko tu przypomina mi o tobie. Będzie mi ciebie brakowało, Anno. Nie masz nawet pojęcia jak bardzo.

Ścisnęła palcami jego dłoń. Popatrzyła wzrokiem pełnym bólu.

- Musisz być dzielny, Dean! Musisz zająć się zajazdem. Obiecałeś mi to.

- Cóż mi po tym wszystkim, skoro nie będzie tu ciebie, Anno?

Uniósł jej dłoń do ust.

- Tak chciałbym móc odejść z tobą.

Pogładziła go wolną ręką po głowie.

- Nie mów tak, Dean. Masz przed sobą życie. Masz rodzinę, zajazd. Powinieneś znaleźć sobie żonę, mieć dzieci...

- Nie!

Wiedział, że nigdy nie będzie miał dzieci. Była jedyną kobietą, z którą chciałby je mieć.

Nie miał siły ukrywać dłużej tego, co czuł.

- Kocham cię, Anno. Zawsze już będę cię kochał.

- Dean - poprosiła łamiącym się głosem - nie mów mi tego.

Całował jej palce, wewnątrz dłoni, policzki, usta.

- Kocham cię - powtórzył. - Tak bym chciał...

- Ja też. Oddałabym wszystko, żeby zostać tu z tobą.

- Naprawdę? Zostałabyś ze mną? Nawet gdyby oznaczało to rozstanie z Ianem?

Jej oczy błyszczały. Miał wrażenie, że przepełniają je łzy.

- Tak. Przysięgam na Boga, że tak - szepnęła. - Kocham Iana, ale zostałabym z tobą.

- Powiedz, co czujesz - zażądał. - Powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię, Dean - powiedziała pewnie i wyraźnie. - Kocham bardziej niż kogokolwiek na świecie. Kocham taką miłością, jakiej chciała dla mnie moja matka.

Dean wsparł czoło na czole Anny.

- Więc w końcu spełniło się jej życzenie.
- Tak - odszepnęła bez tchu. - Gdyby tylko...

Nie zważając na przeszywający ból ramienia, przyciągnął ją do siebie. Zdawało mu się, że stają się jednym ciałem, w którym bije jedno serce. Jednym sercem, które połączył wspólny ból nie do zniesienia.

Rozdział 12

*Nad górami i falami,
Pod fontannami i nad grobami...
Miłość znajdzie sobie drogę.*

Anonim

To odbyło się tak nieoczekiwanie, tak łagodnie i subtelnie, że Dean nie umiałby powiedzieć, kiedy zaszła zmiana. Poczuł dziwne ciepło i delikatne pulsowanie, które zaczęło się od koniuszków palców Anny.

Nie puszczać ich z dłoni, uniósł wzrok. W jej szeroko otwartych oczach rozpoznał własne uczucia i myśli.

Ręka Anny stawała się ciepła i miękka. To było tak, jakby dzieląca ich bariera powoli, niemal niezauważalnie topniała.

W marmur wkradało się życie.

Dean wstrzymał oddech i uniósł dłoń. Dotknął policzka Anny. Potem przesunął palcami po wargach. Były miękkie i wilgotne.

Przysunął usta i poczuł na wargach jej oddech.

Świat wirował wokół niego. Lęk łączył się z nadzieją, radość z przerażeniem. Trząsał się jak liść na wietrze.

Jego palce powędrowały w dół i zatrzymały się na szyi. Tętniła w niej krew.

- Dean? - szepnęła i nawet głos miała teraz inny.

Stała się kimś rzeczywistym.

Odsunęła się od niego i spojrzała na swoją suknię. Dolna krawędź nosiła ślady ziemi. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Pod koronkowym dekoltem unosiły się i opadały w rytm oddechu drobne, kształtne piersi.

Oddychała.

- Anno.

Szepnął jej imię tak cicho, jakby bał się uwierzyć. Gdyby okazało się, że to tylko złudzenie, nie potrafiłby dalej żyć.

- Ja... Dean, ja czuję... - szepnęła zdumiona.

Niecierpliwie potrząsnęła głową. Ciemne włosy zatańczyły wokół twarzy. Kiedy sięgnęła dłonią, by je odgarnąć, jej ruch był niepewny, niemal niezgrabny.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem, co się stało - powtarzała drżącym głosem i Dean zrozumiał, że i ona boi się uwierzyć. - Ale myślę, że... ja żyję. Naprawdę żyję.

Jej oczy błyszczały nadzieją.

- Anno!

Nie panował już dłużej nad sobą. Wyciągnął ręce i objął ją z całej siły, nie zwracając uwagi na ból. W tej chwili czuł tylko ciepło jej ciała.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Ich usta spotkały się wreszcie w upragnionym, namiętym pocałunku.

- Dean, wreszcie mogę poczuć, jaki jesteś! - krzyknęła, kiedy przestali się całować. - Jesteś silny, twardy i taki bardzo, bardzo ciepły. Jesteś cudowny!

- Ty też jesteś cudowna, Anno - odpowiedział, gorączkowo przesuając rękami po jej ciele. Wszędzie czuł to samo ciepło żywego, tętniącego krwią ciała.

Czuł, że Anna jest żywa.

Żywa! Nie miał pojęcia, jak się to stało, ale stało się i wie-

dział, że to nie złudzenie, że tak już będzie. Anna była żywa. Trzymał ją w ramionach i nie miał zamiaru pozwolić jej odejść.

- Kocham cię - powtarzał, ilekroć przestawał ją całować.

- Kocham cię.

Namiętnie odwzajemniała jego pocałunki.

- Kocham cię, Dean. Tak bardzo cię kocham.

- Zostań ze mną. Obiecuj, że zostaniesz.

- Zostanę z tobą... - Głos jej się załamał, ale zapanowała nad wzruszeniem i dokończyła: - Na resztę życia.

W pewnym momencie Anna oprzytomniała.

- Ian - powiedziała bez tchu. - Omal...

Wyrwała się z ramion Deana i obejrzała na kogoś, kogo Dean nie widział, a potem zrobiła krok w jego stronę.

- Czy to nie cudowne? Ian, powiedz, czy...

Twarz Anny nagle spochmurniała.

- Ian, czy ty nic nie czujesz, Ian, nie!

Dean widział, jak pełnym rozpaczy i bólu wzrokiem wpatrywała się w pustą przestrzeń.

- Proszę, nie odchodź - szepnęła do brata. - Zostań ze mną. Zostań z nami. Błagam cię. Zostań...

Dean usłyszał lub może raczej poczuł tchnienie delikatne jak najłżejszy powiew wiatru. Sam nie umiałby powiedzieć, jak pojął jego sens.

- Kocham cię, Anno. Bądź szczęśliwa...

- Ian - Anna szlochała bezradnie jak dziecko - och, Ian!

Dean objął ją i przytulił do piersi. Wpatrywał się w miejsce, skąd dopłynął go szept jej brata, lecz niczego nie widział.

- Czy Ian...

- Odszedł. Rozpłynął się w ciemności. Już go nie widzę...

Nie słyszę...

Wtuliła zapłakaną twarz w jego pierś. Ujął jej twarz w dłonie i poczuł na rękach gorące łzy.

Łzy też są częścią ziemskiej egzystencji, pomyślał. Radość, żal, namiętność, śmiech i ból. I najwspanialsze ze wszystkich ziemskich uczuć - miłość.

Anna nie płakała długo. Wzięła głęboki oddech i otarła oczy wierzchem dłoni.

- Odszedł - powiedziała. - Widać tak właśnie miało być. Został oczyszczony z nie zasłużonej hańby i odszedł. A ja... ja znalazłam ciebie.

Pogłaskała go po policzku mokrymi od łez palcami.

Ujął jej dłoń w swoje.

- Żałujesz? - spytał.

- Brak mi Iana. Zawsze będę za nim tęsknić, tak jakbym utraciła jakąś część siebie. Ale nie żałuję, Dean. Kocham cię. Gdybym miała jeszcze raz dokonać wyboru... wybrałabym tak samo.

Przygarnął ją mocno do piersi i całował, całował, całował... Wiedział, że tylko jego miłość może złagodzić smutek Anny.

Kiedy uniosła głowę i odwzajemniła jego pocałunek, zrozumiał, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy wślizgnęli się do zajazdu, było już bardzo późno. Ciotka Mae i Cara najwyraźniej poszły spać.

Trzymając się za ręce i starając się stąpać jak najciszej, zakradli się do pokoju Deana. Dean zamknął drzwi.

- Jak wytłumaczymy moje pojawienie się w zajazdzie? - spytała Anna.

- Wymyślimy coś - uspokoił ją. - Mamy na to jeszcze czas.

Objęła go za szyję. Jej dłoń zatrzymała się na chwilę na

bandażach. Pocałowała go tuż powyżej miejsca, gdzie się kończyły.

- Musisz uważać na swoje ramię - mruknęła. - Żebyś sobie nie ponaciągał szwów.

- Nic mnie teraz nie obchodzą żadne szwy - odszepnął i chciał pocałować ją w usta.

- Ale mnie obchodzą. Od tej pory muszę się zacząć troszczyć o ciebie.

Roześmiał się.

- To już nie są czasy, gdy wszystko leczyło się w domu, Anno. Chorymi opiekują się lekarze.

- Ale ludzie jeszcze się kochają, prawda?

- Tak sędzę. Przynajmniej niektórzy.

- Wobec tego muszą się troszczyć o siebie nawzajem. Przecież na tym właśnie polega miłość.

Dean uświadomił sobie, jak wiele będą mieli sobie jeszcze do powiedzenia. Czekwały ich wspólne spacerunki i długie rozmowy o miłości, świecie, obyczajach i filozofii. O wszystkim, co się zmieniło, i o tym, co się nigdy nie zmienia.

Pomyślał, że być może takich rozmów brakowało jego małżeństwu. Za bardzo pochłaniała go wtedy praca, za szybko pędził, nie zastanawiając się nawet dokąd. Teraz wiedział, że powinno być inaczej, że niezależnie od tego, jak bardzo będą pochłonięci pracą w zajeździe, muszą znaleźć czas dla siebie.

Położył dłoń na policzku Anny i popatrzył jej w oczy.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Dean.

Wsunął palce w jedwabiste sploty. Miał wrażenie, że teraz dopiero naprawdę poznaje Annę. Zauważył, że jej rzęsy są lekko podwinięte, że na nosie ma kilka drobnych piegów, na lewym policzku robi jej się dołeczek.

Miał wielką chęć poznać ją całą, od stóp do głów.

- Pragnę cię, Anno - szepnął jej do ucha i poparł swoje słowa pocałunkiem.

- Ja też.

Miał chęć porwać ją w ramiona i zanieść do łóżka. Ponieważ jednak ten romantyczny gest zakończyłby się najprawdopodobniej zerwaniem szwów, krwotokiem i wzywaniem pogotowia, musiał odłożyć go na inną okazję. Więc tylko ujął Annę za rękę i pociągnął za sobą.

Teraz dopiero przyjrzał się uważniej jej sukni. Delikatny materiał wykończony koronkami był piękny, ale Dean nie miał pojęcia, w jaki sposób ma z niej to wszystko zdjąć.

- Jak to się właściwie rozpina?

- Sama już nie bardzo pamiętam - uśmiechnęła się.

Pocałował ją w nos, potem w policzek, brodę i szyję.

- Spróbuj sobie przypomnieć - poprosił głosem zmienionym pożądaniem.

Anna zachichotała i sięgnęła rękami za plecy. Szybko odzyskała pamięć i jej suknia spłynęła na dół kaskadą fałd i pianistych koronek.

Dean zaczął całować jej szyję i wyłaniające się z gorsetu piersi. Jej ciało było piękne i ciepłe, a delikatna i gładka skóra pachniała lawendą lub jakimiś innymi ziołami, których nie znał, a których aromat wydał mu się bez porównania miłszy od zapachu współczesnych kosmetyków.

- Dean... - odezwała się nagle zakłopotana.

- Uhm?

- Mam nadzieję, że nie będziesz bardzo zły... Ja... - urwała, ale zaraz wzięła głęboki oddech i dokończyła:- Nie jestem dziewicą. Jeffrey i ja... dwa razy...

Położył jej palec na ustach.

- Ja też mam nadzieję, że nie będziesz bardzo zła, miałem już kobiety.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wiem, miałeś przecież żonę.
- Przeszłość nie ma już żadnego znaczenia, Anno. Spotka-
liśmy się i teraz ważna jest tylko przyszłość.
- Kocham cię, Dean. Chcę być twoja.
- Jesteś moja, Anno. Już na zawsze.

Sam był zaskoczony, jak łatwo poszło z resztą jej stroju. Każdy jego fragment zasługiwał zresztą na skrupulatne zbadanie, ale Dean odłożył to na później. W tej chwili interesowała go tylko Anna.

Położyli się do łóżka. Dean przesuwiał usta po ciele Anny, nie pomijając żadnego miejsca. Całował jej szyję, ramiona, drobne, jędrne piersi, płaski brzuch.

Anna poruszała się niespokojnie, wzdychając i jęcząc z rozkoszy. Czasem tylko niepokoiła się o zranione ramię Deana. On jednak nie czuł niczego prócz radości z poznawania jej ciała i satysfakcji, że może się z nią kochać.

Anna pomagała mu poznać każdy skrawek świeżo odzyskanego ciała, które prężyło się pod jego pieszczotami. Kurczowo zaciskała palce na prześcieradle i zagryzała usta, by nie zbudzić domowników krzykiem rozkoszy.

Potem popchnęła Deana, a gdy opadł na łóżko, pochyliła się nad nim i zaczęła go pieścić, błędząc palcami, wargami i językiem po jego ciele. Przez cały czas pamiętała o ranie, a jej ruchy były delikatne i ostrożne, choć pełne namiętnego pragnienia, by doznał tego wszystkiego, co sam jej dał.

Dean nie mógł już powstrzymać pragnienia, by się z nią połączyć i spełnić do końca miłosny akt. Teraz on przewrócił ją na plecy i opadł na nią całym ciężarem swego ciała.

- Uważaj na ramię - napomniała go.
- To teraz nieważne - odszepnął. - Pragnę cię, Anno. Tylko to się teraz liczy.

- Ja też cię pragnę, Dean. Kochaj mnie... och, od tak dawna tego pragnęłam...

Zrozumiał, że nigdy jeszcze nie był tak bardzo żywy jak w tej chwili. On i Anna byli jednym. Zawsze byli jednym, nawet wtedy, gdy czas i przestrzeń, i nawet śmierć zdawały się ich rozdzielać.

To było już dużo później, nim zasnęli. Anna leżała wtulona w Deana z głową opartą na jego ramieniu. Ich nagie ciała otulała kołdra. Teraz dopiero w rannym ramieniu odczuwał się ból, ale Dean starał się nie zwracać na to uwagi.

- Wyjdź za mnie, Anno - szepnął z ustami w jej włosach.

- Ale jak...

- Mówiłem ci już, że znajdziemy jakiś sposób. Obiecuj mi tylko, że wyjdiesz za mnie.

- Wyjdę - odszepnęła i Dean mimo ciemności odgadł, że się uśmiechnęła.

- To dobrze. A czy pamiętasz, że dzisiaj są twoje urodziny?

- Naprawdę?

- Tak. Północ już dawno minęła. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Anno. I z okazji Walentynek.

- Wolę nie myśleć o tym, jaka jestem potwornie stara - jęknęła.

- Masz wyjątkową okazję, żeby na nowo odliczać lata. Zaczęłaś właśnie dwudziesty szósty rok życia. O Boże, przecież to cud, a ja mam wrażenie, jakby to było zupełnie naturalne.

- Masz rację - przyznała. - Ja też nie widzę w tym właściwie nic niezwykłego. Może po prostu tak to miało być.

Zamknęli oczy. Byli zmęczeni i senni.

- Trochę boję się zasnąć. Nie potrafię uwolnić się od lęku, że kiedy się rano obudzę, ciebie nie będzie.

Wtuliła się w niego mocniej.

- Nie bój się, Dean.

- I nie rozplątniesz się w powietrzu? - spytał i objął ją za szyję. - Teraz już mogę cię przy sobie utrzymać?

- Uhm - mruknęła sennie. - Będę, Dean. Teraz już zawsze będę przy tobie.

Kiedy rano otworzył oczy, rzeczywiście była.

Anna za nic nie chciała pokazać się ciotce Mae w brudnej i wygniecionej sukni. Dean dał jej więc swój czarny dres. Spodnie sięgały Annie niemal do piersi, a bluza wisiała do kolan, ale nie było innego wyjścia. Podeszła do lustra i na widok swego odbicia wybuchnęła śmiechem.

- Czy wyglądam teraz jak nowoczesna kobieta?

- Wyglądasz cudownie, Anno - odpowiedział i pocałował ją w czubek głowy.

- Twoja ciotka pomyśli, że przygarnąłeś jakiegoś włóczykija.

- Moja ciotka pokocha cię tak jak ja.

Zanim wyszli z pokoju, powtórzyli ułożoną wspólnie historyjkę. Potem Anna wzięła głęboki oddech, rzuciła ostatnie spojrzenie na łóżko, w którym spędzili pierwszą wspólną noc, i nacisnęła klamkę.

Ciotka Mae, Cara i Casey siedziały przy śniadaniu.

- Długo spałeś - odezwała się ciotka Mae, gdy otworzył drzwi do jadalni. - Musiałeś być... O Boże! A to kto?

Anna kurczowo schwyciła rękę Deana.

- Ciociu Mae, Caro, Casey, to Anna, moja narzeczona.

Ciotka Mae zerwała się na równe nogi.

- Twoja... narzeczona? Ale skąd? Jak? Ona jest taka podobna...

Anna wstrzymała oddech.

- Anna jest prawnuczką Nicholasa Camerona, brata Jamesa, budowniczego „Cameron Inn”. James wyemigrował do Ameryki, a Nicholas pozostał w Londynie. Anna przyjechała tutaj, żeby dowiedzieć się więcej o swojej rodzinie i tragicznej śmierci kuzynów.

- Ale... gdzie się spotkaliście? Kiedy? I gdzie ona dotąd mieszkała? Odkąd jesteście zaręczeni?

Anna podeszła do stołu i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Proszę nam wybaczyć, pani Harper. Nie dziwię się, że jest pani zaskoczona, ale ze względu na pewne okoliczności, o których na razie nie możemy mówić, nie mogłam się z panią dotąd spotkać. Ale naprawdę bardzo Kocham pani siostrzeńca i mam nadzieję, że przekona się pani do mnie z czasem.

Twarz ciotki Mae odzyskała swój zwykły serdeczny wyraz.

- Ależ oczywiście, Kochanie. Jestem tylko zaskoczona. Tak się cieszę, że Dean wreszcie się zakochał. Ostatnio tak się o niego martwiłam. A teraz wygląda na szczęśliwego.

Anna spojrzała na Deana. Choć widziała go niewyraźnie, bo oczy miała pełne łez, musiała przyznać starszej pani rację. Na twarzy Deana malowało się błogie szczęście.

Siedli do stołu. Podczas śniadania Anna i Dean opowiedzieli starannie obmyśloną historyjkę. Choć żadne z nich nie było zachwycone tym kłamstwem, zgadzali się, że nikomu, nawet ciotce Mae i Bailey, nie mogą powiedzieć prawdy.

- To okropne, że zgubili twoje bagaże. To naprawdę karygodne niedbalstwo. Ale to nic, wybierzemy się do miasta i coś dla ciebie znajdziemy. Pamiętaj, Dean, nie możesz przejść nad tym do porządku. Annie należy się odszkodowanie i to ty

musisz zadbać, żeby je wypłacono, bo ona nie da sobie rady z tymi rozbójnikami.

- To prawda - przyznała Anna. - Nie dałabym sobie rady. No i rzeczywiście nie mogę chodzić odtąd w ubraniach Deana.

- Na razie, póki nie masz jeszcze ubrań, mogę ci pożyczyć dżinsy i podkoszulek - zaproponowała nieśmiało Cara. - Myślę, że będą na ciebie dobre. Jaki masz numer buta?

- Ja... nie wiem - odpowiedziała zakłopotana Anna. - To znaczy... brytyjska numeracja jest inna, więc...

- Pokaż nogę - poradziła ciotka Mae.

- Powinny być w sam raz - ucieszyła się Cara, kiedy Anna poszła za radą ciotki Mae.

- Dziękuję ci, Caro.

Życzliwość Cary znaczyła dla Anny o wiele więcej, niż ktokolwiek z obecnych mógł przypuszczać. Oto świat, do którego tak nieoczekiwanie trafiła, przyjmował ją przyjaźnie i ciepło.

Tego popołudnia wpadł do zajazdu Mark Winter, który przywiózł ze sobą zredagowaną wersję relacji Billa Watsona. Cara, która otworzyła mu drzwi, swoim zwyczajem natychmiast zniknęła w kuchni, by więcej się nie pojawić.

Dean i Anna powtórzyli Markowi tę samą historijkę, którą opowiedzieli przy śniadaniu. Nie zakwestionował ani słowa, ale patrzył na nich dziwnie badawczym wzrokiem.

Niedługo potem zaczął zbierać się do wyjścia. Dean odprowadził go do drzwi.

- Nie umiem ci powiedzieć, na czym to polega, ale wolę wierzyć w oficjalną wersję wydarzeń i nie pytać o prawdziwą historię twojej narzeczonej.

- Masz rację. - Dean uściśnął mocno dłoń przyjaciela.

- W każdym razie, gdybyście potrzebowali... papierów... Wiesz, o co chodzi? - Mark nie czekał, aż Dean zdobędzie się na odpowiedź na to kłopotliwe pytanie. - Pamiętajcie po prostu, że będę mógł wam pomóc.

- Dzięki. Pogadamy o tym jeszcze przez telefon.

Mark pożegnał się z Anną.

- To była naprawdę piekielna przygoda - mruknął jeszcze, wsiadając do samochodu.

Dean uśmiechnął się i mocniej objął Annę.

- Nasza przygoda dopiero się zaczyna - powiedział.

Anna odpowiedziała mu uśmiechem.

Tuż przed zmrokiem poszli we dwoje do ogrodu. Wieczór zdawał im się cieplejszy od wczorajszego. Zbliżała się wiosna. Dean rozglądał się wokół i planował kolejność prac. Myślał o tym, że wszystko wróci do życia. Drzewa, krzewy róż, kwiaty. Zatrzymali się na ścieżce, nie opodal miejsca, gdzie kiedyś stała stróżówka.

Anna zamknęła oczy i długo stała bez ruchu.

- Wszystko w porządku? - spytał Dean i objął ją ramieniem.

- Tak. Myślałam...

- O Ianie?

Skinęła głową.

- Chciałabym tylko wiedzieć, co się z nim dzieje. Czy jeszcze jest tu, czy spotkał się z matką. Nie mogę myśleć spokojnie, że pozostał sam w tej szarej, głuchej mgle.

- Jeszcze go kiedyś zobaczysz, Anno.

- Wiem. Ale chciałabym, żeby wiedział, jak bardzo jestem szczęśliwa. Zawsze tak mu na tym zależało.

- A jak bardzo jesteś szczęśliwa?

- Nie umiem tego nawet wyrazić, Dean. Ale kiedy myślę

o tym, że będę twoją żoną, że będziemy mieli wspólny dom, dzieci, życie, ogarnia mnie taka radość... Czuję, że będzie nam dobrze razem.

- Wierzę ci, Anno Cameron. Nauczyłem się przy tobie wierzyć w przeczucia, no i w duchy.

Roześmieli się. A kiedy ją pocałował i ruszyli do domu, przyszło mu do głowy, że najcenniejszą rzeczą, w jaką nauczył się przy niej wierzyć, jest miłość. I wiedział, że nigdy nie zapomni tej lekcji.

Epilog

Choć lato miało się ku końcowi, wieczór był ciepły. Powietrze wypełniał słodki zapach kwiatów, niebo roiło się od gwiazd.

W oknach zajazdu błyszczało światło. Był czynny od niedawna, a mimo to w wielu pokojach mieszkali już goście. Dopiero co zamknięto restaurację, która stawała się z dnia na dzień bardziej popularna wśród mieszkańców Destiny i przyjezdnych. W jednym z okien na parterze widać było sylwetkę dwojga ludzi związanych namiętym pocałunkiem.

Na końcu ścieżki stał samotny mężczyzna. Widok w oknie musiał napełnić jego serce radością, bo jego twarde, mocne rysy złagodził ciepły uśmiech. Tuż nad nim, tak jakby nikogo nie było, przeleciała sowa.

Światło w oknie na parterze zgasło, a jego mieszkańców otuliła przyjazna ciemność.

Mężczyzna na ścieżce z aprobatą skinął głową i znikł bez śladu w ciemnościach.

Samotny.